

Grzegorz Mathea

Spadek

2007

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2007

Ilustracja na okładce:

Karol Dziewulski

Wydawca:

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA Sp. z o.o.

Biuro Handlowe

ul. Nowowiejska 10/12

00-653 Warszawa

e-mail: redakcja@supernowa.pl

ISBN: 83-7054-190-9

Wydanie elektroniczne:

Trident eBooks

*Elizie Godzimirskiej
bez której ta książka by nie powstała*

Prolog

Jeździec przystanął. Wysuszoną dłonią sięgnął po manierkę. Do Goliad było jeszcze co najmniej dziesięć mil, a tymczasem woda kończyła się szybko. Rozejrzał się po raz któryś, ale nie spostrzegł nic podejrzanego – rozedrgany od gorąca horyzont był pusty.

Ruszył, zachęcając ostrogą konia, który w międzyczasie spuścił łeb i bezskutecznie poszukiwał na jałowym gruncie choćby źdźbła trawy. Jeździec ocierał co chwila spoczone czoło i wachlował się wypłowiałym kapeluszem. W jego rodzinnym kraju o tej porze tajał śnieg, a rzekami spływała kra. Tymczasem tu gorąco dawało się już we znaki. Dźgnął konia, który niechętnie ruszył klusem, wzbijając obłok kurzu.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy minął bramę fortu, przy której wartę pełnił jakiś gruby i zakurzony niechluj wsparty na muszkiecie. Widząc nadjeżdżającego oficera, nie raczył nawet zmienić pozycji, nie mówiąc już o salutowaniu. Przybysz zmierzył go wzrokiem spod runda kapelusza. Posłużyłbyś tydzień w naszym wojsku, pomyślał, już ja bym cię nauczył właściwej postawy.

Na dziedzińcu panował leniwy bałagan – ludzie wałęsali się bez celu, tu i ówdzie zbijali się w większe gromady, dyskutując zawzięcie. Pod rzędem budynków koszarowych, rzucających skapy cień, jakiś młodzik z proporcem „New Orlean Greys” za plecami fałszował straszliwie, wygrywając na gitarze bliżej nieokreślone tony. Grupka brudnych melomanów w skupieniu słuchała brzdąkania, niczym mityczne nimfy otaczające boskiego Orfeusza.

– Gdzie znajdę majora Wallace’a? – przybysz zakłócił koncert ku niezadowoleniu publiczności.

Orfeusz przerwał męczenie instrumentu i mrużąc oczy, spojrział na pytającego. Dwóch czy trzech słuchaczy raczyło podnieść tyłki na widok oficera, reszta zignorowała szarżę, czując się zwolniona z obowiązku musztry przez niemiłosierną duchotę.

– Zdaje się, że jest w kwaterze kapitana Pettusa. – Muzyk wskazał chatę stojącą w drugim końcu osady.

Jeździec kiwnął tylko głową i pociągnął za sobą wierzchowca. Zza pleców usłyszał jeszcze przyciszoną wymianę zdań i stłumiony śmiech – domyślił się, że przyczyną wesołości jest jego akcent. Choć upłynęły już prawie trzy lata jego pobytu w Ameryce, język Szekspira i Byrona wciąż był dla niego zbyt trudny.

Dźwięki gitary towarzyszyły mu aż do budynku, przed którym uwiązał swego czworonogiego towarzysza. Wszedł i zaczął czekać chwilę, aż oczy przyzwyczają się do półmroku, który panował w pomieszczeniu zaopatrzonym tylko w wąskie okna. Po chwili na drewnianym krześle dostrzegł sylwetkę swego dowódcy.

– Sir?

Siedzący ocknął się gwałtownie. Przez chwilę przypatrywał się przybyszowi, po czym zerwał się z krzesła, oprzytomniawszy zupełnie.

– Nareszcie! – krzyknął. – Nareszcie pan jest, majorze! Jakie wieści? Niechże pan mówi, do diabła!

– Złe. Generał Urrea rozbił naszych pod Refugio. Kapitan King nie żyje. Ward prawdopodobnie również. Ciągnie tu dwa tysiące Meksów, w tym bataliony San Luis i Jimenez. To nie przelewki! Czemu Fannin nie nakazuje odwrotu? Zamierza bronić się tutaj?

– Sam nie wie, co ma robić. Miota się – powiedział Wallace. – Za żadne skarby nie chce podporządkować się Houstonowi. Dureń! Wysyła naszych na śmierć na raty, a sam udaje, że wzmacnia fortyfikacje. Strata czasu.

– A gdzie jest teraz generał Houston?

– Diabli wiedzą. – Wallace wzruszył ramionami. – Ale ja wiem jedno: jeśli nie połączymy sił z Houstonem, Teksas padnie. Chodźmy!

Wyszli na zewnątrz i ruszyli wzdłuż budynków, do drewnianego blokhauzu na środku placu. Stojący u drzwi wartownik przepuścił ich bez słowa.

– Wejść! – w odpowiedzi na pukanie zza drzwi dobiegł wysoki głos pułkownika.

Weszli obaj. Przybysz zobaczył oświetloną skąpym światłem świecy sylwetkę dowódcy. Pułkownik James Fannin był jego rówieśnikiem, mimo to jednak wyglądał znacznie młodziej. Szyty na miarę i nieco operetkowy mundur, miał dodawać mu powagi, podkreślał jedynie niemal chłopięcą sylwetkę. Wizerunku młodzika dopełniały sięgające ramion blond włosy i subtelne, pełne gracji ruchy.

Fannin podniósł głowę znad mapy.

– Dobrze, że pan jest, majorze... eee... proszę wybaczyć, zawsze mam kłopot z pańskim nazwiskiem.

– Nic nie szkodzi – odparł major – ja też zastanawiam się czasem, kim naprawdę jestem.

Dowódca uśmiechnął się kwaśno. Major zauważył, że mimo gorąca mundur pułkownika jest zapięty pod szyję, a czoło blade i spocone. Gorączka.

– Co z Urrea?

– Jego kawaleria jest tuż za mną. Piechota chyba wyszła już z Refugio. Będą tu najpóźniej jutro rano.

– Jutro rano – powtórzył Fannin bezkrwistymi ustami. – Jutro rano...

Opadł na krzesło i bezmyślnie wpatrywał się w mapę. Po chwili wyciągnął zza biurka butelkę i nalał sobie, nie częstując gości.

– Co pan zamierza, sir? – warknął Wallace. – Od miesiąca tkwimy w tej dziurze! Na co czekamy?

– Chce pan się bronić? – łagodniej spytał przybysz. – Tu, w Goliad?

– A pana zdaniem mamy jakieś szanse?

Major chrząknął zdziwiony. Nie przywykł do sytuacji, w której dowódca pyta podwładnego o opinię.

– Na pewno większe niż w starciu w otwartym polu – rzekł w końcu rozważnie.

– A więc zostajemy! – Fannin wałnął pięścią w stół, aż flaszka przewróciła się z hukiem.

– Ale z drugiej strony – dodał przybysz pospiesznie, zdumiony reakcją dowódcy – są przecież rozkazy generała Houstona. Zgodnie z nimi mamy ewakuować Goliad. Jeszcze kilka godzin i będzie za późno.

Fannin ponownie rozwalił się na krzesle.

– Houston... – mruknął pogardliwie. – Farbowany generał... Nigdy nie był w West Point i nie ma pojęcia o dowodzeniu. Nie, majorze, ma pan rację, musimy czekać.

– Czekać! – wrzasnął Wallace, opierając się rękami o stół. – Na co czekać? Nie poszliśmy na odsiecz Alamo, bo pan czekał! Nie ewakuowaliśmy naszych ludzi z Refugio, bo pan czekał! Na co, do cholery? Aż nas tu wszystkich...

– Dosyć! – krzyknął Fannin, bez powodzenia próbując nadać swemu piskliwemu głosowi ton stanowczości. – Póki co, ja tu jestem dowódcą! Nie pan ani Houston! Ja!

Zagryzł wyblakłe usta i obciągnął na sobie mundur. Opanował się szybko. Choleryczne ruchy i gestykulacja znikły momentalnie.

– Proszę zarządzić alarm. Pan, majorze, każe obsadzić działa, a pan – zwrócił się do Wallace'a – wezwie do mnie pułkownika Hortona. Dziękuję panom.

Wyszli z budynku koszarowego. Wallace gestykulował z wściekłością, klnąc pod nosem.

– Dureń! Przeklęty głupiec! Nie potrafi samodzielnie podjąć żadnej decyzji!

Uspokoił się nieco, widząc zdziwione spojrzenia żołnierzy. Odetchnął głęboko i położył majorowi rękę na ramieniu.

– Jest pan wykończony. Niech pan odpocznie. Jutro może być gorąco. Nie tylko od słońca.

* * *

Otworzył oczy. Przez chwilę nasłuchiwał, czy to rzeczywistość, czy kołaczące się w głowie resztki snu. Energiczne walenie do drzwi. Krzyk. Zerwał się z łóżka i otworzył. W drzwiach stał przerażony żołnierz i jąkał się, niezdarnie salutując.

– Wy... wy...

– Co takiego?

– Wycofujemy się! Natychmiast! Rozkaz pułkownika!

Major odepchnął żołnierza i wyskoczył przed koszary. Na dziedzińcu w tumanach kurzu biegały bezładne gromady żołnierzy, ładując w pośpiechu wozy. Artylerzyści ściągali z szaniców zatoczone tam z wielkim trudem działa. Wszystko przy akompaniamencie wrzasków, sprzecznych rozkazów, rżących z przestachu koni.

Major zawrócił do izby, ubrał się pospiesznie i włączył się do ogólnego bałaganu. Kapitanowie Pettus i Duvall bezskutecznie starali się zebrać do kupy swoje kompanie. Dostrzegł też majora Wallace'a – stał na zachodnim szanicy i wskazywał ręką w kierunku otwartej prerii. Podbiegł do niego i nie pytając o nic, wyteżył wzrok. Na horyzoncie migotały czerwone plamki, niczym buzujące nad ogniskiem iskierki. Zjawisko zbliżało się do twierdzy i po kilku minutach oficerowie mogli rozróżnić sylwetki koni i odzianych w czerwone mundury jeźdźców.

– Dragoni – szepnął Wallace. – Forpoczta Urrey.

Równa linia kawalerzystów, zbliżających się miarowo do fortu, kontrastowała z ogólnym bezhołowiem na fortecznym dziedzińcu. Złotowłosey sprawca całego zamieszania jeździł konno tam i z powrotem, wymachując swoją kuriozalną szablą i potęgując tylko zamieszanie.

Nagle zza budynków koszar wyjechało kilkudziesięciu Teksaszczyków. Wartownicy uchylili bramę i oddział kawalerii teksańskiej wyjechał na otwarte pole, rozwijając się do szarży. Na czele jeźdźców major wypatrzył charakterystyczną sylwetkę pułkownika Hortona. Jadący początkowo klusem kawalerzyści przeszli w galop i pognali w kierunku linii Meksykanów.

Miotający się bezładnie po dziedzińcu piechurzy wylegli masowo na szanice. Panika ustąpiła, rozległy się gwizdy i wiwaty. Do uszu Teksaszczyków dotarły dźwięki trąbki. Horton rozdzielił swoją gromadkę jeźdźców na dwie grupy i pędził w stronę Meksykanów. Czerwone sylwetki zatrzymały się, a następnie zaczęły się oddalać.

Szanice ożyły i setki gardeł jęły wyć w zachwycie. Żołnierze strzelali w powietrze. Fannin nadal jeździł po dziedzińcu, jakby wiwaty przeznaczone były dla niego. Co bardziej zapalczywi zataczali na nowo działa na pozycje, żeby razić z nich uciekającą kawalerię Urrey.

Jeźdźcy Hortona zawrócili i skierowali się z powrotem do fortu. Kilku z nich triumfalnie przejechało wzdłuż wałów, potrząsając zgubionymi przez dragonów lancami, zakończonymi czerwono-biało-zielonymi proporczykami. Fannin od razu pogalopował w stronę Hortona, chcąc zagarnąć dla siebie nieco splendoru. Major Wallace nie czekał dłużej. Ruszył między ludzi, którzy w luźnych gromadach żywo komentowali widowisko, i zaczął zapędzać ich z powrotem do roboty. Pożytkiem z akcji Hortona, prócz zdobycia kilku proporczyków, było opanowanie paniki wywołanej przez długowłosego dowódcę. Żołnierze rażno wzięli się do roboty, ładując zaopatrzenie na wozy.

Pod wieczór dopełniło się dzieło destrukcji – zgodnie z rozkazami generała Houstona stara misja La Bahia, przechrzczone przez Fannina na Fort Defiance, miała zostać doszczętnie zniszczona, żeby nie wpadła w ręce wroga. Zagwożdżono ciężkie działa, a żołnierze z

pochodniami podłożyli ogień pod zabudowania misji.

* * *

Rankiem 19 marca kolumna pułkownika Jamesa Fannina ruszyła na wschód, pozostawiając za sobą zgliszcza Fortu Defiance. W unoszącej się gęstej mgłę Teksaszczyk wyglądali jak zjawy. Oficerowie popędzali ospałych żołnierzy, ale wozy z amunicją i zaopatrzeniem, ciągnięte przez niemrawe woły, znacznie spowalniały marsz. Fannin zdawał się jednak nie przejmować zupełnie żółwim tempem – jego uwagę zaprzętał teraz inny fakt. Odkrył bowiem, że we wczorajszym zamieszaniu, ładując wozy bronią i amunicją, zapomniano o załadowaniu żywności. Nagle okazało się, że pół tysiąca żołnierzy na środku pustyni nie ma co jeść.

Minęło południe, gdy oddział dotarł do rzeczki Manahuilla, położonej ledwie pięć mil od Goliad. Fannin wysłał kawalerzystów Hortona na rekonesans, a sam zaczął zapędzać ludzi do rozładowywania dopiero co załadowanych wozów, by przeprowadzić je przez rzekę.

Major z dezaprobatą kręcił głową, widząc bezładną kotłowanąię. Przeprowa przez rzeczkę zajęła dobrą godzinę – przy akompaniamencie przekleństw żołnierze przenieśli przez rzekę większość amunicji i muszkietów. Przeprowadzono też porykujące żalośnie woły. Kolumna ruszyła dalej, ale morderczy wysiłek dał się ludziom we znaki.

– Zatrzymamy się na popas – zwrócił się pułkownik do otaczających go oficerów – dwie mile stąd, nad rzeką Coletto.

– Sir, Urrea depcze nam po piętach – przekonywał dowódcę kapitan Shackelford, wysoki oficer dowodzący kompanią ochotników z Alabamy. – Nie traćmy czasu.

– Zatrzymajmy się za Coletto – poparł go kapitan Duval – drzewa i rzeka dadzą nam osłonę.

Fannin machnął ręką.

– Ubezpiecza nas pułkownik Horton i jego kawaleria. Nie mamy się czego obawiać.

Pół godziny później tuman pustynnego pyłu od zachodniej strony unaoczniał wszystkim, jak bardzo dowódca się mylił. Jadący w środku kolumny major przyłożył rękę do czoła. Znow te przeklęte czerwone iskiarki.

Żołnierze niepewnie rozglądali się wokół. W szeregach dało się zauważyć pierwsze objawy paniki. Dowodzący batalionem Wallace spiął konia i ruszył w kierunku pułkownika.

– Sir! Meksykanie! Musimy zająć pozycję! – krzyczał, wskazując widniejącą na horyzoncie linię drzew porastających brzegi Coletto Creek.

– Nie – uciał sucho Fannin. – Tabory i artyleria nie zdążą.

– Do diabła z nimi! – krzyczał rozgorączkowany Wallace. – Nie damy im rady w otwartym polu! Musimy się wycofać!

– Nie! – krzyknął histerycznie Fannin. Stojący w pobliżu żołnierze bez trudu dostrzegli

jego bladą twarz i drżące ręce – Ustawić wozy w czworobok! Armaty między nimi! Szybciej, na miłość boską!

Kapitanowie rozbiegli się do swoich kompanii. Żołnierze, zmotywowani widokiem wroga, rzucili się do wyprzęgania wozów. Sprawnie, w ciągu kilkunastu minut ustawili je w foremny czworobok. W jego kąty zatoczono cztero – i sześćofuntowe działa. Stłoczeni za wozami Teksaszczyki pospiesznie nabijali broń, ustawiali skrzynie i beczki, tworząc prowizoryczne stanowiska strzeleckie.

W oddali, poza zasięgiem strzału, nie spiesząc się już maszerowały meksykańskie kolumny. Teksaszczyki widzieli flagi i proporce, dostrzegali oficerów na koniach, do ich uszu docierały zniekształcone odległością komendy i warkot werbli. W tumanach pyłu odziane na czerwono bataliony otaczały prowizoryczne umocnienia ludzi Fannina, kryjąc się w zaroślach i wysokich trawach.

Przez godzinę nad otwartą prerią zalegała śmiertelna cisza. Tylko czasem meksykańscy kurierzy przemykali konno wśród niskich zarośli. Kurzawa wznosiła się i opadała, niesiona przez suchy wiatr. Major rozejrzał się dookoła – po porannej panice nie było śladu. Ludzie ukryci za wozami i prowizorycznymi osłonami zachowywali spokój, obserwując formujące się w oddali meksykańskie bataliony.

Nagle do uszu Teksaszczyków doleciał rytmiczny warkot werbli i przejmujący, dźwięczny głos trąbek. Meksykanie, stojący dotąd w zaroślach w luźnym szyku, zaczęli formować kolumny. Ludzie Fannina z narastającym niepokojem obserwowali równe, imponujące szeregi piechoty, połyskujące osadzonymi na lufach bagnetami i pułkowymi oznakami na czakach. Za piechotą lekkim kłusem ustawiali się w szyku bojowym dragoni. Przy nieznośnym akompaniamencie bębnów Meksykanie szykowali się do szturm.

Naprzód! Krok za krokiem, szereg za szeregiem od strony zachodniej do teksańskich wozów i skrytych za nimi ludzi zbliżać się zaczęły trzy bataliony. Od wschodu nadchodził jeden batalion, wsparty dodatkowo kilkudziesięcioma kawalerzystami. Bagnety kołysały się złowrogo niczym poruszane wiatrem łany zboża. Młodzi dobosze wybijali takt, szeregi zwierzały się w miarę zbliżania do barykady. Łopotwały trójkolorowe flagi republiki z orłem pożerającym żmiję.

– Przygotować się! – padły komendy. Skryci za wozami żołnierze, uzbrojeni w większości w długie brytyjskie rusznice Brown Bess, wycelowali w świetnie widocznych w słońcu nieprzyjaciół. Zza umocnień wychyliły się dubeltówki, pensylwańskie sztucery myśliwskie, strzelby ładowane śrutem i śmiercionośne garłacze z rozszerzanymi lufami. Artylerzyści z zapalonymi lontami stali koło dział.

Meksykanie przyspieszyli. Werble zawarczały złowrogo, sztandary wycofano na tyły. Konie ze stępa przeszły w kłus. Na odgłos wyraźnych już komend błyszczące bagnety pochyliły się do przodu. Sto pięćdziesiąt metrów. Wzbity setkami nóg i kopyt pył uniósł się ku górze. Sto dwadzieścia. Przyspieszone oddechy, rzenie koni, przekleństwa, słowa

modlitwy.

– *Fire!*

Ułamek sekundy ciszy, a potem ogłuszający huk rozdarł powietrze, mieszając się z krzykiem rannych i przeraźliwym kwikiem koni. Muszkiety plunęły ogniem prosto w twarze Meksykanów. Pierwsze szeregi czerwonych kurtek padły jak ścięte nożem. Konie zrzuciły jeźdźców, tratowały leżących na ziemi żołnierzy. Ci, którzy przeżyli salwę, zszokowani i oszołomieni wytracili impet, wpadając na ciała zabitych i rannych towarzyszy. Gęsty prochowy dym i preriowy pył oślepiły nacierających. Oficerowie bezskutecznie próbowali opanować bezładną kotłowaną, w którą w mgnieniu oka zmieniły się dumne bataliony.

Morderczy ogień przycichł. Sami Tekszańcy zdumieli się efektem swojej salwy. Dym przerzedził się po chwili i do akcji włączyły się umieszczone w narożnikach działa, potęgując panikę w meksykańskich szeregach. Żeliwne kule, wystrzelone pod niskim kątem, z przeraźliwym sykiem rykoszetowały w stronę nacierających, zbierając krwawe żniwo, rozrywając na strzępy ludzi i konie, urywając kończyny, raniąc odłamkami.

Ostrzeliwując się bezładnie, nacierający na lewej flance strzelcy pułkownika Moralesa rzucili się do ucieczki i zostawili na przedpolu zmasakrowane trupy swych towarzyszy. Morderczy ogień Tekszańców zmusił również do odwrotu znajdujący się w centrum batalion Jimenez pułkownika Salasa. Jedyne prawe skrzydło, nad którym bezpośrednio komendę sprawował sam generał Urrea, mimo ciężkich strat utrzymywało szyk i porządek.

Charakterystyczna sylwetka generała, ubranego w szamerowany złotem mundur, zwracała uwagę i skryci za wozami Tekszańcy z miejsca wzięli go na cel. On sam zdawał się drwić sobie z kul, jeżdżąc klusem wzdłuż czerwonej linii piechurów.

Major dostrzegł sylwetkę meksykańskiego dowódcy. Oparł muszkiet o dyszel wozu i starannie wycelował. Huk wystrzału. Gryzący w oczy dym. Pudło.

– To Urrea! – krzyknął kapitan Westover.

– Widzę. Chyba sam szatan go strzeże!

– Meksykanie nazywają go „Niezwycięzony”.

– Miejmy nadzieję, że dziś straci swój przydomek.

Westover uśmiechnął się blado. Mimo ciężkich strat, jakie zadali Meksykanom, kilkunastu Tekszańców padło, głównie od ognia strzelców wyborowych, których Urrea umieścił w porastającej wokół wysokiej trawie. Szczególnie dotkliwe straty ponieśli umieszczeni w nieosłoniętych rogach czworoboku artylerzyści.

Bezładnie cofających się Meksykanów ścigały kule, gwizdy i przekleństwa. W skrytych za wozami ludzi Fannina wstąpił nowy duch. Ochotnicy z Alabamy i nowoorleańczycy wiwatowali i strzelali na przemian, mimo że wróg uszedł spoza zasięgu muszkietów. Pettus i Shackelford powstrzymywali nawet co bardziej zapalczywych ludzi, którzy przeskakując wozy chcieli gnać za uciekającymi Meksykanami. Fannin, podbudowany sukcesem, znów dosiadł wierzchowca, by być lepiej widocznym, i uchylając kapelusza pozdrawiał żołnierzy.

Stanąwszy w strzemiionach z uniesioną ręką, zamierzał zapewne przemówić, ale w tym momencie wiwaty i okrzyki osłabły, a ludzie zastygli w milczeniu. Od zachodu wiatr przyniósł charakterystyczne rytmiczne odgłosy. Znowu werble.

Przetrzebione ogniem Tekszańczyków bataliony formowały się na nowo. Urrea dwoił się i troił wraz ze swoim sztabem, przegrupowując spanikowane oddziały i zaganiając żołnierzy z powrotem do szeregów. Wsparte wciąż przybywającymi z zachodu posiłkami, oddziały rozwijały się do natarcia.

Krwawa lekcja z pierwszego ataku nie poszła na marne – oczom obrońców ukazały się czerwone szeregi rozsypane w luźniejsze tyraliery. Wiedząc już, czego mogą się spodziewać, Meksykanie ruszyli ponownie. Rozkazy, sygnały trąbek, warkot bębnow. Szybciej, truchtem pokonywali odległość, depcząc po ciałach swych towarzyszy. Podziurawione kulami sztandary górowały nad prowadzonym osobiście przez Urreę elitarnym batalionem grenadierów San Luis.

Nie czekając na komendę, tekszańskie muszkiety znów pochylły się w stronę wroga. Prawie tysiąc piechurów w trzech liniach błyskawicznie zbliżało się do nich. Nagle wstrzymani uniesioną generalską szablą Meksykanie przystanęli w połowie drogi. Pierwsze szeregi czerwonych kurtek przyklękły. W stronę warownego obozu skierowało się tysiąc luf.

– *Fire!*

– *Fuego!*

Obie komendy zlały się w jedno, tonąc w ogłuszającym huku. Salwa wystrzelona przez Meksykanów powaliła kilkunastu obrońców, przebijając płótno wozów. Wycie rannych zmieszało się z przeraźliwym kwikiem kilku trafionych wierzchowców. Dwóch stojących obok majora Tekszańczyków padło z przestrzelonymi głowami. Obok jakiś młody chłopak charczał, trzymając się za krwawiące gardło. Tekszańczycy odpowiedzieli ogniem, ale wskutek zaskoczenia zdobyli się tylko na nieregularną palbę. Sapnęły narożne działa, lecz kule w większości przeleciały nad Meksykanami.

Batalion San Luis z mrozącym krew w żyłach wrzaskiem rzucił się na tekszańskie pozycje. Nie było już szans na powtórne nabicie broni. Większość obrońców odrzuciła muszkiety, dobywając noże. Pył i prochowy dym oślepił jednych i drugich. Major w ostatniej chwili spostrzegł, że jakiś gruby Meksykanin pędzi z odsłoniętym bagnetem wprost na niego. Błyskawicznie przyłożył broń do oka. Strzał. Grubas zatoczył się i padł. Biegnący obok niego towarzysz zamachnął się, ale major odbił pchnięcie i trzasnął go kolbą w twarz.

Nagle wokół zrobiło się czerwono od meksykańskich mundurów. Killkudziesięciu żołnierzy Urrey wdarło się w obręb obozowiska, rozdzielając ludzi Westovera i Pettusa i przewracając dwa stojące na drodze wozy. Pettus walczył dzielnie w otoczeniu swych ludzi, którzy bezlitośnie dźgali nożami i miażdżyli kolbami stłoczonych na niewielkiej przestrzeni żołnierzy. Strzały umilkły na chwilę, ustępując krzykom, prośbom o litość, rżeniu

konających.

Major odepchnął jakiegoś Meksykanina, gdy poczuł silne uderzenie w kark. Runął na ziemię, resztką świadomości osłaniając głowę przed ciosem. Uderzenia bagnetem w ramię prawie nie poczuł – obrócił się na wznak i zobaczył rosnącego żołnierza w czerwonym mundurze, szykującego się do zadania ostatecznego ciosu. Meksykanin podniósł muszkiet z osadzonym na lufie bagnetem.

Boże, miej mnie w opie...

Meksykanin upuścił broń, rozrzucił ręce i padł na wznak. Nad trupem stał uśmiechnięty Westover z zakrwawionym nożem. Umazany krwią i pyłem, wyglądał jak diabeł.

– Proszę nie dziękować – rzucił do majora.

– Nie zamierzam – odkrzyknął leżący i jednocześnie wyszarpnął zza pasa pistolet. Wycelował tuż koło głowy swego wybawcy i nacisnął spust. Westover znieruchomiał przerażony, po czym obejrzał się za siebie. Zdążył jeszcze dostrzec padającego Meksykanina z dziurą w głowie, który zamierzał się nożem na jego szyję.

Pułkownik Fannin uwijał się konno, zagrzewając do boju swych ludzi. Po raz pierwszy od początku nieszczęsnej kampanii jakby odzyskał pewność siebie. Dojeżdżał właśnie do stanowisk kompanii Pettusa, gdy nagle zachwiał się w siodle i pochylił się do przodu, opadając na koński grzbiet. Kilku żołnierzy podbiegło do dowódcy i pochwyciło go, nim zdążył zsunąć się na ziemię.

Strzelanina przycichła. Zamiast huku wystrzałów Teksasńczycy usłyszeli meksykańskie trąbki, metalicznym dźwiękiem wzywające do odwrotu. Czerwone kurtki cofały się bezładnie.

Major postawił muszkiet kolbą na ziemi i oparł się o rozgrzaną lufę. Prochowy dym ustępował powoli, odsłaniając usłane ludzkimi i końskimi trupami pole bitwy. Gdzeniegdzie ranni Meksykanie próbowali czołgać się ku swoim pozycjom, zewsząd dobiegały jęki i błagania. Upiorny widok sprawił, że po obu stronach strzelanina niemal zamarła.

* * *

– Musimy się przebić!

Pomruk aprobaty skwitował wypowiedziane przez Wallace'a słowa. W świetle niewielkiego ogniska twarz Fannina wydawała się jeszcze bledsza. Pułkownik siedział oparty o koło wozu, trzymając się za wciąż krwawiący bok.

– Z każdą chwilą Urrea rośnie w siłę – mówił Wallace – a nasze zapasy wyczerpują się. Nie mamy żywności i wody. Kończy się amunicja do dział. Jedyne szansa to wyrwać się z okrążenia!

– A co z rannymi? – zapytał Fannin podniesionym głosem. Trudno było nie zauważyć, że miał na myśli przede wszystkim siebie. – Mamy ponad sześćdziesięciu rannych. Chcecie ich wydać na pastwę tych rzeźników?

Oficerowie spuścili wzrok. Żaden z nich nie miał złudzeń, jaki los czeka ludzi pozostawionych na łasce Meksykanów.

– Część naszych ludzi ze straży przedniej wyrwała się z okrążenia – mówił dalej pułkownik słabym głosem. – Jeśli uda im się dotrzeć do Victorii, zaalarmują tamtejszy garnizon. Ponoć jest tam prawie sześciuset ludzi.

– Marna nadzieja, sir – odparł ponuro Shackelford. – Nie mamy żadnej pewności, czy milicja nadal tam jest. Ale pułkownik ma rację: nie możemy tu zostawić naszych braci. W każdym razie ja się nie ruszę!

– Zaczekamy do rana – zakończył dyskusję Fannin. – Jeśli posiłki nie przybędą, spróbujemy się przebić.

Ludzie rozeszli się w ponurych nastrojach. Pierwsze krople zimnego deszczu uderzyły w pokryte płótnem wozy. Tej nocy nikt nie zmrużył oka – dobiegające z ciemności jęki rannych i konających mroziły krew w żyłach. Tekszańscy próżno wypatrywali odsieczy – pomoc nie nadeszła. Tylko jęki umierających żołnierzy cichły stopniowo.

* * *

Z nastaniem świtu hałasy dobiegające z obozu meksykańskiego przybrały na sile. Tekszańscy na próżno wpatrywali się w dal. W powietrzu unosiła się niepewność i zniechęcenie.

Nagle nad meksykańskimi pozycjami pojawiły się obłoki dymu. Jednocześnie dał się słyszeć przeraźliwy gwizd i armatnie kule jedna za drugą poczęły razić tekszański czworobok. W powietrze wzbily się tumany pyłu, a ludzie rzucili się na ziemię, szukając osłony w zagłębieniach terenu i pod wozami. Jedna z kul trafiła w sam środek prowizorycznej zagrody dla koni, wywołując panikę wśród wierzchowców. Przerażone konie sforsowały ogrodzenie i rzucały się po całym obozie, tratując ludzi. Następną kulą trafiła w tymczasowy szpital, inna rozerwała na strzępy trzech żołnierzy z kompanii Pettusa. Jeden z wozów stanął w płomieniach. Działa Tekszańczyków odpowiadały rzadko i niecelnie – brak amunicji dawał się we znaki.

Kanonada ucichła równie nagle, jak się zaczęła. Major podniósł się ostrożnie z ziemi, starając się coś dojrzeć w tumanach opadającego pyłu. Nagle pociemniało mu w oczach. W najwyższym punkcie obozu, zatknięty na kiju, łopotał kawał białego płótna.

Inni również dostrzegli haniebną flagę. Kilkudziesięciu protestowało, ale większość przyjęła ten widok z obojętną rezygnacją. Meksykańska kanonada odebrała im chęć do dalszej walki. Tylko żołnierze z kompanii regularnej Westovera oraz ludzie Pettusa i Shackelforda potrzęsali gniewnie muszkietami, wygrażając śmiertelnie blademu Fanninowi.

Po godzinie trzech meksykańskich oficerów weszło w obręb obozu. Ranny w biodro Fannin przyjął parlamentariuszy, wsparty na ramieniu kapitana Shackelforda. Zdawał sobie

sprawę z tego, że nastąpiła historyczna chwila, i za wszelką cenę pragnął wyglądać okazale. Historyczny moment psuł jednakże jeden drobny szczegół – żaden z przybyłych oficerów nie znał angielskiego, nikt zaś z ludzi Fannina nie mówił po hiszpańsku. Obie delegacje po oddaniu wojskowych honorów milczały z zakłopotaniem, patrząc na siebie.

Jeden z przybyszy ze złością trzepnął kapeluszem w udo.

– *Himmellaudon* – zaklął pod nosem. – *Und? Was jetzt?*

Major podszedł do niego.

– *Sind Sie ein Deutscher?*

– *Ja, Oberstleutnant Holzinger.*

– *Ich spreche deutsch. Ich kann's ubersetzen* – powiedział major i powtórzył tę propozycję po angielsku Fanninowi.

Negocjacje za pomocą anglo-niemiecko-hiszpańskiej językowej hybrydy ciągnęły się przez trzy kwadransy. Fannin nalegał na honorowe warunki kapitulacji, lecz przewodniczący meksykańskiej delegacji, pułkownik Morales, przez cały czas kręcił przecząco głową, żądając bezwarunkowej kapitulacji. Jediną korzyścią wytargowaną przez Tekszańców była obietnica dobrego traktowania i udzielenia pomocy rannym.

Tekszańcy z opuszczonymi głowami odrzucali broń. Późnym popołudniem kolumna prawie trzystu żołnierzy Fannina ruszyła z powrotem w stronę spalonego Fortu Defiance w Goliad.

* * *

Pułkownik Jose Nicolas de la Portilla, otyły oficer o bladej cerze i wysokim czole, ponownie zaczął czytać list. Stojący u wejścia młody kurier zauważył, że pułkownikowi drżą ręce.

– Pan zna treść tego listu, poruczniku?

– Znam. *El Presidente* dyktował ten rozkaz przy mnie.

Portilla wstał i wyszedł z namiotu. Kilka ognisk oświetlało dziedziniec Fortu Defiance. W powietrzu wciąż unosił się zapach spalenizny. Wartownicy leniwie przechadzali się wśród śpiących więźniów. Pułkownik wpatrywał się w leżące sylwetki Tekszańców, po czym odwrócił się do kuriera.

– A zatem – szepnął – to ich ostatnia noc...

* * *

Dzień 27 marca 1836 roku zapowiadał się pogodnie. Gęste powietrze zdawało się całkowicie nieruchome, gdy meksykańscy żołnierze okrzykami zaczęli budzić śpiących Tekszańców. Major podniósł się z ziemi. Jakiś żołnierz pchnął go w stronę północnej

części dziedzina. Meksykanie dzielili jeńców na trzy oddzielne grupy.

Teksańczycy żwawo zbierali części garderoby i ekwipunku. Panowały generalnie pogodne nastroje, gdyż jak wieść niosła, mieli zostać odtransportowani na wybrzeże i przewiezieni statkami do Nowego Orleanu.

Eskorta otoczyła pierwszą grupę. Rozległ się okrzyk: „*Vamos!*” i major wraz z setką towarzyszy ruszyli w kierunku bramy. U jej wylotu stał krępy meksykański pułkownik o wysokim czole i trupiobladej twarzy.

Ostatnia kolumna jeńców wymaszerowała z fortu, kierując się na południe. Pułkownik Portilla upewnił się, że znikli za horyzontem, po czym skinął na stojącego obok oficera. Ten wraz z grupą kilkudziesięciu żołnierzy ruszył w stronę murowanej kaplicy, gdzie znajdowali się ranni. Po chwili zaczęły dobiegać stamtąd okrzyki przerażenia i stłumione strzały.

Kilku Meksykanów wyciągnęło na dziedziniec bladego Fannina. Wycieńczonego gorączką nieszczęsnego dowódcę oparto o kamienną ścianę świątyni. Z pogardą wpatrywał się w formujący się pluton egzekucyjny. Po chwili gestem przywołał dowodzącego kapitana.

– Proszę tylko o to, by nie strzelano mi w głowę – rzekł niewzruszonym głosem, oddając oficerowi swój zegarek. – Proszę też, by pochowano mnie po chrześcijańsku.

Meksykanin popatrzył na niego obojętnie. Pluton egzekucyjny uniósł muszkiety i wycelował. Okrzyk oficera, salwa. Fannin padł martwy na ziemię. Jakiś żołnierz litościwie nakrył kawałkiem płótna zmasakrowaną przez kule twarz.

* * *

Kolumna zatrzymała się nagle. Idący na jej końcu major spostrzegł, że eskorta, maszerująca dotąd po obu stronach, przeszła nagle na lewo. Teksańczycy patrzyli zdziwieni po sobie. Do niektórych zaczęła docierać straszna prawda.

Meksykanie ustawili się w szereg. Stojący za nimi oficer zakomenderował:

– *Carguen!*

Teksańczycy zastygli w ponurym milczeniu. Nieliczni zaczęli szlochać, prosić o litość, ale większość w ciszy patrzyła zimno w oczy oprawców. Major przeżegnał się i spojrzał na błękitne niebo. Z jego ust popłynęły słowa w dziwnym, niezrozumiałym dla towarzyszy języku:

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

– *Apunten!*

– ...przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

– *Fuego!*

Huknęła salwa. Jeńcy runęli na ziemię. Żołnierze de la Portilli podeszli do ciał i skłuli je bagnietami. Leżący na wznak major spoglądał w niebo szklanymi oczami. Jakiś Meksykanin przyklęknął nad nim i zaczął przeszukiwać mu kieszenie. Nie znalazłszy nic cennego, z

trudem otworzył zaciśniętą pięść majora. Na twarzy żołnierza odmalowało się rozczarowanie. Z dłoni trupa wypadł medalik z białym orzełkiem.

Rozdział 1

– Zasłużony kombatant, uczestnik kampanii wrześniowej, odznaczony Orderem Wojennym Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, współtwórca i wieloletni dyrektor Instytutu Fizyki Ciał Stałych, kochający ojciec, mąż i dziadek...

– Osiemdziesiąt pięć – powiedział Kujawa.

– Osiemdziesiąt dwa – ocenił Gałązka.

– Siedemdziesiąt dziewięć – zakończył Czernicki.

– Pudło – z satysfakcją zawołał Halbert. – Żaden nie zgadł. Prawidłowa odpowiedź: dziewięćdziesiąt jeden!

– Niech to szlag! – Czernicki walnął pięścią w stół.

– Twardy sukinsyn. – Kujawa z uznaniem pokiwał głową.

– Nie gadać, tylko wpłacać – zażądał Halbert, wskazując leżącą na biurku kupkę banknotów. – Po dychu do banku!

Grubasy dorzuciły do stosu trzy banknoty dziesięciozłotowe.

– No dalej, dalej! – ponaglał Gałązka.

– Chwileczkę – mamrotał Halbert. – O! Mam! Wspaniały kolega i przyjaciel, kochający syn. Jest jeszcze wierszyk:

*Zabrałeś, Boże, ten cudny kwiat, czemu, och czemu,
myśli nasze będą biegły ku niemu, ku niemu...*

– Skończcie z tymi kiepskimi rymami! Konkrety!

– Ciężka sprawa. – Gałązka nerwowo kręcił końcówką swego rzadkiego wasa. – Stawiam na mickiewiczowskie czterdzieści i cztery!

– Kochający syn... hm... trzydzieści dwa – rzucił Czernicki.

– A ja równe czterdzieści! – Kujawa kręcił głową.

– Zwycięzcą został... – oznajmił Halbert, dodając pauzę dla efektu – kolega Czernicki! Denat miał dokładnie trzydzieści dwa lata!

– Nareszcie! – Czernicki łapczywie zgarnął banknoty wielkimi łapami. – A już myślałem,

że szczęście mnie opuściło!

Halbert odłożył gazetę z nekrologami i spojrzął na młodziana, który stojąc w progu, z przerażeniem obserwował zabawę grubasów.

– Pan do kogo?

– Ja... – bąknął młody – nazywam się Tomasz. Ja do pana naczelnika... Hal...

– To ja. W jakiej sprawie?

– W takiej sprawie, że mam tu z panami pracować.

Zdziwienie pomieszane ze zgrozą odmalowało się na twarzach grubasów. Od lat nic nie naruszało autonomii ich grobowca, oznaczonego numerem 240. Kujawa podniósł się zza biurka.

– Cóż, z pewnością nastąpiła pomyłka – rzekł, ruszając wolno ku drzwiom. – Zaraz sprawę wyjaśnimy...

– Czekaj – Halbert złapał Kujawę za owłosione łapsko – nie ma pośpiechu, wyjaśnić zawsze zdążymy. Niech pan spocznie, młody człowieku.

Tomasz bezskutecznie rozejrzał się za krzesłem. Ponieważ takowego nie znalazł, przycupnął na zakurzonej kaloryferze, w milczeniu przypatrując się czterem łycholom.

– Grywa pan w denata? – Czernicki przerwał kłopotliwe milczenie.

– Nie... raczej nie.

– Powinien pan spróbować – oświadczył Halbert – to bardzo rozwijająca gra.

– Ćwiczmy umysł i wyobraźnię – dorzucił Gałązka i wszyscy czterej uśmiechnęli się uroczo jak tłuste pensjonarki.

– Pije pan?

– Umiarkowanie.

– Papierosy?

– Nie palę.

– Jakież inne nałogi?

– Zapał do pracy.

Grubasy uśmiechnęły się życzliwie, błyskając złotymi koronami. Tomasz odpowiedział równie wdzięcznym grymasem. Pierwsze lody zostały przełamane.

– Chwilowo nie mamy dla pana biurka – rzekł naczelnik, gładząc się po łysinie – ale po herbacie uruchomimy procedurę jego pozyskania.

– Procedurę?

– Aby uzyskać z magazynu jakikolwiek sprzęt – wyjaśnił uprzejmie Gałązka – należy wypełnić druk zamówienia „DZM 05”. Po napisaniu uzasadnienia i uzyskaniu podpisów naczelnika i właściwego wicedyrektora należy przedłożyć kwit w dwóch kopiach do Departamentu Zaopatrzenia Materiałowego.

– I potem już z górki – dodał Kujawa.

– Z górki? – jęknął młodzian.

– No, jeszcze tylko opinia dyrektora Departamentu Gospodarczego i parafka kierownika sekcji BHP. Bułka z masłem.

Tomasz westchnął przejmująco. Halbert spojrzał na niego ze współczuciem.

– Niech się pan nie załamuje, młody człowieku. Przywyknie pan. Witamy w urzędzie państwowym.

– My tu gadu-gadu... – powiedział Czernicki – a denaci stygną.

– Ach tak! – Halbert chwycił gazetę i przeskanował oczami stronicę. – Nooo, panowie, teraz inaczej pogadamy. Uwaga! Utalentowany muzyk, absolwent klasy skrzypiec u profesora Brzewskiego, wybitny pedagog, laureat prestiżowego konkursu.

* * *

Tomasz bezskutecznie próbował skupić się nad papierami. Straszliwy zaduch, panujący w nigdy chyba nie wietrzonym pomieszczeniu, uniemożliwiał w praktyce funkcjonowanie organizmów żywych. W ciągu kilku pierwszych dni pracy młodzian z podziwem patrzył na czterech towarzyszy, którzy wydawali się nie zwracać uwagi na ten drobny fakt, jakim był brak tlenu.

Przewrócił kartkę. Drobinę kurzu unosiły się w smugach promieni słonecznych, przebijających się przez wypalone petami dziury w firanach. Różowa dziewczyna z enerdowskiego plakatu wiszącego na ścianie, niezadowolona zapewne z zawieszanej przez Tomasza konkurentki, zdawała się patrzeć na niego z wyrzutem. Rozmyta sylwetka nagiej dziewczyny z kopii kalendarza „Pirelli”, pławiąca się w odcieniach błękitu i czerwieni, była pierwszym sygnałem, że młody człowiek zamierza wprowadzić w zmurszałym pomieszczeniu nieco oryginalności.

Zabierał się właśnie do upychania papierów w przepastnych szufladach, gdy nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich smukła blondynka nadzwyczajnej urody. Ciemne, wyraziste oczy, nakryte cieniutką linią brwi, wpatrywały się badawczo w Tomasza, oślepienie chwilowo jaskrawym słońcem. Dziewczyna zastygła na moment, a jasna garsonka wspaniale uwidoczniła jej ponętne kształty i długie, zgrabne nogi w seksownych kozaczkach.

Efekt, wzmocniony dodatkowo smugą promieni słonecznych, odbijających się w blond włosach, był oszałamiający i referent, przyzwyczajony w godzinach służbowych do widoku pań w wieku poprodukcyjnym, musiał wziąć głęboki oddech, by dojść do siebie.

– Pan jest tym nowym pracownikiem?

Potwierdził tylko skinieniem głowy, nie śmiejąc odezwać się w obecności bogini.

– Agata. Z kadr – przedstawiła się rzeczowo. – Czy wypełnił już pan kartę obiegową?

– Co? Tak, to znaczy nie. Jeszcze nie.

– Niech pan zrobi to szybko. I dostarczy mi do pokoju.

Formalny ton i brak choćby śladowej kokieterii w głosie osłabiły nieco początkowy efekt,

jaki wywarła na Tomaszu piękna kadrowa. Do myślenia dała mu jednak dopiero replika, którą otrzymał stary lowelas Halbert, nadmieniwszy z peerelowską kurtuazją coś o pięknych oczach panny Agaty.

– W tanich komplementach osiągnął pan mistrzostwo, panie naczelniku – posłała mu w odpowiedzi lodowatą wiązkę – ale lepiej niech je pan zatrzyma dla bufetowych i ekspedientek.

Grubas skulił się jak zbity pies. Reszta sfory również przygarbiła się nieco, kapitulując przed wyniosłą blondynką.

– A wracając do pana – Tomasz również mimowolnie się skurczył – oto pański zakres obowiązków i zestaw regulaminów obowiązujących w sztabie. Proszę się z nim zapoznać i zwrócić mi go wraz z obiegówką. To wszystko.

Pięć par męskich oczu odprowadziło blondynkę do drzwi. Wraz z jej wyjściem temperatura w pokoju 240 opadła o kilka stopni.

– Hrabina Cosel, w dupę jeża – mruknął zawstydzony Halbert. – Niedługo tym swoim noskiem porysuje nam sufit.

– Niech pan na nią uważa, młody człowieku. Prawdziwa róża z kolcami... – Kujawa łypnął do Tomasza.

– Na każdą kobietę jest sposób – odparł referent.

– Na kobietę tak. Ale to nie jest kobieta. To personalna.

Ostatnie słowo Kujawy zabrzmiało złowrogo i groźnie. Nie dając niczego po sobie poznać, Tomasz otworzył przyniesioną teczkę i rozłożył dokumenty na swoim wywalczonym z trudem, kulawym i obłuczonym biurku. Umowa o pracę na trzymiesięczny okres próbny, wyniki badań lekarskich, regulaminy wewnętrzne urzędu, zarządzenia dyrektora generalnego, instrukcja przeciwpożarowa, tabela numerów alarmowych i mnóstwo innych biurokratycznych rewelacji łypało na Tomasza standardową czcionką Times New Roman.

Sztab Generalny Wojska Polskiego, w którym młodzian rozpoczynał właśnie pracę, był instytucją formalnie wchodzącą w skład Ministerstwa Obrony Narodowej. Faktycznie jednak zasiadający w nim generałowie robili wszystko, aby uniezależnić się od ministra i osłabić zło konieczne, za jakie uważali zawsze abstrakcyjny i niedorzeczny pomysł tak zwanej cywilnej kontroli nad armią.

Konstytucja Rzeczypospolitej z roku 1997 stanowiła, że zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi sprawuje prezydent za pośrednictwem ministra obrony, którego wszakże mianuje premier. Zwierzchność nad armią przypominała więc smoka o trzech głowach, które żarły się wzajemnie, kłócąc się, w którą stronę podążać ma cielsko. Do tego rozliczne ustawy i rozporządzenia powołały do życia szereg instytucji i urzędów mających zbawienny wpływ na wojsko, wśród których prym wiodły prezydencka Rada Bezpieczeństwa Narodowego, międzyresortowy sztab kryzysowy premiera, sejmowa i senacka komisja obrony oraz konkurujące ze sobą o względy rządzących dowództwa poszczególnych rodzajów wojsk.

Polską armią rządziło kilkanaście zwalczających się koterii, a twierdzenia o apolityczności sił zbrojnych wywoływały wszelkie możliwe rodzaje śmiechu, od stonowanego chichotu generalicji po rubaszny rechot pospolitego żołnierstwa.

Kotłem, w którym mieszały wszystkie te ośrodki władzy, był Sztab Generalny. Zasiadało w nim dwudziestu jeden generałów i ponad siedmiuset cywilnych i wojskowych urzędników. Jeden urząd przypadał więc na stu pięćdziesięciu żołnierzy, co było ewenementem na skalę światową.

Wszelkie zmiany polityczne odbijały się w sztabie ciężką czkawką, wywołując niekończące się restrukturyzacje i zmiany, powstawanie dziesiątek zarządów, departamentów, szefostw, dowództw, inspektoratów i wydziałów, wzajemnie się dublujących i zasypujących się biurokratyczną makulaturą. Ich głównym celem nie było wykonywanie zadań, tylko udowadnianie, że konkurencyjny wydział nie ma prawa ich wykonywać. Podczas gdy żołnierze w jednostkach chodzili w dziurawych butach i strzelali na strzelnicy dwa razy w roku, olbrzymie cielsko sztabu puchło coraz bardziej, powodując zgrozę u natowskich sojuszników, którzy bez powodzenia starali się ustalić, kto tak naprawdę dowodzi polską armią. Wzajemnego powiązania tych struktur oraz łączących ich formalnych i nieformalnych relacji nie rozwikłałby bowiem sam Lucyfer z połową piekielnego komunikatu.

Wszystko to sprawiało, że sztabowy gmach w kolorze obsypanej żużlem jajecznicy, stojący przy ulicy Rakowieckiej, odzwierciedlał niemal dokładnie dantejskie piekło. Tomasz zetknął się z nim już pierwszego dnia pracy, zgodnie bowiem z oryginalnym zarządzeniem szefa sztabu, każdy nowy pracownik przed przystąpieniem do wykonywania zaszczytnych obowiązków wypełniał kartę obiegową. Popularna „obiegówka”, kojarząca się zwykle z podsumowaniem pewnego etapu w życiu, w sztabie była początkiem. Teoretycznie wypełnienie tego kwitu miało być dla nowego pracownika okazją do poznania kolegów i do zapoznania się z topografią rozległych gmaszysk sztabowych. W praktyce zbieranie stempli było zajęciem nużącym i traumatycznym i przypominało młodemu urzędnikowi wędrówkę Dantego po kręgach piekielnych. Łącząc od drzwi do drzwi i z piętra na piętro, Tomasz dostrzegł niezwykle uniwersalność dzieła genialnego florentyńczyka.

Dantejskie piekło składało się z przedpiekła i dziewięciu kręgów piekielnych, w których pokutujący grzesznicy poddawani byli wymyślnym mękom. Podział ten z grubsza przypominał strukturę organizacyjną Sztabu Generalnego. W *Boskiej Komедii* Dantego czeluści piekielne rozpoczynało przedpiekło, gdzie pokutowali ludzie bierni i niezdecydowani, ukarani za obojętny stosunek do świata. W sztabie rolę przedpiekła spełniało biuro przepustek, zaś pokutującym grzesznikiem był dorabiający emeryt, mozolnie wpisujący do książki dane osobowe odwiedzających budynek gości. Wyraz jego twarzy stanowił żywą ilustrację napisu na drzwiach dantejskiego piekła: „Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzić”.

W pierwszym dantejskim kręgu piekielnym cierpiały dusze ludzi nie ochrzczonych oraz

tłum rzewnie wzdychających filozofów. W sztabie wzdychali zwykle petenci Departamentu Aktywizacji Zawodowej, który zajmował się przekwalifikowywaniem żołnierzy zawodowych, dla których zabrakło miejsca w szeregach armii. Ludzi, którzy przez większą część zawodowego życia dowodzili czołgami i strzelali z raket, uczono tu pisać CV i listy motywacyjne oraz dawano cenne rady, jak zaprezentować się na rozmowie kwalifikacyjnej.

Krąg drugi, gdzie znajdowali się grzesznicy nie mogący opanować namiętności, stanowił Departament Służby Sanitarnej wraz ze swym dowódcą, generałem Chojnowskim. Pan generał, będąc jeszcze komendantem szpitala wojskowego w Zamościu, ustalił oryginalne zasady rekrutacji pielęgniarek, w których główną rolę odgrywała kozetka. Siostry, nie doceniwszy rekrutacyjnych sposobów pana doktora, oddały sprawę do sądu, ale magiczna siła koneksji obroniła komendanta. Jak to w Wojsku Polskim bywa, zamiast wylecieć na zbitą morde, dostał awans i przeniesienie do Warszawy.

Krąg trzeci – grzesznicy nie znający umiaru w obżarstwie i piciu – odnosił się generalnie do całego sztabu, ale najwyraźniej zarysowywał się w Departamencie Prognozy, stanowiącym fachową nazwę dla grupy oficerów zajmujących się sporządzaniem analiz rozwoju sytuacji w przyszłości, czyli – mówiąc po ludzku – wrózeniem z fusów.

Współczesnym odpowiednikiem kręgu czwartego, który wypełniali skąpcy, był bez wątpienia Departament Budżetu i Finansów, zaś kręgiem piątym, gdzie pokutowali potępieni za gniew i zazdrość, był Wydział Skarg i Petycji, zasypywany tysiącami pism od zdesperowanych oficerów i podoficerów, uskarżających się na warunki mieszkaniowe, niskie płace, brak perspektyw i inne fundowane im przez armię niespodzianki.

Krąg szósty – heretycy – obejmował płaczących się po wszystkich departamentach młodych oficerów stażystów, zwykle poruczników i kapitanów, nie zepsutych jeszcze, mających świeże umysły i ośmielających się mieć własne zdanie. Wreszcie dantejski krąg siódmy – bluźniercy, samobójcy i marnotrawcy – we współczesnym wydaniu był Departamentem Promocji Armii, w którym oficerowie bezskutecznie próbowali przekonać ciemny naród, że wydatki na cele obronne, zakupy nowych czołgów i samolotów są konieczne.

Identyfikacja kręgu ósmego nie nastęczyła żadnej trudności młodemu urzędnikowi wędrującemu przez piekielne czeluście – oszuści, łapówkarze, pochlebcy, fałszerze, hipokryci, złodzieje, fałszywi doradcy, prorocy i wróżbici stanowili bez wątpienia Gabinet Polityczny Ministra.

Wreszcie ostatni krąg dziewiąty – gdzie u Dantego pokutowali najwięksi zdrajcy, tacy jak Judasz czy Brutus – mieścił się w piwnicznych magazynach sztabu. Na zakurzonych regałach spoczywały przegniłe i zmurszałe portrety Rokossowskiego, Dzierżyńskiego, Bieruta i Świerczewskiego, które niegdyś zdobiły ściany gmachu przy Rakowieckiej.

Wchodzący w skład Sztabu Generalnego Departament do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych, w którym Tomasz obejmował wakant, zaliczał się do dziesiątego,

nieznanego bliżej Dantemu kręgu piekielnego. Był ciałem zrodzonym w bólach na fali antyterrorystycznej hysterii, w atmosferze, w której świat wkraczał w XXI wiek. Dzięki brodatemu szejkowi bin Ladenowi i jego mitycznej Al-Kaidzie tysiące cywilów i wojskowych na całym świecie odnalazło sens swego życia i intratne etaty w przeróżnych instytucjach zrodzonych do walki z terroryzmem. Nowo powołany departament miał koordynować pracę niezliczonych służb, inspekcji i straży, jakimi dobry Pan Bóg szczerze obdarzył Polskę, jak kraj długi i szeroki przygotowując ją do walki z mrocznym widmem terroru.

Cel stworzenia departamentu był zatem bardzo szczytny, ale jak każda instytucja biurokratyczna we wciąż jeszcze trzeciej Rzeczypospolitej, i ta z wolna, acz systematycznie obrastać zaczęła pasożytami niczym drzewo hubą. Podstarzali impotenci z koneksjami, głupiutkie panienki podsuwane i posuwane przez decydentów, młodzi i bezczelni intryganci potrafiący się wkręcić, starzy i zużyci oficerowie chcący dokolebać się do emerytury – płynęli do Departamentu do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych szeroką falą niczym ściek do rzeki.

Ponieważ przyjmowanie nierobów na fikcyjne wakaty było w administracji rzeczą powszechną, kwestia zorganizowania sprawnego funkcjonowania urzędu zależała wyłącznie od inwencji przełożonych. Stojący na czele DSSN pułkownik Langer praktykował z powodzeniem ścisłą segregację pasożytniczej populacji i oddzielenie merytorycznego ziarna od napływowych plew.

Oba gatunki – *merytoris* i *nierobus* – funkcjonowały w doskonałej symbiozie, jakiej z pewnością nie zaznały legwany czy kapucynki państwa Gucwińskich. Kontakty między wartościowymi pracownikami a protegowanymi nierobami ograniczały się do niezbędnego minimum, jakie stanowiły bożonarodzeniowe i wielkanocne życzenia. Mimo początkowych zgrzytów Langerowski apartheid działał doskonale i w momencie, gdy młodzian z przedziałkiem na głowie przekroczył progi Sztabu Generalnego, system ów stanowił podstawę pracy DSSN.

Tomasz przerzucał dostarczone przez hrabinę Cosel papiery, zatrzymując wzrok na karcie zatytułowanej: „Zakres obowiązków”, zawierającej szereg niewiele znaczących ogólników, zaczynających się od słów: „analiza”, „opiniowanie”, „sporządzanie” itd. Jego szczególną uwagę wzbudził ostatni, szesnasty punkt, zamykający się w zdaniu: „Oraz inne polecenia zlecone przez przełożonego”. Mimo że ów szesnasty punkt czynił w zasadzie bezwartościowymi pozostałe piętnaście, Tomasz, krzywiąc się z niesmakiem, złożył na papierze swój niewyrobyony jeszcze podpis. To dziwne, myślał, pieczołowicie wkładając papier w matową koszulkę, zakres nie zawierał w zasadzie żadnych szczegółowych...

– Nie ma wody.

Tomasz ocknął się na dźwięk piskliwego głosu pułkownika Czernickiego. Uniósł głowę znad papierów i spojrzał zdziwiony na grubasa, który wypięty zadem w jego stronę, zaglądał do bezprzewodowego czajnika, niemal wsadzając do środka swój nochal.

– Nie ma wody – powtórzył, a czajnik zabawnie zwielokrotnił jego głos.

Tomasz starał się zignorować spragnionego grubasa, ale ten sunął powoli w jego stronę, hałaśliwie kłapiąc plastikową pokrywką czajnika.

– Nie ma wody, panie Tomku! I co my teraz zrobimy?

Czajnik dotarł niemal pod sam nos Tomasza. Młodzian dźwignął się z rozlatującego się krzesła i westchnął:

– To chyba trzeba po nią pójść...

– Że też na to nie wpadłem! – Gruby sęp puknął się w czoło. – Od razu widać, że z pana magisterska głowa! Dziękuję panu, panie Tomaszu, jak to się mówi, w imieniu służby!

Tomasz włókł się korytarzem w stronę cuchnącego lizolem klozetu, smętnie dzierząc w dłoni plastikowe naczynie. Ranga referenta, którą otrzymał, a która w skomplikowanym systemie stanowisk urzędniczych plasowała się najniżej, w praktyce czyniła zeń chłopca na posyłki.

Odkręcił kurek i nalał śmierdzącej chlorem wody do czajnika. Kran prychnął i krztusił się, chlapiąc na lewo i prawo tak, że po zakończeniu tej czynności ręce i rękawy pana referenta były mokre. Pudełko na papierowe ręczniki naturalnie było puste, gdyż słabo opłacane urzędniczki miały w zwyczaju traktować męski szalet jak darmowy sklep AGD. Wracając, Tomasz miał nadzieję, że nie będzie musiał ścisnąć żadnej ręki na powitanie, ale jak na złość zza rogu wyłoniły się sylwetki dwóch zastępców Langerera.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że obu wicedyrektorów Departamentu do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych dzieli niemal wszystko. Wicedyrektor Lipiński był wysokim szpakowatym chudzielcem, wicedyrektor Oliwny zaś tłuściutkim i korpulentnym konusem.

– Cooo tam słycać, panie Tomaaaszu? Heeerbatki się zaaachciało, cooo?

Oliwny przyblokował referenta swą obłą sylwetką. Zabawne przeciąganie samogłosek stanowiło jego swoisty znak firmowy, wzbudzając w słuchaczu przedwczesną sympatię i zaufanie. Stopniowy zanik szyi, który postępował wraz z kolejnymi latami służby pana pułkownika, sprawiał, że chcąc spojrzeć w lewo lub w prawo, grubas obrócić musiał całe ciało, chcąc zaś spojrzeć w górę lub w dół, stosownie kuczał bądź stawał na palcach. Myliłby się jednak ten, kto wzięłby jowialną powierzchowność za dobrą monetę – pod rubaszną powłoką krył się wytrawny gracz, bacznie obserwujący otoczenie, cyniczny i pamiętliwy. Powoli i systematycznie zapełniał departament swoimi przydupasami, czyhając tylko, aż Langerowi powinie się noga.

Wicedyrektor Lipiński zaś stanowił rzadko spotykany w polskiej armii przykład człowieka, który doszedł do dyrektorskiego stołka, nie mając żadnych koneksji ani znajomości. Podczas kiedy jedynym uznawanym sposobem na laury i zaszczyty była bezwzględna i mordercza walka, on zrobił karierę, siedząc cichutko za swoim biurkiem i posłusznie, bez cienia sprzeciwu wykonując wszystkie polecenia. Awansował pomalutku, bez hałasu i gdy wreszcie mianowano go wicedyrektorem, wszyscy wokół ze zdziwieniem dostrzegli jego istnienie.

Przysadziste manewry pierwszego i nieporadne, jakby niezdecydowane ruchy drugiego sprawiały, że obaj „wice” przypominali R2D2 i C-3PO – parę pociesznych robotów z kultowego filmu *Gwiezdne wojny*.

– Mam mokrą rękę, panie dyrektorze.

– Dyyyrektor nie z cuuukru – zahuczał Oliwny.

O ile pułkownik Oliwny pełnił rolę „do rany przyłóż”, o tyle Lipiński był departamentowym „wujkiem Dobrą Radą”, uważającym, że zadanie dyrektora polega na ciągłym uświadamianiu ciemnych podwładnych.

– Herbata to dobra rzecz, wzmacnia organizm. Choć z drugiej strony podobno jest szkodliwa.

Referent pokornym ukłonem przyjął do wiadomości tę cenną i jednoznaczną uwagę, wymijając jednocześnie obu pułkowników.

Wróciwszy do pokoju, postawił czajnik na szafce i westchnąwszy, zabrał się do wertowania kupy segregatorów. Sprawy, którymi zajmował się departament, zadziwiły Tomasza kolorytem i różnorodnością. Po trzech latach, które spędził w Kancelarii Sejmu na nudnej, rutynowej robocie, przyszła praca w instytucji wojskowej zapowiadała się wielce obiecująco. Nawet czterech grubasów, z początku traktujących go jak piąte koło u wozu, przekonało się do niego, traktując go jak młodego adepta i udzielając cennych rad.

– Pamiętaj, młody człowieku – mądrzył się Czernicki – każdego wchodzącego interesanta, bez względu na wagę i rodzaj sprawy, należy odesłać do innego pokoju. Średnio jedna trzecia z nich już nigdy nie wraca. A zatem już na starcie trzydzieści procent roboty mniej!

– Dobry urzędnik przemierza korytarze krokiem szybkim i zdecydowanym – pouczał go innym razem naczelnik Halbert. – W ręku zaś bezwzględnie zawsze należy nosić teczkę wypchaną papierami. To robi doskonale wrażenie na przełożonych.

– Istnieje kilka pozycji umożliwiających spanie przy biurku – dzielił się życiowym doświadczeniem podpułkownik Kujawa. – Najlepsza jest pozycja na „poszukiwacza”. Siedząc na krześle, opiera pan głowę o stół i drzemie z ręką opuszczoną ku ziemi. W przypadku nagłego wejścia przełożonego udaje pan, że właśnie schyla się po długopis. Miękką podkładka pod mysz zapobiega zdradliwemu odciskowi na czole.

Tego rodzaju cenne rady stanowiły rozrywkę Tomasza podczas okresu wstępnego, w czasie którego szef departamentu polecił mu zapoznać się z przepastną dokumentacją. Sprawy były różnorodne, lecz młodego referenta najbardziej zainteresował zakurzony fioletowy segregator.

* * *

Pułkownik Langer podszedł do lustra i oglądał swe naramienniki. Trzy gwiazdki nadal

smętnie srebrzyły się na zgniłozielonych pagonach, nie chcąc zamienić się w srebrzysty wężyk – symbol marzeń każdego oficera. Langer uśmiechnął się gorzko do swego odbicia. Ile to już lat?

Dopiero teraz przez głowę przemknęła mu myśl, że minęło już dwadzieścia pięć wiosen od czasu, gdy pełen nadziei i obaw przekraczał pewnego deszczowego poranka bramę Oficerskiej Szkoły Piechoty. Przez dwie i pół dekady piał się mozolnie po ściśle wytyczonych szczeblach kariery wojskowej, której przebieg warunkowały głównie znajomości i układy, torując drogę do najważniejszych stanowisk ustosunkowanej miernocie. Inteligentny oficer, który zaczytywał się w dziełach Zoli, Bułhakowa czy Prousta i ośmielał się mieć własne zdanie, z miejsca narobił sobie wrogów wśród przełożonych, preferujących posłusznych średniaków.

Aż nadszedł dzień – a było to latem 1991 roku – kiedy młody kapitan Langer postanowił postawić wszystko na jedną kartę. Przesłał z pominięciem drogi służbowej na ręce ministra obrony memorandum w sprawie reformy broni pancernej. Jego krótka i zwięzła praca, jakże różniąca się od pompacyjnych i nudnych wojskowych rozpraw traktujących o moralnych aspektach składowania łopat w magazynie, wywołała wielkie zainteresowanie w środowiskach akademickich i równie wielką panikę w Ministerstwie Obrony i Sztabie Generalnym. Rozgłos sprawy uratował Langer przed dymisją i cofnął pospiesznie wydany tajny rozkaz Szefa Sztabu, polecający wysłać kapitana do jednostki ochrony pogranicza. Tam, kontemplując nadbużańskie ostoje pustłki, sieweczki rzecznej i błotniaka stawowego, niesforny oficer miał doczekać wczesnej emerytury i zapamiętać raz na zawsze, że w Wojsku Polskim generałowie wiedzą, co robić z bezczelnymi kapitanami uzurpującymi sobie prawo do samodzielnego myślenia.

Langer miał szczęście i sam na sobie sprawdził prawdziwość przysłowia mówiącego, że co cię nie zabije, to cię wzmocni. Odtąd jego kariera toczyła się dość szybko – podyplomowe studia bezpieczeństwa wewnętrznego, udział w misji SFOR w Bośni i Hercegowinie, wreszcie ukończenie prestiżowej brytyjskiej Królewskiej Akademii Studiów Obronnych i staż w kwaterze głównej NATO w belgijskim Mons. Wydawać by się mogło, że pojawienie się generalskich lampasów na spodniach Langer'a to tylko kwestia czasu. Nie docenił jednakże pewnych okoliczności, naiwnie sądząc, że w polskiej armii kompetencje i wiedza są istotnym kryterium awansu. W przeciwieństwie do większości kolegów nie płaszczył się przed szarą eminencją polskich sił zbrojnych – biskupem polowym, generałem dywizji Lechem Składkowskim. Jak wieść gminna niosła, bez błogosławieństwa biskupa-generała, obdarzonego w wojskowych kręgach wdzięcznym pseudonimem „Flaszka”, żaden generalski awans nie mógł dojść do skutku. Równie poważną przeszkodą był brak ślubu kościelnego, co w katolickiej armii, zawierzonej pod opiekę Matce Boskiej – Hetmance Żołnierza Polskiego – było nie do pomyślenia. Większość oficerów już dawno naprawiła ten błąd, ciągnąc przed ołtarze swe przekwitłe oblubienice, Langer zaś nadal tkwił w bezbożnym uporze, sypiając ze

swoją żoną jedynie na podstawie pogańskiego świstka z Urzędu Stanu Cywilnego.

Chwilę mocował się ze sobą, ale nutka megalomanii przeważała pragmatyzm i Langer wypiął pierś, wsuwając prawą dłoń za połą munduru. Dopiero po chwili dostrzegł w lustrzanym odbiciu postać Tomasza, który stojąc w progu, bacznie mu się przypatrywał.

– Pan pułkownik mnie wzywał?

– Tak, tak – mówił szybko Langer, wstydliwie wyrywając dłoń zza pazuchy. – Proszę, niech pan usiądzie.

Tomasz spoczął naprzeciw swego pryncypała, mierząc wzrokiem jego barczystą sylwetkę. Milczeli dłuższą chwilę. Tomasz rozglądał się dyskretnie po dyrektorskim gabinecie. W przeciwieństwie do większości wojskowych, którzy obwieszali ściany różnokolorowymi plakietkami, proporczykami, medalami, pucharami, grawerowanymi tabliczkami, szablami i innym tego typu badziewiem z demobilu, Langer ozdobił swój pokój jedynie niewielkim portretem marszałka Piłsudskiego.

– Jak się panu pracuje? – rozpoczął standardowo pułkownik.

– Dziękuję, nie mogę narzekać.

– Istotnie, nie może pan – mruknął pod nosem szef i dorzucił głośniejszym głosem: – A jak pańskie stosunki ze starszymi kolegami z pokoju 240?

– Dziękuję, rewelacyjne – odparł Tomasz, niecierpliwie się coraz bardziej i zastanawiając się, po co szef naprawdę wezwał go do siebie.

Znów milczeli przez chwilę.

– Taak... – Langer złożył dłonie jak do modlitwy. – Jak zapewne zdążył się pan zorientować, do naszego departamentu dość często spływają sprawy, jakby to ująć... nie mieszczące się w standardowych procedurach administracji państwowej. Szczególna nazwa naszej komórki i brak wiedzy społeczeństwa na temat naszych zadań sprawia, że otrzymujemy czasem rozmaite pisma, monity, prośby i petycje od ludzi, jakby to rzec, nieco rozchwianych emocjonalnie.

– Świrów – uzupełnił półgębkiem młody.

– O, na przykład tutaj. – Pułkownik podniósł z biurka jakiś kwit. – Ten oto obywatel, za jedyne pięćdziesiąt tysięcy złotych, zobowiązał się do ujawnienia tożsamości zwłok spoczywających w Grobie Nieznanego Żołnierza.

Tomasz pochylił się nad papierem, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Logicznie rzecz ujmując – ciągnął szef – należałoby spuścić ten dokument w sedesie i zapomnieć o nim. Niestety ustawa nakazuje nam udzielić formalnej odpowiedzi na najbardziej nawet niedorzeczne pismo. Chciałbym, aby rzucił pan okiem na to.

Langer przechylił się przez szerokość biurka, podając Tomaszowi granatową teczkę, w której znajdowało się urzędowe pismo opatrzone pieczęcią Kancelarii Radców Prawnych Raczyński & Partnerzy w Białymstoku. Pismo informowało lakonicznie, że:

...w wyniku przeprowadzonego postępowania spadkowego po zgonie p. Jacentego Tarasa, syna Zbigniewa, zamieszkałego w Bielsku Podlaskim przy ulicy Legionowej 9, Departament do Spraw Sytuacji Nadzwyczajnych Sztabu Generalnego stał się, zgodnie z potwierdzoną notarialnie ostatnią wolą zmarłego, wyłącznym właścicielem dokumentów i archiwaliów będących w jego posiadaniu.

– Nasz hojny ofiarodawca – ciągnął pułkownik – który wspaniałomyślnie zapisał nam w testamencie swe domowe archiwum, należał moim zdaniem do podobnego gatunku petentów jak nasz patriota nekrofil, ekshumujący nieznaną żołądź.

– Kolejny szaleniec?

– Tego nie wiem. Ale trudno raczej posądzić o zdrowe zmysły człowieka, który złożył nam tę dość niezwykłą propozycję.

– Jaką?

– Że spłaci zadłużenie Polski wobec Klubu Paryskiego. Około dwunastu i pół miliarda euro.

– A kim on był? – zawołał Tomasz. – Właścicielem Microsoftu?

– Nie, emerytowanym działaczem samorządowym.

Tomasz znowu z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Niemniej jednak – kontynuował szef – jesteśmy zobligowani prawem do przejęcia rzeczonych papierów. Ich przejrzanie i zarchiwizowanie będzie, panie Tomaszu, pańskim pierwszym zadaniem bojowym.

Na twarzy młodziana odmalowało się rozczarowanie. Tajemnicza nazwa departamentu przywodziła na myśl szereg interesujących zadań i związanych z nimi przygód, tymczasem Tomasz miał się zająć porządkowaniem papierów jakiegoś chorego na umyśle starca.

– Wiem, że zadanie to nie wygląda na zbyt ciekawe – Langer dostrzegł wyraz twarzy młodego – lecz zakosztuje pan przynajmniej pracy operacyjnej. Zabezpieczy pan wszystkie dokumenty zmarłego, dokona na miejscu wstępnej selekcji i przywiezie je pan tutaj. W materiałach, które panu przekazałem, znajdzie pan część pism tego Tarasa. O ile pamiętam, zarzucał nas swymi propozycjami od początku istnienia tego departamentu.

– Panie dyrektorze...

– Sprawy delegacji załatwi pan z panią... z panną Lidką. Życzę powodzenia.

Tomasz wyszedł naburmuszony z pokoju pryncypała. Powierzone mu zadanie z miejsca uznał za niegodne swych talentów i możliwości. Archiwizowanie papierów, zlecane zwykle studentom odbywającym praktyki, zawsze było dla niego szczytową formą upodlenia.

Humor poprawił mu nieco widok panny Lidki – sekretarki Langer. Urocze blond dziewczę o szafirowych oczkach od pierwszego dnia przypadło mu do gustu. Z tym większym rozczarowaniem przyjął więc do wiadomości fakt, że za niespełna dwa tygodnie panna Lidka miała zmienić swój stan cywilny, wychodząc za świetnie prosperującego

montera urządzeń sanitarnych.

Lidka spojrzała na Tomasza roztargnionym wzrokiem, charakterystycznym dla każdej panny młodej, mającej na głowie dobór sukni, bielizny, tortu, pantofli, gości, menu, fryzury, druhen i orkiestry. Naocznym dowodem dekoncentracji blondynki był pomazany i pobazgrany terminarz pułkownika oraz totalny nieład w papierach zalegających jej biurko.

– Panno Lidio, pomyliła się pani, wypisując mi delegację – odezwał się Tomasz, nachylając się nad nią. – Wyjeżdżam do Bielska Podlaskiego, a nie do Kamieńca Podolskiego.

– Przepraszam pana, panie Tomku – dziewczę ciężko westchnęło – ale nawet pan sobie nie wyobraża, jak ciężko zarezerwować salę w maju. Albo znaleźć porządną cukiernię, żeby nie sknociła tortu. To ponad moje siły...

– Niech się pani nie martwi, panno Lidko – Tomasz delikatnie ujął blondynkę za rączkę, wyjmując z niej najpierw dziurkacz – każda panna młoda przeżywa trudne chwile. Ale w momencie, gdy prowadzona przez szanownego tatusia przekroczy pani próg kościoła i publika spojrzy na panią z zachwytem, wszystkie kłopoty ulecą w niebyt. Zobaczysz pani. Panna Lidka rozmarzyła się przez chwilę, urzeczywistniając w swej niezbyt głębokiej wyobraźni moment tak plastycznie odmalowany przez Tomasza.

– Dziękuję ci, Tomku, bo chyba mogę tak do ciebie mówić – zaszczębiotała, trzepocząc niedomalowanymi rzęsami. – Ty to potrafisz pocieszyć dziewczynę.

Gdyby panna Lidka wiedziała, że spoglądający na nią lubieżnie młodzieniec utrzymuje ze skromnych urzędniczych poborów dwie narzeczone naraz (żyjące rzecz jasna w błogiej nieświadomości istnienia tej drugiej), z pewnością podeszłaby do jego rad ze znacznie większą rezerwą. Ponieważ jednak nie miała o niczym zielonego pojęcia, pożegnała wychodzącego Tomasza promiennym uśmiechem i rzuciła za nim:

– Miło mi będzie widzieć cię na naszym ślubie.

Rozdział 2

Uzbrojony w latarkę i nieproporcjonalnie wielką pałkę emeryt ze sztabowej ochrony raz po raz przystawał, mrużąc oczy i wpatrując się w pewien rozświetlony punkt. Godzina dwudziesta minęła już dawno, a jednak znajdujące się na poziomie ziemi okno gmachu Sztabu Generalnego nadal mżyło bladym światłem.

Gdyby zdiagnozował ochroniarz zadał sobie nieco trudu i zajrzał do wnętrza, ujrzałby młodego człowieka pogrążonego w lekturze rozrzuconych na biurku papierzysk. Młodzian, pochylony nad papierami, analizował słowo po słowie, bez reszty pochłonięty lekturą. Odłożywszy jeden dokument, łączywie chwycił za drugi, porządkując sobie w głowie wszystkie fakty, układające się powoli w fascynującą i zupełnie nieprawdopodobną historię.

O czym myślał porucznik Ludwik Dębicki, gdy wraz z kilkuset towarzyszami opuszczał na zawsze europejski kontynent? O przegranym powstaniu? O rodzinie, której pewnie nigdy nie zobaczy? A może o swej narzeczonej? Tomasz wpatrywał się w elegancką, pochyłą kaligrafię, która pokrywała kilkanaście kartek wyciągniętych z fioletowego segregatora. Siorbnął zimnej herbaty i kontynuował czytanie.

Zaawansowany wiek i brak potomka, jak i najbliższej rodziny, zmusza mnie do wyjawienia wszystkich okoliczności związanych z niezwykłym przypadkiem mojego przodka w linii żeńskiej, oficera armii Królestwa Polskiego, weterana powstania listopadowego, majora Ludwika Dębickiego.

Przodek mój, urodzony w roku 1807, wziął udział w stopniu porucznika w wojnie polsko-rosyjskiej 1831 roku. Po klęsce wraz ze swym pułkiem został internowany, a następnie aresztowany przez Austriaków. Po trzech latach pobytu w twierdzy w Trieście, prawdopodobnie w marcu lub kwietniu 1833 roku przodek mój wraz z grupą powstańców polskich został zwolniony przez władze austriackie. W wyniku porozumienia między cesarzem Austrii a prezydentem USA Jacksonem Polacy odesłani zostali do Stanów Zjednoczonych na pokładzie fregaty „Guerrero”.

Losy Ludwika Dębickiego pozostają nieznane aż do początku roku 1836, kiedy to wraz z trzema innymi Polakami: niejakim Janem Korczyńskim oraz braćmi Adolfem i Franciszkiem Pietrusiewiczami zaciągnął się do nowo formowanej ochotniczej armii

Teksasu. Dowodzona przez pułkownika Jamesa Faninna dwupułkowa brygada rozbita została przez siły meksykańskiego generała Santa Anny, a przodek mój wraz z towarzyszami został rozstrzelany.

Mocą decyzji kongresu Republiki Teksasu z dnia 21 grudnia 1837 roku (której kopię przesyłam w załączeniu) weteranom wojny z Meksykiem oraz spadkobiercom poległych przyznano nadania ziemskie. Rekompensata przyznana spadkobiercom Dębickiego wynosiła niespełna pięć tysięcy akrów ziemi położonej w widłach rzek Wichita i Red River. Przyznane grunty, nieurodzajne i pustynne, nie przedstawiały większej wartości aż do początków XX wieku, gdy odkryto na nich olbrzymie pokłady ropy naftowej. Obecnie na terenach nadanych memu przodkowi znajdują się rafinerie firmy Texas Oil Endeauour.

Liczne działania, podejmowane przez potomków Ludwika Dębickiego przed II wojną w celu uzyskania rekompensaty finansowej, nie przyniosły żadnych rezultatów. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych próby odzyskania odszkodowań prowadził mecenas Franciszek Rynnicki, któremu udało się zgromadzić pokaźną dokumentację dotyczącą spadku. Po konsultacji z ówczesnym rządem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zobowiązał się on do przekazania 95 procent spodziewanych zysków na rzecz skarbu państwa w zamian za udzielenie przez rząd pomocy prawnej i dyplomatycznej.

Główną przeszkodą w załatwieniu sprawy był jednakże brak ostatniej woli Ludwika Dębickiego, bez której przedstawianie roszczeń przed sądami amerykańskimi byłoby bezcelowe. Przeszkodą były również koszty ewentualnego procesu, gdyż amerykańskie kancelarie adwokackie zwyczajowo pobierają z góry od 20 do 30 procent negocjowanej sumy. W przypadku ww. działek obecna szacunkowa wartość tych gruntów wynosi wedle różnych obliczeń od 20 do 40 miliardów dolarów!

Wielokrotnie informowałem władze polskie, przedstawiając tę sprawę, jednakże bez żadnego odzewu. W związku z powołaniem Departamentu ds. Sytuacji Nadzwyczajnych uważam, że w chwili obecnej nie mogę milczeć – testament majora znajduje się w moim posiadaniu. Dlatego, jako ostatni żyjący spadkobierca Ludwika Dębickiego, ponawiam propozycję: w zamian za pomoc dyplomatyczną i prawną zobowiązuję się do przekazania tego dokumentu na ręce władz polskich. Jednocześnie, w zamian za przyznanie mi praw do 5% majątku, zobowiązuję się do przekazania pozostałych 95% na rzecz pokrycia długów państwa polskiego względem państw obcych.

Szczegółowy wykaz służby i kserokopie dokumentów amerykańskich, a także kopie moich pism wysyłanych do różnych instytucji na przestrzeni ostatnich lat, przesyłam w załączeniu.

Pozostaję z poważaniem,

Jacenty Taras

Tomasz odłożył list. Dwadzieścia do czterdziestu miliardów dolarów! Niemal cały roczny budżet Polski! Nic dziwnego, że Taras zadowolił się marnymi pięcioma procentami.

Spojrzał na plik kserokopii listów wysyłanych do różnych urzędów: datę pierwszego, gnijącego na dole pisma dzieliło od listu ponad siedem lat. Siedem lat zabiegów i kołatania do przeróżnych urzędów i biur! Sam ten fakt godny był podziwu, choć Tomasz zetknął się już z sytuacjami, kiedy wytrawni piniacze potrafili indagować administrację i trzydzieści lat w sprawie pokrycia dachu papą czy eksmisji uciążliwego sąsiada.

Zamknął opasy segregator z materiałami i rozcierał dłońmi oczy zmęczone jarzeniowym światłem. Teraz dopiero rzucił okiem na zegarek – było już wpół do jedenastej. Parkingowemu cieciowi nie dane było obejrzeć gasnącego światła w niskim oknie. Dawno już machnął ręką i ułożył się do snu w swej cuchnącej cebulą kanciapie.

W głowie młodego urzędnika walczyły ze sobą pierwiastki romantyzmu i pragmatyzmu. Pierwiastki senności pokonał chwilowo niesmacznym i cierpkim cukierkiem kawowym. Komputer – stary rzech, zapewne pamiętający jeszcze czasy, gdy Bill Gates uczył się tabliczki mnożenia – uruchomił się z trudem, rozpędzając swe przestarzałe wnętrze. Tomasz zmusił mózgowicę do jeszcze jednego wysiłku. Na szczęście utrzymana w beżowej tonacji witryna internetowa Biblioteki Narodowej okazała się przyjazna dla użytkownika. Nieco bardziej toporna okazała się strona Wydziału Historii Nowożytnej Uniwersytetu Warszawskiego, lecz po chwilowej walce z odmawiającą współpracy starą komputerową myszą Tomasz dotarł do listy, której szukał. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zamieszczoną tam bibliografię, po czym wynotował z niej jedno nazwisko.

Wyłączył złom i przymknął oczy, starając się poskładać do kupy zebrane dziś informacje. Spróbował wyobrazić sobie sylwetkę żołnierza tułacza i jego sędziwego potomka. Pierwszy toczył romantyczną walkę o wolność Teksasu; drugi prowadził równie zażarty bój z bezduszną biurokracją reprezentującą kraj, o którym marzył listopadowy powstaniec. Tomasz nie miał pewności, który bój był cięższy.

* * *

Wydział Historii Nowożytnej Uniwersytetu Warszawskiego, mieszczący się w odrapanej kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu, oblężony był przez pstrokato odzianą brać studencką. Uczesany z przedziałkiem krawciarz, torujący sobie drogę czarnym neseserem, budził zrozumiałą niechęć złotej młodzieży, dla której krawat i teczka stanowiły wyraźne *memento*, że błogi czas studiów zmierza ku nieuchronnemu końcowi.

Tomasz wkroczył do obszernego i zadymionego holu. Niewiele się tu zmieniło od czasu, gdy sam miał przyjemność studiowania w tym szacownym gmachu, choć na innym wydziale. Nawet ten sam babsztyl okupował oszkloną dyżurkę, w gwarze studenckiej określaną mianem „akwarium”.

– Przepraszam uprzejmie – niemal wsadził głowę do wąskiego okienka – gdzie znajdę pana profesora Muraszkę?

Babsztyl niechętnie oderwał się od niewielkiego telewizorka i wrogo spojrział na intruza.

– A bo ja wiem? W sekretariacie pan se zapyta.

Miło wiedzieć, że nic się tu nie zmieniło, myślał Tomasz, sunąc slalomem w górę po szerokich schodach między siedzącymi i zaczytanymi studentami. Sekretariat mieścił się na trzecim piętrze, więc Tomasz, jak na urzędnika przystało, postanowił oszczędzić sobie wysiłku.

– *Sorry* – zagadnął wpatrzoną w siebie parę siedzącą na parapecie wielkiego okna – Muraszkę to gdzie znajdę?

Rozczochrany student, nie zaszczyciwszy nawet Tomasza spojrzeniem, wskazał niedbale pobliski gabinet prawą ręką, lewą sunąc powoli po obfitym udzie swej umiłowanej.

– Dzięki – rzucił młodzian i rażno ruszył w stronę wskazanych drzwi, przed którymi stała kilkunastoosobowa smętna kolejka, nerwowo mnąca w dłoniach wyświechtane indeksy. Tomasz rozpoczął proces przepychania się do drzwi, czym wywołał naturalną reakcję gniewu i oburzenia.

– Te, kolego, na koniec proszę! – zagroził mu drogę wyżełowany przystojniaczek.

– Tak, tak, na koniec – wtórował mu pryszczaty rudzielec. – Każdy chce szybko zaliczyć.

– Ja nie na egzamin. – Tomasz mozolnie wyminął lowelasa. – Ja w innej sprawie...

– Dobra, dobra, każdy tak gada! Krawaciarz na koniec!

Tomasz spojrział na autora ostatnich słów – przerośniętego blokera w świetnych podróbkach Adidasa. Wyminięcie go nieuchronnie spowodowałoby przepychankę, bo dryblas nie wyglądał na takiego, który schodzi komuś z drogi. Szczególnie komuś w krawacie.

– Sztab Generalny! – Tomasz użył ostatniego argumentu, dobywszy zza pazuchy legitymację służbową. – Jazda mi z drogi, dresiarzu, bo sprawdzimy zaraz, co symulowałeś przed komisją poborową!

Mina dryblasa pokazała jasno, że Tomasz trafił w jego czuły punkt. Referent pamiętał, że co najmniej trzecia część męskiej populacji uniwerku zapałała nagłą miłością do nauki wyłącznie po to, by oddalić od siebie wizję spędzenia dwunastu miesięcy w ramionach Matki Armii. Sądząc po minie, dresiarz bez wątplenia zaliczał się do tej grupy.

Pokonawszy ostatnią, umięśnioną przeszkodę Tomasz władował się do gabinetu. Wąski i długi pokój tonął w półmroku. Za stołem, stanowiącym główny element wystroju, siedział brodaty jegomość z dostojną łysiną. Przymknięte oczy i skrzyżowane na piersiach ręce sprawiały, że wyglądał jak drzemiący puchacz.

Naprzeciw puchacza, emanującego spokojem i dostojnością, siedziało drobniutkie płowowłose dziewczę, wierząc się nerwowo i trzepocząc rzadkimi rzęskami. Brodacz obudził się z letargu i bez zainteresowania łypnął na Tomasza zza szkieł okularów.

– Proszę poczekać na zewnątrz, jeszcze nie skończyłem.

– Ja nie na egzamin, panie profesorze. Przychodzę w sprawie służbowej.

Profesor Muraszko spojrział na legitymację sztabową Tomasza i ziewnął. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych młodzi panowie w cywilnych ubraniach, legitymujący się najróżniejszymi papierami, często przerywali mu egzaminy. Wizyty takie kończyły się zwykle osadzeniem ówczesnego docenta Muraszki w areszcie śledczym na Rakowieckiej bądź – w najlepszym razie – gruntowną rewizją w poszukiwaniu bibuły i książek drugiego obiegu. Legitymacja i niewinna mina Tomasza przypomniały profesorowi stare dobre czasy działalności w opozycyjnym podziemiu.

– Pani... pani... Doroto – westchnął, przypomniawszy sobie o istnieniu płowowłosego dziewczęcia – nie tuman, tylko Truman, nie kajtek, tylko Keitel, i nie pięćdziesiąty czwarty rok, a czterdziesty piąty. Poza tym generalnie się zgadza, choć pomylenia linii Curzona z linią Maginota pani nie daruję. Dostateczny. Z minusem... tak długim, jak dystans dzielący obie linie.

Dziewczę zwiększyło częstotliwość trzepotania, przycisnęło do wątlej piersi podpisany indeks i pełne wdzięczności wybiegło z gabinetu. Tomasz, zachęcony ruchem obfitej brody, zajął miejsce kandydatki do wytyczania nowej linii Curzona i, podobnie jak profesor, od razu przypomniał sobie stare czasy.

– W czym mogę pomóc Wojsku Polskiemu? – zapytał gospodarz.

– Pragnąłbym zasięgnąć rady pana profesora w pewnej dość niezwykłej sprawie. Jeśli można, chciałbym ją pokrótce zreferować.

Muraszko łaskawie skinął głową. Tomasz wydobyl z neseseru papierową teczkę i streścił profesorowi wyniki swych nocnych badań.

– Dębicki, Dębicki – puchacz zastanowił się chwilę, gdy Tomasz skończył czytać – przyznam się, że nie kojarzę. Ale to niewykluczone. Kilku Polaków istotnie brało udział w wojnie meksykańskiej.

– Panie profesorze, chodzi mi o to, czy ów Dębicki nie jest tylko wymysłem chorej wyobraźni Tarasa. Różni peniacze i szaleńcy zarzucają nasz departament tonami makulatury. Żeby przekonać szefostwo i wszcząć ewentualne postępowanie, muszę mieć pewność, że ten człowiek istniał. Wiem, że pan profesor specjalizuje się w dziewiętnastowiecznej historii USA i...

– Taaak – westchnął przeciągle Muraszko, głaszcząc się po imponującej brodzie. – Widzi pan, młody człowieku, problem w tym, że istnieje bardzo niewiele źródeł na temat udziału Polaków w konfliktach amerykańskich, a te, którymi dysponujemy, są niepewne. Wie pan zapewne doskonale, że w tym czasie nie istniało państwo polskie i niejednokrotnie polscy emigranci brani byli za Prusaków lub Rosjan. Fakt, że ten Dębicki, którego pan szuka, był żołnierzem, ułatwia nieco sprawę, ale nie do końca. Owszem... Amerykanie sporządzali listy mobilizacyjne i spisy wojskowe, ale roiły się one od błędów. W samym nazwisku Dębicki anglosaski ignorant mógł zrobić kilka pomyłek. Czy zdaje pan sobie sprawę, że w

dokumentach amerykańskich z czasów wojny o niepodległość: spisach, listach, pamiętnikach, nazwisko Kościuszki przekreślone zostało na prawie czterdzieści sposobów? A chodziło przecież o wysokiego rangą oficera i znanego inżyniera, mogącego poszczycić się znajomością z najwybitniejszymi Amerykanami, choćby Jeffersonem. Odnalezienie pańskiego majora będzie niezwykle trudne.

– A może polskie archiwa wojskowe? – zapytał Tomasz. – Powinny chyba istnieć spisy z czasów powstania listopadowego?

– Musiałby pan przewertować masę materiałów źródłowych – Muraszko pokręcił głową – wspomnień, pamiętników... Część zaginęła bezpowrotnie w czasie wojny, reszta rozszkana jest po całej Polsce: znajdzie je pan na uniwersytetach Warszawskim i Jagiellońskim, lubelskim KUL-u, we wrocławskim Ossolineum... To robota dla kilku doktorantów na co najmniej sześć miesięcy. I bez żadnej gwarancji sukcesu.

– Żadnych szans? – zafrasował się młodzian.

– Pogłębione studia na ten temat prowadzili raczej historycy wywodzący się z polskiej emigracji w USA, piszący w języku angielskim. Przekładów jest niestety niewiele i dotyczą głównie udziału Polaków w wojnie secesyjnej. Proszę jednakże sprawdzić następujące pozycje: *Losy osadnictwa polskiego na ziemi amerykańskiej* autorstwa Franciszka Ostrowskiego i *Śladem emigracji polskiej. Szkice biograficzne* Mieczysława Baumanna. Obie znajdzie pan w Bibliotece Narodowej. Jest też dość rzadkie dzieło *Polacy w wojnie domowej w Ameryce z 1897 roku*, autorstwa profesora Korzenia ze Lwowa, lecz jest ono dostępne tylko w Dziale Zbiorów Szczególnych. Aby z niego skorzystać, musiałby pan mieć co najmniej stopień naukowy doktora lub upoważnienie rektora uczelni wyższej.

– Jak można uzyskać takie upoważnienie?

– Musi pan napisać pismo w dwóch kopiach, uzyskać podpis dziekana, kierownika zakładu i zgodę prorektora, a następnie...

– Rozumiem – przerwał Tomasz, uśmiechając się z rezygnacją. – Dziękuję, panie profesorze.

* * *

Zgniłozielone gmaszysko Biblioteki Narodowej tonęło w zieleni drzew porastających Pola Mokotowskie. Tomasz wysiadł z przepełnionego tramwaju, przeszedł kładką nad ulicą i ruszył w stronę wejścia głównego, krocząc szpalerem głazów ustawionych po obu stronach szerokiego trotuaru.

Gmach biblioteki słynął w okolicy nie tylko ze swej skarbnicy ksiąg, lecz także z doskonałej, choć nieco siermiężnie urządzonej stołówki, serwującej wachlarz wybornych dań barowych oraz jarzynowych sałatek. Możliwość zaspokojenia potrzeb zarówno cielesnych, jak i duchowych zapewniała księżnicy niebywałą frekwencję i znacznie podwyższała

wskaźniki czytelnictwa, skwapliwie wyliczane w położonym *vis-a-vis* Głównym Urzędzie Analiz i Statystyki.

Ponieważ w godzinach służbowych Tomaszowi, jako typowemu urzędnikowi, nigdzie się nie spieszyło, pierwsze trzy kwadransy odwiedzin poświęcił trzem klopsom w sosie chrzanowym. Po wyjściu ze stołówki zaczęły się przysłowiowe schody.

– Pańska karta biblioteczna jest nieważna od półtora roku – poinformowała Tomasa okularnica w nieforemnym swetrze, siedząca w dziale rejestracji. – Jeśli chce pan korzystać z czytelnicy, musi pan wyrobić nową.

– Dobrze, ale...

– Proszę wypełnić ten formularz. – Panienska położyła przed nim szczegółowy wykaz. – Niestety, ale mamy tu małą biurokrację.

– Co pani powie.

Tomasz poświęcił formularzowi mniej więcej tyle samo czasu, co trzem pulpetom. Po wpisaniu numeru PESEL, NIP, numeru dowodu osobistego, uzupełnił również niezwykle ważne z punktu widzenia biblioteki rubryki dotyczące organu wydającego dowód osobisty i panińskiego nazwiska matki. Rubrykę „Co by Pani/Pan zmienił/a w naszej placówce” demonstracyjnie pominął.

– Oto pańska karta. – Okularnica położyła przed nim żółty kartonik. – Oprócz wypożyczania książek uprawnia pana do dziesięcioprocentowej zniżki w naszej stołówce.

Tomasz popatrzył na nią z wyrzutem, a zalegające jego żołądek klopsy stały się jakby cięższe. Ruszył w stronę czytelnicy ogólnej, wchodząc z mrocznego korytarza wprost do rozświetlonej olbrzymiej sali, zastawionej dwiema setkami maleńkich stolików.

– Słucham pana? – zagadnął go lekko zniewieściały chłopczyna stojący za ladą. – W czym mogę pomóc?

– Interesują mnie te dwie pozycje. – Tomasz podał mu karteczkę Muraszki.

Chłopczyna przebiegł oczami nagryzłone linijki.

– Dobrze – bąknął niepewnie. – Poproszę pana kartę biblioteczną.

Tomasz podał mu żółty kartonik, niunię zaś popukał w klawiaturę komputera.

– Pan świeżo wyrabiał kartę?

– Tak.

– A zatem zechce pan wypełnić ankietę. – Ku przerażeniu Tomasa położył przed nim trzystronicowy blankiet.

– Przepraszam, ale ja już wypełniałem

– Pan wypełnił formularz zgłoszeniowy – pouczył go chłopczyna – a to jest ankietka. To takie usprawnienie naszej pracy.

Tomasz westchnął ciężko, zabierając się do pracy. Tym razem poszło szybciej, bo numery PESEL, NIP i numer dowodu osobistego, które i tym razem musiał wpisać, tkwiły mu jeszcze w pamięci. Pytanie: „Co by Pani/Pan zmienił/a w naszej placówce” i tym razem

zignorował, choć przez chwilę korciło go, by w niewybrednych słowach skrytykować panującą w gmachu biurokrację.

– Jak pan widzi, nic trudnego. – Zniewieściały bibliotekarz uśmiechnął się wstydliwie. – Pozostaje już tylko wypełnić rewersiki. W dwóch kopiach...

Tomasz zgarnął ze złością rewersy i odwrócił się, przerywając niuniowi w pół słowa. Po pięciu minutach demonstracyjnie rzucił wypełnione kwitki na ladę.

– Czy teraz wreszcie mógłbym otrzymać książki?

– Będą do pana dyspozycji w ciągu maksymalnie czterdziestu pięciu minut – odparł nieco urażony wstydnął. – W tym czasie może pan skorzystać z naszej stołówki. Serwują dziś...

– Nie znoszę kłopsów w sosie chrzanowym – warknął Tomasz.

Niunio ze zdziwieniem spojrzął na kulinarnego jasnowidza. Wzruszył tylko ramionami i wrzucił rewersy do przegródki.

Tomasz zanurkował między książkowe regały, aby wypełnić sobie czas oczekiwania. Wyminawszy półki napchane leksykonami, słownikami i monstrualną Encyklopedią Britannicą, sięgnął po najnowszy numer „Polski Zbrojnej”, zapoznając się z wywiadem dowódcy wojsk lądowych oraz słowem kapelana. Z ciekawością przeczytał również pełen zachwyty artykuł o nowym transporterze opancerzonym, który po zakończeniu przetargowych procedur wzmocnić miał polską armię.

Miał właśnie sięgnąć po konkurencyjnego „Żołnierza Rzeczypospolitej”, gdy wibrator jego komórki zaanonsował mu SMS-a. Używanie telefonów komórkowych było w bibliotece surowo zabronione, więc młodzian czmychnął między regały, odczytując w marszu wiadomość tekstową od „Myszki”, która zapytywała, czy „Kocur” nie zaprosiłby jej wieczorem na lody. „Kocur” rozważał właśnie odpowiedź, gdy nagle jego głowa uderzyła w czyjąś głowę, a jego komórka w inną komórkę.

Tomasz podniósł łepetynę i oczom jego ukazała się nadzwyczaj atrakcyjna blondynka w białych płóciennych spodniach i ciemnej, odsłaniającej opalony brzusek bluzce. Przez chwilę oboje rozcierali sobie czoła, patrząc na siebie z uśmiechem, skryci przed postronnymi spojrzzeniami za segmentem regałów zawałonym judaicami.

– A więc jednak to prawda – powiedział Tomasz, uśmiechając się filuternie.

– Co takiego? – zapytała blondie, odgarniając za ucho kosmyk płowych włosów.

– To, że komórki się przyciągają. – Tomasz wskazał na trzymane przez obojga telefony. – Na biologii nie kłamali.

Dziewczyna roześmiała się, budząc zgorszenie buszującego między judaicami starszego pana.

– Och, przepraszam, gdzie moje maniery. – Tomasz wyciągnął rękę. – Pozwól, że się przedstawię: Siemens ME 60.

– Nokia 3510 – zachichotała blondynka, odsłaniając rząd uroczych ząbków.

– Skoro nasze komórki się już znają – kontynuował amant-bibliofil – poznajmy się i my.

Tomasz.

– Paulina – dygnęła Nokia.

Zmarszczone czoło dziadka wertującego judaica zmusiło Tomasza do skonkretyzowania konwersacji.

– Może wyskoczmy później na kawę? Znam pewien ciekawy lokalik.

– Chętnie, tylko widzisz, mam teraz ciężki okres...

– To jest pewien problem, ale na pierwszej randce nie ma to większego znaczenia.

– Nie, nie – zaśmiała się Nokia – chodzi o to, że przygotowuję się teraz do obrony...

– Chętnie cię obronię – zaofiarował się Tomasz – rzeknij tylko, pani, przed kim.

– Do obrony pracy magisterskiej.

– A na jaki temat piszesz? Jeśli wolno zapytać?

– Ech, chyba cię nie zainteresuje. O stosunkach izraelsko-niemieckich po drugiej wojnie.

– Nie zainteresuje! – z udanym oburzeniem zawołał Tomasz. – Ależ bardzo zainteresuje! Wspominałem, że Golda Meir chodziła niegdyś z moim dziadkiem?

Nokia chichotała cichutko, zasłaniając usta ręką. Produkujący się przed nią młodzian wyraźnie przypadł jej do gustu, czego nie można było powiedzieć o stojącym za nią starszym panu.

– A jeśli umówisz się ze mną, to dam ci szklane oko Mosze Dajana. Wypadło mu, kiedy oświadczał się mojej ciotce – paplał Tomasz. – Teraz noszę je jako breloczek do kluczy.

Dziewczyna śmiała się serdecznie, raz po raz odgarniając opadającą jej na czoło grzywkę. Tomasz zauważył ponadto, że podstarzały miłośnik judaiców przestał się marszczyć i przysłuchuje się niedyskretnie ich rozmowie z widocznym zainteresowaniem.

– Dobrze... wygrałeś – wykrztusiła wreszcie z kształtnej piersi. – To gdzie i o której się umówimy?

Tomasz zanotował na pustym rewersie nazwę knajpy. Dodał też numer swojej komórki. Dziewczyna odwdzięczyła się mu swoim.

– No to na razie, Nokio.

– Pa, Siemensie.

Tomasz ruszył w stronę swojego stoliczka, machając sympatii na pożegnanie. Dochodził już do swego miejsca, gdy nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Odwrócił się i ze zdziwieniem ujrzał dziadka, który jeszcze przed chwilą stroił fochy koło regału z judaicami.

– Panie Zimens – rzucił rozgrzany jegomość, rozglądając się na boki. – Ile pan chcesz za to oko Dajana?

* * *

Tomasz odłożył książki rozczarowany. Zarówno *Losy osadnictwa polskiego na ziemi amerykańskiej*, jak i *Śladem emigracji polskiej. Szkice biograficzne* nie zawierały żadnych

interesujących go informacji. Spośród wielu opisanych postaci żadne nazwisko nie przypominało ani trochę nazwiska Dębicki.

Pozostawała pozycja trzecia – *Polacy w wojnie domowej w Ameryce*, po której Tomasz nie obiecywał sobie jednak wiele. Wojnę secesyjną od teksańskiej dzieliło prawie trzydzieści lat, a poza tym książka ta znajdowała się w części biblioteki dostępnej jedynie dla naukowych VIP-ów. Ponieważ jednak do końca czasu pracy pozostało mu jeszcze ponad dwie godziny, postanowił zaryzykować. Zapytawszy znajomego zza lady o drogę, Tomasz stanął po chwili przed drzwiami Działu Zbiorów Szczególnych.

Za biurkiem siedziało otyłe babsko wpatrzone w ustawiony na regale telewizor. Na ekranie serialowa Zosia żaliła się serialowej Jadzi na niewiernego, zapewne również serialowego, Zdzisia. Babina wpatrywała się w ekran z tak nabożną czcią, że Tomasz nie znalazł w sobie dość odwagi, by jej przerwać. Z odsieczą nadszedł mu dopiero blok reklamowy.

– Słucham?

Tomasz rozpoczął dyplomatyczne wyłuszczenie problemu, ale już po trzecim zdaniu babsko zamachało łapami.

– Niech przedstawi zezwolenie rektora uczelni albo zezwolenie dyrektora biblioteki.

Na legitymację sztabową, którą Tomasz podsunął, babsko prychnęło jedynie resztkami makowca.

– Ja nie wiem, co to jest. Powiedziałam mu wyraźnie: zezwolenie rektora albo dyrektora.

Po tym stanowczym oświadczeniu babon czym prędzej odsunął się z fotelem, gdyż prezenterka zapowiadała właśnie dalszą część 574 odcinka serialu „Pokolenie”. Tomasz ruszył zrezygnowany do wyjścia, gdy nagle nastąpiła ta chwila, którą autorzy „Pomysłowego Dobromira” przedstawiali graficznie w formie migającej nad głową żaróweczki. Tomasz wydobyl komórkę i wybrał numer pewnej niezwyklej osóbkki.

– Słucham. – Usłyszał wysoki i jak zwykle pretensjonalny głos panny Renatki, znajomej z czasów, gdy sekretarzował parlamentarnym komisjom w Kancelarii Sejmu.

Panna Renia, prócz wielu rozlicznych wad, którymi obciążył ją bezlitosny Stwórca, miała i tę polegającą na chronicznym uwielbieniu wszelkich tasiemcowych seriali. Perypetie ich niezliczonych bohaterów znała na pamięć, a serial „Pokolenie” był jej niekwestionowanym faworytem. Wada ta, która rozstrajała niegdyś nerwy Tomasza, teraz stać się miała jej największą zaletą.

– Witam, Renatko, Tomasz mówi. Pamiętasz mnie jeszcze?

– Pamiętam – sapnęło niechętnie dziewczę po długiej pauzie. – A któż to do mnie dzwoni? Pan Tomaszek! Przypomniał sobie o swojej znajomej?

Tomasz zniósł mężnie złośliwości wstępne panny Renatki i kontynuował słodko:

– Mam do ciebie małą prośbę. Jeśli oczywiście masz chwilkę.

– Nie mam, ale ciekawa jestem, co to za prośba, więc mów.

– Chodzi o serial „Pokolenie”. Nie widzieliśmy się kilka miesięcy, więc nie wiesz, że dzięki tobie zostałem jego zagorzałym fanem.

Panna Renatka zaniemówiła z wrażenia. Wysiliwszy swą niezbyt skomplikowaną mózgownicę przypomniała sobie, że kto jak kto, ale jej były sąsiad zza biurka wyjątkowo źle znosił jej zainteresowanie losami bohaterów „Pokolenia”.

– Widzę, że zadzwoniłeś, żeby robić sobie ze mnie jaja. Wybacz, ale nie mam czasu na...

– Ależ nie, nie! – krzyknął Tomasz. – Nic z tych rzeczy. To właśnie twoja fascynacja tym serialem sprawiła, że i ja stałem się jego wiernym fanem.

– No, no, no – rzekło dziewczę łaskawszym już tonem – kto by się spodziewał tego po tobie... Tomku.

– I właśnie jestem w wielkim kłopotcie, w którym ty tylko możesz mi pomóc.

– Tak? – Dziewczę nie umiało ukryć ciekawości.

– Widzisz, byłem dwa tygodnie na małym urlopie na Mazurach, odcięty od telewizora. Możesz mi powiedzieć, co się ostatnio działo? Znajomy powiedział mi tylko, że Zdzisiek zdradził Zosię! Czy to prawda?

W tej kwestii, jak zresztą w żadnej innej, nie trzeba było ciągnąć panny Renatki za język. W ciągu następnego kwadransa okazało się, że tak naprawdę Zdzisiek nie zdradził Zosi. To zazdrosna o jego miłość Mariola skłamała o domniemanej zdradzie Pawłowi, a ten, zwierzywszy się Jurkowi, puścił nieprawdziwą informację w obieg. Tadeusz i Aneta stanęli murem za Zdzisiem, ale Kasia i Artur dali wiarę plotkom. Tata Zosi dostał przez to zawału, a jej brat Kamil zdezerterował z wojska. Na domiar złego Rysio potracił emeryta, Bartek przystawiał się do Izy, a babcia Czesia zapadła na posocznicę.

Tomasz zapisał skrzątnie wszystkie zebrane informacje i wylewnie podziękował Renatce, choć ta zamierzała uraczyć go jeszcze szczegółami dotyczącymi postępu sprawy rozwodowej Beaty i Grzeška. Uzbrojony w wiedzę urzędnik po raz drugi przekroczył progi Działu Zbiorów Szczególnych.

– Przecież mówiłam mu, żeby przyniósł pozwolenie...

– Tak, oczywiście – przyznał Tomasz najpokorniejszym głosem, jaki mógł wydać. – Pomyślałem sobie tylko, że może pozwoli mi pani obejrzeć „Pokolenie”. Uwielbiam ten serial i nie mogę wprost...

– Niestety właśnie się skończył. – Babsztyl życzliwiej spojrział na urzędnika.

– Co za pech! – Tomasz z udaną rozpaczą szarpał czuprynę, rujnując przedziałek. – Nawet nie wiem, co z Kasią, czy nadal nie wierzy Zdzisiowi?

– Nie – babina smętnie pokiwała głową – ten drań Artur przekonał ją, że Mariola ma z nim romans.

– A co z ojcem Krystyny? Odzyskał przytomność?

– Nie. Przeszczep się nie przyjął. Jest w śpiączce. – Baba otarła łzę. – Boję się, że Joasia tego nie przeżyje.

Przez chwilę milczeli, a Dział Zbiorów Szczególnych wypełniła grobowa cisza.

– Z tego wszystkiego – Tomasz dyskretnie zerknął w notatki – Karol znów może targnąć się na swoje życie.

– Niech pan nawet o tym nie myśli – babsztyl smarknął hałaśliwie w chusteczkę, ocierając łzy – to na pewno zabiłoby ojca.

– Niech się pani nie martwi – mówił łagodnie Tomasz. – Jurek na pewno wytłumaczy wszystko Bartkowi, a ten przekona Wieśka i Justynę, by wpłynęli na Artura...

– Jaką Justynę? – czujnie wyłapało babsko.

– Eeee – Tomasz nerwowo zerknął w notatki – oczywiście Janinę, chciałem powiedzieć.

– Tak, miejmy nadzieję. – Babina smutno pokiwała głowę i spojrzała na Tomasza szklistymi oczami. – Pan jest taki miły. Może napije się pan herbatki?

– Dziękuję, ale pójdę już. Po tym, co mi pani powiedziała o stanie ojca Krystyny, po prostu nie mam nastroju.

– Rozumiem pana doskonale, chłopcze – pokiwał głową babsztyl.

– A poza tym muszę jeszcze skoczyć do innej biblioteki, skoro nie mogę skorzystać z księgozbioru. Mam nadzieję, że zdążę na następny odcinek, o osiemnastej.

– Oj, to ma pan mało czasu. – Baba trwożliwie zerknęła na zegarek. – Wie pan co? Pan jest taki miły, że nie mogę panu odmówić.

Chwilę później Tomasz wertował poźółkły i rozsypujący się egzemplarz książki *Korzenia Polacy w wojnie domowej w Ameryce*, wychwalając pod niebiosa Renatkę i siorbiąc doskonałą rumiankową herbatę, osobiście zaparzoną przez miłośniczkę serialu.

Przewertował pobieżnie spis treści, otwierając książkę na wstępie. Przebiegał właśnie wzrokiem czwartą stronę, gdy nagle ręka unosząca herbatę znieruchomiła w połowie drogi do ust, a urzędnicze serce zabiło żywiej. Jest!

Z hałasem odstawił szklanekę i wolno, pomagając sobie palcem odczytał niewielki akapit:

Tradycje walki o wolność, zapoczątkowane czynem Kościuszki i Pułaskiego, kontynuowali inni polscy patrioci, emigrujący do Stanów Zjednoczonych za chlebem. Szczególnie intensywna emigracja nastąpiła po upadku insurekcji listopadowej, gdy wielu oficerów i żołnierzy opuściło zniewoloną ojczyznę i udało się na tułaczy los, przez Prusy i Austrię. Największy transport miał miejsce późną jesienią 1833 r., kiedy to władze austriackie uwolniły przeszło 230 Polaków więzionych w Brnie i Trieście i na pokładzie dwóch fregat: „Hebe” i „Guerrera” wyprawiły ich za ocean. Byli wśród nich majorowie: Nyko z 1 pułku piechoty liniowej, Chłopicki – bratanek dyktatora, Lepin z 5 pułku ułanów, kapitan Rostkowski, porucznicy Konarzewski z 23 pułku, Kossowski, Hiż, Jużwikiewicz, Dembicki, Jakubowski, Wodzyński...

Dembicki? Pomijając drobny niuans z zamianą „ę” na „em”, reszta się zgadzała. A więc

ów oficer tułacz nie był jedynie wymysłem wyobraźni umierającego starca? Tomasz czytał dalej:

Duża część z nich, korzystając z funduszy zapewnionych przez gościnnych nowojorczyków i pieniężnej zbiórki zorganizowanej przez słynnego pisarza Jamesa Fenimore'a Coopera, podjęła się pracy zarobkowej, część zaś, rozczarowana, powróciła do Francji. Pozostali, którym jako zawodowym wojskowym nie w smak była praca fizyczna, podjęli starania o zaciąg do armii tudzież floty wojennej Ameryki. Część z nich skorzystała ze sposobności i wzięła udział w insurekcji w Teksasie, która nastąpiła w dwa lata później, bijąc się za republikę przeciw Meksykowi.

Tak, teraz nie było już żadnej wątpliwości. Chodziło z pewnością o tego samego człowieka. Błazeństwa z serialem i pomoc panny Renatki opłaciły się.

Tomasz zamknął książkę i odetchnął głęboko. Po raz pierwszy w jego urzędniczej karierze natrafił na sprawę, która zaangażowała go emocjonalnie. Żegnając nieszczerym uśmiechem biblioteczną ropuchę, pomyślał, że jego grubi mistrzowie z pokoju 240 z pewnością nie byliby tym zachwyceni.

Wychodząc z Działu Zbiorów Szczególnych, Tomasz nadłożył nieco drogi i przeszedł do czytelni ogólnej, by jeszcze raz spojrzeć na swą nowo poznaną sympatię i zgodnie z zasadami sztuki podrywu, utrwalić się w jej pamięci. Nokia, choć zaczytana w książkach, dostrzegła młodziana i pomachała mu z uśmiechem.

Z Biblioteki Narodowej wyszedł więc Tomasz zadowolony, uzupełniwszy swą wiedzę merytoryczną, towarzyską i serialową. Do „Myszki” zaś pofrunął SMS oznajmiający jej, że dziś wieczorem „Kocur” ma ważne spotkanie służbowe i z lodów nici.

Rozdział 3

W przedziale drugiej klasy pociągu osobowego relacji Warszawa Centralna-Białystok pewien urzędnik państwowy w dość młodym wieku usiłował skupić się nad wyciągniętymi z neseseru papierami. Nie było to łatwe, jako że przedział nabyty był do ostatniego miejsca.

Delikatną sugestią Tomasza, że powaga urzędu i misji wymaga biletu pierwszej klasy, pani Basia z Departamentu Kadr skwitowała swym nadzwyczaj piskliwym śmiechem i ironicznym spojrzeniem. Młody referent mógł jedynie dziękować niebiosom, że nie ma wagonów klasy trzeciej, w której niechybnie by się znalazł.

Miejsce Tomasza należało do niego tylko teoretycznie, ponieważ z prawej strony jego część zaanektował lewym półdupkiem zażywny starszy jegomość, lewa zaś połowa stale zagrożona była przez wierzącą się Matkę Karmiącą, dzierzącą na obfitych piersiach śpiącego berbecia. Obok niej pod oknem zasiadał wyraźnie zmęczony życiem tatuś, w przeciwieństwie do mamuni chudy jak badyl.

Pozycja Tomasza zagrożona była nie tylko ze skrzydeł, ale także od frontu, ponieważ naprzeciwko usadowiła się odziana w kolorowe gałgany panusia. Panusia nie stanowiła, co prawda, szczególnego niebezpieczeństwa, groźniejszy był jej owczarek niemiecki, siedzący na podłodze i bardzo zaintrygowany szelestem przeglądanych przez Tomasza papierów. Obok przekwitłej hippisówki zasiadała niewielka babunia, z przerażeniem spoglądająca na psa i dyskretnie przewijająca między palcami koraliki różańca. Po drugiej zaś stronie pod oknem w czułych objęciach spoczywała namiętna para, zdająca się nie dostrzegać reszty współpasażerów.

W ciągu pierwszego kwadransu w przedziale panowała względna równowaga sił. Tomasz rozłożonym na kolanach sztywnym neseserem przyblokował półdupek Grubego Pana, hamując jednocześnie ofensywne zapędy Matki Karmiącej. Spokój zburzył dopiero konduktor, który rozbudził towarzystwo swym standardowym: „Proszę bilety do kontroli”. Tomasz okazał swój bilet pierwszy, jako jedyny mając go pod ręką. Reszta towarzystwa rozpoczęła ściąganie z półek kufrów i waliz, co sprowokowało owczarka do radosnych harców i ujadania.

- Piesek powinien być w kagańcu, proszę pani – autorytatywnie oświadczył konduktor.
- No właśnie – z satysfakcją przytaknęła wciśnięta w kąć babunia z różańcem.

– Gwidon jest bardzo spokojny, proszę pana – burknęła gałganiara, dla której umundurowany konduktor był widocznie przedstawicielem znienawidzonej władzy, depreczającej święte prawa jednostki.

Konduktor odpowiedział jej coś, lecz jego głos utonął we wrzasku pulchnego bobasa, przebudzonego ujadaniem Gwidona. Matka Karmiąca natychmiast uruchomiła procedury awaryjne, rytmicznie tarmosząc bobasem i wydając z siebie szereg pisków, będących w jej przekonaniu kołysanką. Nie na wiele się to jednak zdało i osesek wydzierał się dalej jak Piekarski na mękach, naruszając tym samym nieświadomie kilkanaście punktów wywieszzonego koło klozetu „Wyciągu z regulaminu przewozu osób i mienia”. Chcąc nie chcąc, do akcji ratunkowej przyłączył się również tatuś, machając bez przekonania fioletową grzechotką; wyglądał przy tym jak chuderlawy druid odprawiający jakieś pogańskie obrzędy.

Konduktor skasował bilety młodej pary i wyniósł się czym prędzej, szczelnie zamykając za sobą drzwi. Tomasz demonstracyjnie nadal przeglądał papiery, ze złością stwierdzając, że nie jest w stanie zapamiętać choćby słowa.

Szamańskie popisy tatusia przyniosły o dziwo efekt i dzidzius wyłączył fonię, ograniczając się do przewracania słodkimi ślepkami. Do przedziału powracać zaczęła normalność, której wyrazicielem był Gruby Pan, wcinający wydobyte z walizki kanapki z boczkiem. Cisza nie trwała jednak nawet dwóch minut, uaktywnił się bowiem Gwidon, zainteresowany otyłym jegomościem i jego drugim śniadaniem. Ospale z początku psisko między Thuszczem a Małkinią rozbrykało się wesoło, szczególną serdeczność okazując wciśniętemu między grubasa i mamkę urzędnikowi państwowemu. Mimo isticie samurajskich zwodów Tomasz nie uniknął czułości Gwidona, który staranie oblizał lica młodego referenta, zaśliniwszy mu przy okazji krawat.

Między Szepietowem a Łapami do psiaka dołączył również spoczywający do tej pory w ramionach matki berbec, który oznajmił wszem i wobec swe przebudzenie efektownym kupskiem. Mamuśka wydawała się wyjątkowo dumna z wydalonej przez pociechę porcji fekaliów, gdyż zdecydowała się zademonstrować ją zachwyconym współpasażerom. Rozpoczęła skomplikowany proces przewijania zasańca, co wymagało wyjątkowej ekwilibrystyki, szczególnie na szepietowskich zwrotnicach. Chuderlawy tatuś, zajmujący względnie bezpieczną pozycję pod oknem, w międzyczasie zasnął.

O przeglądaniu papierów nie mogło być mowy, więc Tomasz mógł odliczać jedynie minuty do końca eskapady. Czekanie na szczęśliwą chwilę osłodził mu jeden akcent – przerażona mina siedzącego naprzeciw przystojniaczka z przyssanym do szyi dziewczęciem. W przeciwieństwie do swej partnerki, która z zachwytem przyglądała się srajacemu bobasowi, goguś spod okna dostrzegł w siedzącej naprzeciw parze, niczym w zwierciadle Nostradamusa, swą niewesołą przyszłość. Wyraźnie zdystansował się więc od swej partnerki, zachwyconej drylowanym w tym czasie przez gówniarza maminym cycem.

Dziewczę, widząc niewyraźną minę partnera, oznajmiło mu podniesionym głosem, że już

najwyższy czas odbyć poważną rozmowę i pomyśleć o przyszłości. Dialog, który na wysokości Trypuciów nabrał rozmachu, zakończył się dopiero po majestatycznym wtoczeniu się składu na dworzec Białystok.

* * *

Podróż ze stolicy Podlasia do Bielska Podlaskiego upłynęła w znacznie mniej napiętej atmosferze. Choć aura wysłużonego PKS-u również nie przypominała salonu „Sephory”, to jednak sielankowe krajobrazy mijanych wiosek o dziwnych nazwach podziały kojąco na duszę referenta. Łany zbóż, przecięte tu i ówdzie liniami energetycznymi, stada krów i koni oraz kłująca w oczy soczysta zieleń łąk dla mieszkańca Warszawy były widokiem niemal egzotycznym i stanowiły inspirację dla romantycznych SMS-ów do Nokii, z którą spędził poprzedni wieczór w lokalu „Paparazzi”.

Bielsk Podlaski, położony w dawnych włościach Radziwiłłów, okazał się uroczym miasteczkiem, w którym czas zdawał się płynąć zdecydowanie wolniej. Prasowe lamenty i socjologiczne bajdurzenia na temat nędzy i beznadziei panującej w Polsce „B” straciły znaczenie, gdy tylko majestat warszawskiego urzędasza postawił stopę na rozległym parkingu dużego dworca autobusowego.

Po zasięgnięciu informacji w stojącym nieopodal kiosku Tomasz skierował się ku centrum miasteczka, przechodząc przez zadrzewiony park ze wznoszącym się centralnie stromym pagórkem. Jak można było przeczytać na drewnianej tablicy, pagórek ów skrywał ruiny prastarego grodziska, strzegącego niegdyś tych ziem przed watahami ze Wschodu. Dziś w jego cieniu dwóch potomków średniowiecznych obrońców raczyło się tanim winem.

– Jak dojść na posterunek policji? – zapytał Tomasz, z góry przeczuwając, że dwaj delikwenci doskonale znają drogę.

– Prosto przez park, potem w prawo – poinformował miejscowy, dyskretnie chowając wino za plecami.

– Nie można nie trafić – dwuznacznie skwitował drugi.

Z kłopotu wybawiło jednak Tomasza dwóch umundurowanych policjantów, wyraźnie spieszących w jego kierunku.

– Pan z Warszawy? – zapytał pierwszy z nich i nie czekając na odpowiedź, dorzucił: – Pan pozwoli z nami.

Tomasz ruszył z policjantami, odprowadzany współczującym wzrokiem dwóch żuli.

– Widzisz – mruknął jeden do drugiego – nawet w tej Warszawie porządni ludzie się zdarzają.

– Był telefon z komendy wojewódzkiej, że pan przyjedzie – wyjaśniał tymczasem gliniarz. – Jestem sierżant Ciołkosz. A to posterunkowy Mazurek.

Tomasz przywitał się uprzejmie z dwoma sympatycznymi gliniarzami, resztę drogi

spędzając na miłej konwersacji. Chwilę później stanęli przed odmalowanym w beżowo-buraczkowe pasy, dwupiętrowym budynkiem z tabliczką: „Komenda Powiatowa Policji w Bielsku Podlaskim”.

– Z Warszawy? Wojskowy? Prosić!

Tomasz wszedł do dużego pokoju, zastawionego rozsypującymi się meblami. Prócz zeschłej paprotki jedynym elementem ożywiającym wystrój było godło wyobrażające zszarzałego orła bez korony na wyblakłym różowawym tle. Zza biurka z obłupanym fornirem podniósł się chuderlawy konus o przetłuszczonej cerze i rozbieganych oczkach.

– Ryłko jestem, komisarz, można by rzec – mówił podniecony, gestykulując przesadnie. – To dla nas wielki zaszczyt! Nie spodziewałem się, że sprawa zainteresuje samą Warszawę. – Ostatnie słowo przeciągle podkreślił. – Proszę siadać, panie... poruczniku? A może już kapitanie?

– Jestem cywilem – sprostował Tomasz.

– Ach tak. – W oczkach komendanta błysnęła niepewność. – Powinienem był się domyślić. W rzeczy samej, można by rzec, nie wygląda pan na wojskowego. To znaczy nie to, że nie wygląda, po prostu chciałem powiedzieć, że...

Miotał się i paplał, chcąc za wszelką cenę błysnąć przed ważnym przybyszem. W każdej wizycie jakiegokolwiek oficjela komendant upatrywał szansę bycia dostrzeżonym, a tym samym awansowanym i przeniesionym z tej zapadłej dziury gdzieś wyżej. Może do samego Białegostoku?

– Mniejsza z tym – Tomasz przerwał słowotok komendanta. – Przejdźmy może do...

– Do rzeczy! – wykrzyknął Ryłko, klasnąwszy w dłoń.

– Właśnie. Chciałem porozmawiać o sprawie. W drodze na posterunek dowiedziałem się od pańskich ludzi, że na miejscu nie znaleziono żadnych podejrzanych przedmiotów ani dowodów, mogących wskazywać na kryminalny charakter...

– Co takiego!? – ryknął komendant. – Tak panu powiedzieli!? Kto!? Kiedy!? Dyżurny do mnie!

Chwilę później przed rozwścieczonym komendantem stało dwóch towarzyszących wcześniej Tomaszowi funkcjonariuszy.

– Który śmiał powiedzieć, że nic nie znaleziono!? Który się ośmielił!? Ja was, ja was... – ryczał Ryłko i zmieniawszy błyskawicznie ton, wyjaśniał spokojliwie Tomaszowi: – Znaleziono mnóstwo dowodów przestępstwa. Całą masę! Nie budzą żadnej wątpliwości, nadając całej tej historii wymiar poważnego przestępstwa! Zapewniam, że zaprezentuję je wszystkie! A wy dwaj won! Jeszcze z wami pogadam!

Ryłko trząsał się ze złości i usiłował zatrzymać ulatującą wizję błyskotliwego awansu.

– Proszę mi wybaczyć, proszę mi wierzyć, to, można by rzec, niewybaczalna niekompetencja! Obiecuję, że ci dwaj zostaną surowo...

– Jeśli pan pozwoli – wtrącił Tomasz zdegustowany sceną, której był świadkiem – to

chciałbym obejrzeć te dowo...

Nie dokończył, bo Ryłko usłużnie zgiął się w pas, po czym ryknął:

– Świderek!

W drzwiach znów pojawił się rozczochrany chudzielec z naszywkami sierżanta.

– Przynieść tu natychmiast dowody przestępstwa! Migiem!

– Wszystkie?

– Powiedziałem!

– Tak jest! – Dyżurny strzelił obcasami i odwróciwszy się, rzucił w kierunku dyżurki: – Mazurek, Ciołkosz, Pokrzywa, za mną po dowody.

– Czterech ludzi? – zdumiał się Tomasz. – Co tam się stało?

– Zebraliśmy bogaty materiał dowodowy – Ryłko rozparł się dumnie w fotelu – kryminalny charakter tej sprawy jest bezwątpliwy.

– Bezwątpliwy – powtórzył cicho Tomasz.

Chwilę później na korytarzu rozległ się hurgot i do pokoju komendanta wtoczyli się gliniarze, dźwigając dwa brezentowe wory, stalową beczkę i kartonowe pudło. Tomasz wstał zdumiony. Ryłko podszedł do kartonu z tajemniczym uśmiechem i niczym magik ostrożnie wyjął z niego szklaną, spiralnie skręconą rurkę, lejek oraz miedzianą tuleję przylutowaną do puszki.

– Dowód numer jeden – rzekł zadowolony z siebie. – Destylator! Niepodważalny dowód!

Pogrzebał dalej i z miną kuglarza wyciągnął na biurko bogaty zestaw lejków, garnków i miedzianych rurek.

– Dowód drugi: deflegmator! Trzeci: skraplacz! I wreszcie – trącił butem blaszaną beczkę – berbelucha w czystej postaci! I co pan na to?

Tomasz, który oglądał prezentację z wybałuszonymi oczami, opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

– Wiem, wiem, że to trudne – Ryłko poklepał go poufale po ramieniu – ale walczymy z tym ze wszystkich sił! Bimber zniknie z naszego powiatu, jakem Ryłko... można by rzec.

Rozdział 4

Wysłużony policyjny gazik zatrzymał się przed stojącą w pewnym oddaleniu od innych budynków, tonącą w zieleni willą. Komisarz Ryłko o mało się nie przewrócił, wyskakując z wozu i obiegając wokół maskę, by otworzyć drzwi Tomaszowi.

– Nie sądziłem, że sprowadza tu pana śmierć tego starego dziwaka – paplał nerwowo, drepcąc to z prawej, to z lewej strony Tomasza. – Gang Grygoruka od dawna rozprawiał siwuchę na cały powiat. Dwa lata zajęło nam...

– To tutaj? – Tomasz przerwał zniecierpliwiony.

– Tak, tak – przytaknął komendant – to willa Tarasa.

Z kieszeni spodni dobył pęk kluczy i drżącymi rękami zaczął, metodą prób i błędów, manipulować przy zamku. Furtka skrzypnęła niemiłosiernie i orszak wkroczył na podwórkę.

Szara pudełkowa willa z płaskim dachem wyglądała na komfortową. Tomasz zwrócił uwagę na architektoniczne smaczki, takie jak stylizowane na hotelowe zadaszenie wejścia głównego, umieszczone na piętrze narożne okno czy obudowany kolorowym szkłem obszerny balkon. Uwadze młodego urzędnika nie uszedł też duży garaż, mogący bez trudu pomieścić dwa samochody, i solidne stalowe ogrodzenie posesji, kontrastujące z wszechobecnymi w Bielsku drewnianymi płotami. Tomasz obszedł dookoła budynek, otoczony zewsząd grządkami zaczynających właśnie kwitnąć żonkili, podziwiając gierkowski przepych. Taras musiał być zamożnym człowiekiem. Tomasz podzielił się tym spostrzeżeniem z Ryłką.

– Oj, krezus to był, krezus – usłużnie potakiwał komisarz. – Za komuny był tutaj pierwszym sekretarzem w gminie! Wie pan, jak to było!

Ryłko zmieszał się, uświadamiając sobie młody wiek Tomasza, który w owych czasach baraszkował co najwyżej w wielorazowego użytku pieluchach „Polfy”.

– Bankiety, przyjęcia, polowania – paplał dalej. – Z całego województwa, ba, z Warszawy nawet towarzysze przyjeżdżali. Pijaństwo całą noc, potem do Białowieży na polowania, a potem znów pijaństwo! Tu grube szychy bywały, panie!

Ryłko zerwał z drzwi wejściowych policyjne taśmy. Weszli do obszernego przedpokoju, obwieszzonego myśliwskimi trofeami.

– O, tu leżał – posterunkowy Mazurek wskazał na podłogę koło prowadzących na piętro schodów – tu znalazła go gospodyni. Był sparaliżowany...

– Nie odzywać się nie pytany! – huknął na niego Ryłko i słodkim głosem poinformował Tomasza: – Znalazła go tu Florczakowa, zamieszkała po sąsiedzku. Przynosiła mu jedzenie co rano. Nie odpowiadał na pukanie, więc Florczakowa zawołała męża i ten wyważył drzwi. Taras żył jeszcze, ale wkrótce zmarł. Lekarz mógł tylko wypisać akt zgonu.

– A co z przyczyną śmierci?

– Gdyby pan zechciał spojrzeć – powiedział komisarz.

Dobył ze skórzanej torby plik papierów i usłużnie podsunął Tomaszowi pod nos. Protokół sekcji zwłok, wystawiony przez „dra n. med. Mikołaja Stelmaszuka”, stwierdzał, „*zgon sercowy wskutek upośledzenia kurczliwości mięśnia sercowego*”. Czyli, mówiąc niefachowo, ale za to po polsku: zawał.

Drugi papier był opatrzonym stosownymi pieczętkami raportem z miejsca zdarzenia. Policyjny protokół z dnia 4 maja 2004 roku stwierdzał, że:

denat leżał na plecach z rozrzuconymi członkami gurnymi w ten sposób, że członek lewy spoczywał w pozycji horyzontalnej pod kątem 30 stopni w stosunku do korpusu ciała właściwego, a członek prawy zgięty w stawie spoczywał nad głową denata. Denat ubrany był w konfekcję domową w postaci szlafroka męskiego, dwie sztuki pantofli typu „papuś”, dwie sztuki skarpet wełnianych, oraz jedną sztukę bielizny osobistej.

Raport zawierał również nieudolny szkic sytuacyjny oraz – w sumie – osiem błędów ortograficznych.

– Czy to pan sporządził ten raport? – zapytał Tomasz Ryłkę.

– W rzeczy samej, można by rzec – odpowiedział dumnie komisarz.

– Domyślałem się – Tomasz pokiwał głową. – No cóż, panie komisarzu, moim zadaniem jest zabranie stąd papierów Tarasa.

– Tak jest! – wyprężył się Ryłko. – Jego gabinet jest na końcu korytarza. Na górze zaś jest sypialnia denata i dwa pokoje gościnne.

Orszak ruszył za Tomaszem i wkroczył do przestronnego gabinetu, również upstrzonego porożami. Z lewej strony stało masywne dębowe biurko, z prawej zaś okrągły stolik karciany. Za biurkiem znajdował się niewielki regał z książkami. Najbardziej imponującą częścią wystroju był niewątpliwie wielki kominek zajmujący całą ścianę, którego strzegła wisząca nad nim groźna niedźwiedzia głowa. Kominek wykonany był z jasnego marmuru, a jego szczyt wspierał się na dwóch masywnych kolumnach pokrytych płaskorzeźbami. Tomasz bez trudu rozpoznał wyrzeźbione na kolumnach postacie – na lewej kolumnie wyobrażono sylwetkę Mieszka I, na prawej jego syna, Bolesława Chrobrego, dzierżącego włócznię świętego Maurycego. Na kominku stał elegancki zegar z mnóstwem zdobień.

Biblioteczka, prócz przetrzebionej serii „Tygrysów”, zawierała głównie książki o tematyce historycznej i myśliwskiej. Na samym dole, obok kilku pozycji ogólnie traktujących

o historii USA, Tomasz dostrzegł charakterystyczny grzbiet ze złożonymi literami układającymi się w napis: *Polacy w wojnie domowej w Ameryce*.

– Cóż – rzucił Tomasz, rozglądając się wokół – wygląda na to, że nie będę miał tu wiele roboty.

– Czy ja jeszcze... można by rzec, tego... – nieśmiało zapytał Ryłko.

– Nie, nie, dziękuję panu za pomoc.

– W rzeczy samej – komisarz usłużnie zsalutował – jestem do pełnej dyspozycji. Komenda powiatowa jest zawsze na miejscu. Mam nadzieję, że w pańskim raporcie znajdzie się skromna wzmianka na ten temat...

– Obiecuję, że poświęcę panu cały akapit.

– Dziękuję! – zawołał uszczęśliwiony komisarz, wycofując się tyłem, jak przed królewskiego majestatu. – Posterunkowy Mazurek zostanie z panem. Dla bezpieczeństwa. Proszę nim, można by rzec, dowolnie dysponować.

Ryłko oddalił się rozanielony. Cały akapit! Teraz jego osoba z pewnością zostanie dostrzeżona w samej Warszawie! Fakt ten nastroił go tak optymistycznie, że nie opieprzył nawet zwyczajowo Ciołkosza za nie wyglansowane obuwie.

Tomasz zdjął marynarkę i zabrał się do wertowania papierów. Dolne półki biblioteczki i szuflady biurka zawierały wszelkie możliwe szpargały – rachunki, zaświadczenia, przybory do pisania, kilka starych monet i mnóstwo innych drobiazgów.

Przeszło pięć godzin urzędnik Sztabu Generalnego przeglądał i porządkował dokumenty, odganiając ćmy fruujące wokół stojącej na biurku stylowej lampy. Oryginały najważniejszych papierów, z których większość znał ze skserowanych kopii, zapakował w papierową teczkę. Resztę – głównie rachunki i faktury – wsadził do dużego kartonowego pudła.

Posterunkowy Mazurek, pozbawiony towarzystwa swego cholerycznego szefa, wykazał inicjatywę i zaparzył herbatę. Delikatnie postawił szklanekę na biurku i usiadł na sofie przy kominku, podziwiając młodego człowieka, który – mimo że był niewiele starszy od niego – zajmował już tak wysokie stanowisko.

– Niemożliwe... gdzieś musi być – mamrotał referent, jeszcze raz uważnie wertując przejrzone już papiery. Po chwili wstał i zaczął przetrząsać wszystkie zakamarki.

– Niech pan szuka papierów – rzucił w stronę policjanta. – Musi tu gdzieś być jeszcze jeden dokument.

Przez pół godziny bezskutecznie przeszukiwali gabinet. Mazurek zwinął nawet dywan, ale poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Tomasz nie odnalazł najważniejszego – testamentu majora Dębickiego, o którym Taras wspominał w ostatnim piśmie.

– Trudno – wzruszył w końcu ramionami – nic tu po nas.

Gliniarz przeciągnął się szybko i bez słowa wziął do ręki wypakowane kartonowe pudło. Referent również napiął mięśnie obolałe od długotrwałego siedzenia. Rzucił okiem na zegar –

było już po dwudziestej. Odsłonił firankę i wyrzwał za okno. Zapadał zmierzch i w oddalonych domostwach rozblęły światła.

Tomasz miał się już odwrócić, gdy nagle jego wzrok padł na drewniany parapet okienny. Tuż przy oknie zauważył niewielkie prostokątne wgłębienie – jakby ktoś uderzył w parapet młotkiem. Tomasz otworzył okno – ustąpiło z pewnym trudem. Prostokątny ślad o długości około pięciu centymetrów wychodził nieco poza ramę okienną na zewnątrz.

– Coś się stało? – Mazurek niecierpliwiał się, trzymając w ręku ciężkie pudło. – Tu nie ma potrzeby wietrzyć, proszę pana, i tak tu nikt nie...

– Niech pan postawi to pudło i poświęci mi.

Policjant wy dobył służbową latarkę i podał ją Tomaszowi, ze zdziwieniem obserwując zainteresowanie urzędnika okienną ramą. Ten zaś wodził snopem światła wzdłuż okna, mrużąc coś pod nosem.

– Zamek jest zepsuty, jakby złamany... Czy mąż tej... tej gospodyni, która znalazła Tarasa...

– Florczakowej.

– Właśnie, Florczakowej. Jest pan pewien, że wszedł do środka drzwiami, a nie oknem?

– Gdzie tam oknem! Drzwi wywalił. Florczakowa sama się skarżyła, że se chłop ramię zwichnął.

– A nie notowano tu żadnego włamania?

– Włamania? Ostatnio nie notowano. W zeszłym miesiącu jeden taki Boryczko dokonał włamania do sklepu spożywczo-przemysłowego. Ukraść cztery butelki wyborowej i jedną denaturatu, ale spożył część po drodze i mało się w ścieku nie utopił. Dzieciaki go znalazły... Od tamtej pory nie notowano włamania.

– Dziwne... Wygląda, jakby ktoś podważył łomem okno.

– Nieee... – Mazurek pokręcił łepetyną – przecież nic nie zginęło.

– Nie byłbym tego taki pewien – mruknął Tomasz. – No dobrze, chodźmy!

Wyszli przed willę. Tomasz przystanął i przez chwilę wpatrywał się jak urzeczony w rozgwieżdżone niebo. W dużym mieście, gdzie w nocy nigdy nie gasną światła, nie można było zobaczyć czegoś takiego.

Chwilę refleksji przerwało stękanie Mazurka.

– Niech pan mi jeszcze pożyczyc latarkę – zdecydował się nagle Tomasz.

Gliniarz niechętnie postawił pudło na ziemi. Tomasz ruszył w kierunku okna gabinetu, ostrożnie obchodząc garaż. Zaciekawiony posterunkowy poszedł za nim, ze zdziwieniem patrząc, jak młody urzędnik buszuje w grządkach żonkili.

– Jeśli pan chce narwać kwiatów, to szybko – Mazurek rozglądał się trwożliwie – żeby kto z ulicy nie dojrzał. Oj, dałby mi komendant po głowie...

Młody urzędnik podniósł się nagle – mimo ciemności Mazurek zauważył błysk w jego oku, choć Tomasz nie trzymał w ręku żadnego żonkila.

– Chodźmy już – powiedział.

Policjant tylko wzruszył ramionami. Dziwne mają obyczaje te urzędniki, pomyślał, toć przecież mógł narwać tych kwiatów. Mazurek przecież honorowy jest i nikomu słowa by nie pisnął.

Tomasz wyszedł pierwszy przez furtkę i przytrzymał ją człapiącemu z pudłem policjantowi. Nagle zza pleców dobiegł go jakiś szmer. Odwrócił się gwałtownie, świecąc latarką. Serce podeszło mu pod gardło, a latarka z brzękiem upadła na ziemię. Przed Tomaszem stała jakaś upiorna zjawa odziana w długi czarny płaszcz i wpatrywała się weń świecącymi białkami oczu.

* * *

– Ale miałeś pietra synu, przyznaj.

– Ale tylko przez chwilę.

– Ale miałeś.

– Ano miałem.

– No to... cyk.

Kieliszki brzęknęły i kolejny spełniony toast ognistym strumieniem podrażnił urzędniczy przełyk.

– Ale żeby duchowną osobę brać za szatana... Uj, ciężki grzech.

– A bo się ksiądz zjawił... jak spod ziemi.

Roześmieli się. Tomasz ze wstydem i zażenowaniem patrzył na dobroduszną postać kapłana, którego przed godziną wziął za upiora. Jak się okazało, miejscowy proboszcz, usłużnie powiadomiony przez Ryłkę, zajrzał z ciekawości do willi Tarasa, by dowiedzieć się, czegoż to ważny urzędnik stołeczny szuka w jego ubogiej parafii.

– Zajdziesz do mnie, synu, posilisz się na skromnej kolacji – zaproponował wówczas ksiądz dobrodziej.

Tomasz opierał się, ale bez szczególnego przekonania, raczej z grzeczności. Przysługująca mu w ramach delegacji dzienna urzędnicza dieta w kwocie 19 złotych i 85 groszy starczyłaby co najwyżej na chleb z nacią pietruszki i wodę mineralną. „Skromna” kolacja na plebanii, mimo pewnych różnic ideologicznych, zapowiadała się całkiem interesująco.

– To mówisz, synu, że śmierć Tarasa, świeć Panie nad jego duszą, sprowadza cię do nas? Ciężki to był człowiek i ciężki charakter – proboszcz rozlał do kieliszków wiśniową nalewkę – ale i czasy były inne.

– Dla porządných ludzi każde czasy dobre – zaskrzeczała gospodyni proboszcza, rumiana i krzepka babunia – a łajza zawsze między ludzi wlezie i krwi napsuje...

– Osipiukowa się nie mądrzy, tylko nakłada panu urzędnikowi – polecił proboszcz,

mrugając ucieszenie do Tomasza. – Co tam Osipiukowa wie o Tarasie...

– A swoje wie! – Babina energicznie wrzuciła na Tomaszowy talerz porządną porcję klusek z gęstym sosem grzybowym. – Ludzi ha księdza napuszczał, donosy pisał, a ksiądz tego antychrysta na parafialnym cmentarzu chował... Kto to widział, żeby komunistę świencono wodo kropić. Toż w tym jego komunistycznym rajku żaden czerwony mu ręki nie poda...

– Osipiukowa nie gada bzdur! – Proboszcz machnął ręką jak na uprzykrzoną muchę. – Jaki był, taki był, ale chrześcijański pochówek mu się należał... No to cyk!

Tomasz przełknął kolejną dawkę wiśniówki. Milczeli z proboszczem chwilę, słuchając tylko mamrotania gospodyni.

– Widzę, że zmarły nie należał do ulubieńców księdza – zauważył dyplomatycznie Tomasz.

– Ciężki był charakter... ale i dziwić się trudno. Komunista był przed wojną, wywieźli go zaraz po siedemnastym wrześniu, za kołem podbiegunowym tajkę karczował. Potem wrócił. Tu po wojnie kilka lat bandy szalały. Akowcy, dezerterzy, Litwini, Ukraińcy nawet z UPA i zwyczajne bandziory, szumowiny różne. Do dziś nie wiadomo, kto mu dom spalił razem z żoną i małym synem... Mścił się potem jak wściekły pies, prywatną wojnę prowadził. Ale później spokój wrócił na Podlasie, tak i on się uspokoił i do znacznych godności doszedł w partii.

– I księdzu dokuczał – uaktywniła się gospodyni. – Kościoła nie pozwalał odnowić i na księdza krzywo patrzył. A jak kto dziecko chrzczył, to od razu donosy pisał.

– Ale się pojednał z Bogiem na koniec – rzucił proboszcz. – Osipiukowa wie najlepiej!

– Ano... prawda. – Babina pokiwała głową. – Widać na łożu śmierci ludzie trzeźwiej myślą...

– Pojednał? – Najedzony Tomasz poczuł ogarniającą go powoli senność. – Taki zatwardziały komuch?

– A pojednał – proboszcz pokiwał głową. – Florczakowa, ta, co go znalazła, opowiadała potem, jak ostatkiem sił chwycił ją za ramię i usiłował coś powiedzieć. Florczakowa zarzekała się, że pacierz próbował odmawiać...

– Tak, tak – przytaknęła gorliwie gospodyni – mówiła mi Florczakowa, że słyszała wyraźnie, jak mówił: „W imię ojca i syna”, tak mówił. Parę razy to powtarzał, widać dalej nie umiał.

– Potem stracił przytomność i umarł. Jeszcze mu udzieliłem sakramentu. Cierpiał pewnie, zanim go znaleźli, cały siny był, prawie niebieski na twarzy. Widać się dusił...

– No proszę – Tomaszowi co chwilę opadała głowa – nawrócił się... cuda się zdarzają...

– Nawet taki czerwony w obliczu Boga doznaje łaski – wymamrotała Osipiukowa, wznosząc wzrok ku górze. – Nic, tylko palec boży...

– Wie pani... Może bredził w agonii. Albo ta pani Florczak źle go zrozumiała.

– A gdzie tam! – oburzyła się gospodyni. – Szarpał ją i powtarzał: „W imię ojca i syna”, wyraźnie i głośno!

– Wyraźnie... – mamrotał Tomasz – głośno... Późno już, a ksiądz pewnie zmęczony? Pójdę już, mam pokój w hotelu...

Rumiany pleban nawet słyszeć nie chciał, żeby tak ważna osoba nocowała po byle zajazdach. Zatrzymał Tomasza na plebanii, a Osipiukowa dostała instrukcje, żeby młodemu na niczym nie zbywało.

– Palec boży – uświadomiła go po raz ostatni gospodyni, wychodząc z gościnnego pokoju. – Palec boży!

Tomasz odprowadził ironicznym wzrokiem pocziwą babinę. Taras najpewniej bredził w malignie, co stary proboszcz z gospodynią brali za modlitwę. Ech, pomyślał, długo jeszcze będziemy kulą u nogi Unii Europejskiej, skoro takie zabobony nadal dobrze się mają...

Spojrzał w okno i zamarł – przez chwilę wydawało mu się, że widzi w szybie czyjąś twarz. Drżącymi rękami przetarł oczy – twarz znikła, a za oknem w konarach starego kasztana huczał tylko wiatr. Tomasz zerwał się gwałtownie i zatrasnął uchylone okno.

– Dosyć upiorów na dziś – mruknął i zgasił światło.

* * *

Kilka minut po dziesiątej rano do okazałej poczekalni dworca PKS w Bielsku Podlaskim wkroczył młody człowiek z wypchanym neserem. Wyminął kilkanaście osób stojących po bilety i przez chwilę analizował rozkład jazdy autobusów, wywieszony nad okienkami kas. Do odjazdu PKS-u do Białegostoku pozostało jeszcze dwadzieścia minut, więc młodzieniec wolnym krokiem obszedł cały dworzec. Rzucił okiem na stojaki z lokalną prasą i przyjrzał się zabazgrołonej ścianie, na którejś jakiś Zygfryd zdecydował się umieścić swe życiowe credo. Znudzony, przeanalizował wywieszone w drewnianej gablocie ogłoszenia: „Spawacz doświadczony poszukuje zajęcia” i „Szwaczkę z praktyką zatrudnię”. Przeczytał jeszcze wywieszony nekrolog, który widział godzinę wcześniej na budynku poczty, gdy wysyłał paczkę z mniej ważnymi papierami. „Zmarły tragicznie w wieku 28 lat, zasłużony pracownik Poczty Polskiej, kochający mąż i ojciec...” Tomasz uśmiechnął się. Oto ciekawostka dla grubych kolegów grywających w denata, pomyślał. Ciekawe, który obstawilby, że doświadczony pracownik poczty może mieć tylko dwadzieścia osiem lat. Przestał się uśmiechać i odszedł pospiesznie, bo siedzące na ławce dwie babunie, okutane w kwieciste chusty, zaczęły patrzeć nań z widocznym zgorszeniem.

Ochrypli głos zapowiedział wreszcie przez megafon podstawienie autobusu do Białegostoku. Tłum rzucił się w kierunku autokaru, a za nim podążył dystyngowanym krokiem młody referent z wypchanym neserem.

Nie zauważył, że pewien mężczyzna w szarej sportowej marynarce bardzo uważnie mu

się przygląda.

Rozdział 5

– Wreszcie pan jest! Niechże pan opowiada, panie Tomku! Wpadł pan na jakiś intrygujący trop?

Tomasz uchylił się przed wylewnym powitaniem magistra Woźniaka, który z wielkim zaciekawieniem patrzył na niego zezem zza grubych szkieł. Nie otrzymawszy odpowiedzi, dalej miał ozorem.

– Takie stare papiery kryją nieraz wielkie tajemnice. Był pan na Podlasiu... ho, ho, ciekawe tereny. Kto wie, może natknął się pan na ślad Bursztynowej Komnaty? A może ten pański nieboszczyk był członkiem jakiegoś szeroko rozgałęzionego spisku?

Nikt, nawet obsada pokoju numer 240, nie pamiętał, jakim cudem ów zniewieściały krótkowidz z płowym wąsem dostał się do pracy w instytucji wojskowej. Nikt też do końca nie wiedział, czym tak naprawdę zajmuje się magister Woźniak, który to tytuł, przedstawiając się, zawsze podkreślał z pełnym naciskiem i dostojeństwem. Mgliste kompetencje plasowały go gdzieś pomiędzy posadą radcy prawnego a etatem księgowego, przy czym obie funkcje wykonywał równie nieudolnie. Zapewne więc z litości dyrektor Langer powierzył mu ambitne zadanie odpowiadania na najgłupsze i najbardziej niedorzeczne z pism, które trafiały do departamentu.

Magister Woźniak z pokorą przyjął swój krzyż, a z czasem odnalazł się w tej roli, odpisując wszelkiej maści piniaczom i szaleńcom. Trudno powiedzieć, czy to owa wymiana korespondencji, czy też raczej wrodzone panikarstwo, kompleksy i nieufność zmieniły go w tropiciela spisków i tajemnych sprzysiężeń. Lektura tandetnych kryminałów w złożonych okładkach utwierdziła go w przekonaniu, że cały świat to w zasadzie wielka iluzja wykreowana przez tajemnicze i wszechpotężne siły. I tym siłom dzielny magister postanowił wypowiedzieć wojnę.

– Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi – mądrzył się Woźniak. – Całe życie ufa pan sąsiadowi, a tu nagle facet wyciąga spluwę i bach!

Krótkowidz porwał leżącą na biurku ekierkę i trzymając ją niczym pistolet, wymierzył w Tomasza. Sekundę później jęknął boleśnie, łapiąc się za przegub, a ekierka jakimś cudem znalazła się w rękach referenta.

Nazywał się Zev, co, jak wyjaśnił na początku, znaczy po hebrajsku „wilk”. Na tle

opasłych polskich oficerów wyglądał jak młodzik i patrząc na niego, trudno było uwierzyć, że w izraelskiej armii był już podpułkownikiem. W jednostce, w której przed kilku laty Tomasz wypełniał swój obywatelski obowiązek, Zev był instruktorem Krav Magi – izraelskiej sztuki walki. Był doskonałym fachowcem i trenerem i po dwóch miesiącach nikt już nie zastanawiał się nad prawdziwym powodem jego pobytu w Polsce.

Rzecz jasna Izraelczyk, który trenował Krav Magę od przeszło dwudziestu lat, w ciągu niespełna pół roku mógł przekazać polskim żołnierzom tylko niewielki ułamek swojej wiedzy. Sztuka walki, która narodziła się wraz z powstaniem państwa izraelskiego, doskonalona w kolejnych wojnach żydowsko-arabskich, stanowiła kombinację dość drastycznych technik i taktyki i przygotowywała głównie do starcia z kilkoma przeciwnikami naraz.

Przechwycenie pistoletu, które Tomasz z powodzeniem wypróbował na magistrze, polegało na szybkim skoordynowaniu trzech ruchów: ugięcia lewej nogi, ugięcia w łokciu lewej ręki i energicznego uderzenia otwartą dłońią w rękę przeciwnika trzymającą broń. Wówczas – będąc odchylonym w lewo dzięki ugiętej nodze – należało prawą ręką chwycić od dołu za lufę i wykręcić ją w stronę przeciwnika. Ten ruch natychmiast wyłamywał napastnikowi uwięziony w kabłąku paluch, a przy odrobinie szczęścia następował strzał i napastnik zabijał sam siebie.

Zszokowany zezol patrzył na referenta szeroko otwartymi oczyma i masował swą nadwierzoną dłoń.

– Jak pan to...

Tomasz rzucił ekierkę na biurko i spojrzał na pannę Lidkę, która rozbawiona patrzyła na pojedynek referenta i krótkowidza.

– Stary jest? – zapytał nerwowo, ściskając pod pachą papierową teczkę.

– Witam rannego ptaszka – dziewczę uśmiechnęło się blado. – Co tak wcześnie?

Zegar ścienny w sekretariacie szefa wskazywał godzinę ósmą. Jak na urzędnika przystało, Tomasz zwykle spóźniał się do pracy kwadrans. Tego dnia stanął się jednak punktualnie i ten niezwykle fakt nie uszedł uwadze panny Lidki.

– Jest?

– Jest, Tomku, ale... – Tu panna Lidka skrzywiła się jak biskup na widok dewotek. Tomasz w lot rozszyfrował jej minę: znamionowała fatalny humor szefa.

– Niesamowity chwyt – mamrotał Woźniak, rażąc Tomasza porannym, nieświeżym oddechem. – Myśmy tu też nie próżnowali. Wpadł mi w ręce bardzo podejrzany osobnik...

– Panie Andrzeju! – uniosła się panna Lidka. – Przestałby pan opowiadać farmazony! Wszędzie pan widzi spiski! To jakaś choroba!

– Jestem pewien, że trafiłem na ślad siatki szpiegowskiej! Gdyby wczoraj pozwolono mi przycisnąć tego zatrzymanego, to na pewno przyznałby się do...

– Panie Andrzeju – Lidka machnęła ręką – wypytywał pan wczoraj tego faceta przez

cztery godziny tylko po to, by przekonać się na końcu, że to Węgier, który nie rozumie ani słowa! Niech pan już lepiej nic nie mówi.

Okularnik prychnął z pogardą.

– Próżno tłumaczyć coś ludziom krótkowzrocznym – rzekł wyniośle – spiszek może się kryć wszędzie, nawet w najbardziej niewinnym miejscu. O, proszę!

Porwał z biurka „Gazetę Wybraną” i zaczął nerwowo przerzucać stronicę.

– Na przykład... na przykład... o! Proszę – rzucił triumfalnie. – W alei Szucha, koło MSZ otwarto nowy biurowiec! Dla was to zwykła, nic nie warta informacja, nad którą przejdziecie do porządku dziennego. A ja czuję pismo nosem! Wiem, że coś się za tym kryje...

Lidka westchnęła bezsilnie, a Tomasz machnął ręką. Magister spojrzął na nich z politowaniem zza swych monstrualnych szkieł i demonstracyjnie opuścił pokój.

– Co mu jest? – Tomasz odprowadził magistra wzrokiem.

– Pewnie znów się zakochał – uśmiechnęło się dziewczę.

– W kim?

– Teraz zdaje się w Angelinie Jolie.

Tomasz uśmiechnął się kpiąco, ale zaraz spoważniał. Sam potajemnie nosił w portfelu zdjęcie Barbary Brylskiej, w które wpatrywał się od czasu do czasu, wzdychając rzewnie.

Widok markotnej twarzy pułkownika Langerera przerwał poranne fantazje referenta.

– Jest pan już – stwierdził bezbarwnie szef. – Załatwił pan, co trzeba? – I nie czekając na odpowiedź, rzucił: – Dobrze. Bo są pewne pilne sprawy, które...

– Jeśli można – Tomasz delikatnie i z wycuciem przerwał Langerowi – to chciałbym przedstawić panu dyrektorowi wyniki swej misji.

Langer spojrzął na Tomasza znudzony, lecz uczynił zapraszający gest. Młody zasiadł w ascetycznym gabinecie dyrektora i rozpoczął entuzjastyczny raport. Entuzjazm opadł jednak błyskawicznie – Langer słuchał nieuważnie, błędząc oczami w przestrzeni i nerwowo pukając palcami o blat.

Po departamencie chodziły plotki, że w tych dniach właśnie ważą się losy jego awansu na generała. Obsesja pułkownika na punkcie generalskich wężyków była powszechnie znana i temu właśnie Tomasz przypisywał nerwowość pryncypała.

– Reasumując, panie dyrektorze – mówił szybko – mam powody przypuszczać, że testament wykradziono z domu Tarasa. Bezsownie stwierdziłem również autentyczność tego majora Dębickiego.

– Taak... – Langer powrócił do rzeczywistości – spisał się pan dzielnie, ale na pana miejscu nie popadałbym w zbędną euforię. Sprawa tego... jak mu tam...

– Tarasa.

– ...tego Tarasa nie powinna tak pana zaprzętać. Mam dla pana inne zadanie...

– Pan wybaczy, panie dyrektorze, ale sprawa ma wyraźny charakter kryminalny. Mam powody przypuszczać, że testament wykradziono...

– Panie Tomku! – Langer podniósł głos. – Pracuje pan u nas niespełna tydzień i już chce się pan bawić w Sherlocka Holmesa. Gdy nabierze pan niezbędnego doświadczenia, obiecuję, że będę angażował pana w sprawy natury operacyjnej. A na razie proszę nie snuć mi tu jakichś niestworzonych historii. Nie potrzeba mi tu drugiego magistra Woźniaka! Czy pan wie, że wczoraj przesłuchiwał pół dnia jakiegoś Rumuna...

– Węgra.

– ...czy tam Węgra, zanim skapował się, że to cudzoziemiec? Śmiechu było na cały Sztab Generalny. A ja nie lubię, kiedy śmieją się z mojego departamentu. Jasne?

Tomasz spojrział na znerwicowanego szefa. Wiedział, że gdy wspomni o sprawie wartej czterdzieści miliardów dolarów działki w Teksasie, Langer wyrzuci go za drzwi. Szefa trzeba było podejść inaczej.

– Zgadza się z panem dyrektorem w całej rozciągłości. Być może zbyt się zaangażowałem w tę sprawę. Urzędnika powinien cechować pewien dystans.

– No, nareszcie – foremną twarz pułkownika ozdobił grymas uśmiechu – więc...

– Więc, za pozwoleniem pana dyrektora, chciałbym należycie zamknąć tę sprawę. Tak, aby wyrobić sobie pewien nawyk. Potrzebuję tylko paru dni...

– Sprawę proszę uważać za zamkniętą – oświadczył twardo Langer. – Nie mamy czasu ani ludzi, by zajmować się wynurzeniami piniaczy. Wczoraj musiałem oddelegować kilku ludzi i pluton żandarmerii, bo synusiowi posłanki Konopki-Niwińskiej skradziono telefon komórkowy. Marszałek Sejmu osobiście dzwonił do mnie w tej sprawie. Więc przynajmniej niech pan nie zwraca mi już głowy.

– Ale...

– Szczęśliwie dla nas – Langer wytoczył ostatni argument – sprawą zainteresowało się Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Proszę rzucić okiem na ten faks.

Tomasz przebiegł oczami dość niewyraźny faks, informujący, że:

w związku z wpływieniem pisma p. Jacentego Tarasa dyrektor Departamentu Prawno-Konsularnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych zwraca się do Dyrektora Departamentu ds. Sytuacji Nadzwyczajnych Sztabu Generalnego z prośbą o współpracę w ww. sprawie. Osobą oddelegowaną do ww. sprawy jest Pan Janusz Trębicki, główny specjalista w Wydziale Roszczeń Spadkowych, legitymujący się dowodem osobistym nr...

W lewym górnym rogu czerniło się logo ministerstwa z orłem, pod tekstem zaś widniała pieczętka dyrektora Departamentu Prawno-Konsularnego MSZ wraz z zamaszystym podpisem.

– Przekaze pan wszystkie materiały temu panu Trębickiemu i kłopot z głowy.

– Ale, jeśli można przypomnieć panu dyrektorowi, Taras nam przekazał swoje archiwum...

– ...a zatem możemy nim swobodnie dysponować – dokończył za Tomasza dyrektor. – Cieszy mnie pański zapał, ale nie ma potrzeby wytracać go na takie głupoty. A teraz do rzeczy. Mamy pilne zadanie, nie cierpiące zwłoki. W przyszły czwartek z roboczą czterodniową wizytą przyjeżdża do Polski zastępca szefa połączonych sztabów armii amerykańskiej, generał McDowell. Wraz z naszym szefem sztabu, generałem Pękalą, odwiedzą między innymi nasz departament. Musimy przygotować prezentację, obejmującą zadania DSSN, nasze cele, strukturę, podstawy prawne... jednym słowem wszystko.

– Nie jestem pewien, panie dyrektorze – bąknął Tomasz – czy mam wystarczającą wiedzę...

– Nadzór merytoryczny nad prezentacją obejmie podpułkownik Ziemek, naczelnik Wydziału Prewencji Zagrożeń. Chwilowo będzie pan pracował pod jego kierunkiem. Proszę codziennie rano informować mnie o postępie prac. Życzę powodzenia. To wszystko.

Tomasz opuścił gabinet szefa chmurny i zmarszczony. Nie rzucił nawet pannie Lidce zwyczajowego „oczka”, co ta skwitowała westchnieniem. Oto miał odstawić ciekawą i rozwojową sprawę i zabrać się za nudne i czasochłonne przygotowanie ramek i tabel, co kolokwialnie określał mianem „rzeźbienia w gównie”.

Odkąd program Microsoft Power Point na trwałe zagościł pod dachami polskich urzędów, strącając do lamusa stare pocziwe rzutniki i wyświetlane na nich folie, dorwała się do niego grupa niespełnionych artystów na urzędniczych etatach. Przez całe dni cywilni i mundurowi geniusze głowili się nad kolorem tła, formatem strzałek, grubością czcionek i innymi niezmiernie ważnymi dla obronności i bezpieczeństwa państwa kwestiami. Merytoryczna wartość przygotowywanych w ten sposób prezentacji miała drugorzędne znaczenie – najbardziej liczyła się forma. Efektowne animacje, mieniające się tęczowymi barwami tabele, cudowna różnorodność czcionek cieszyły oczy i serca biurokratów. Każdy szanujący się prelegent ilustrował swój wykład multimedialną feerią barw, tworząc skomplikowane wykresy, tabele i wektory.

Mina Tomasza uwidoczniła jego czterem starszym kolegom w pokoju 240 stan psychiczny młodego referenta. Spoczywający w koszu zmięty egzemplarz „Gazety Wybranej” świadczył, że zakończyli już poranną partyjkę denata. Referent klapnął papierami w biurko i nie odezwawszy się ani słowem, jał wpatrywać się w mglistą dziewczynę z kalendarza „Pirelli”.

– Cóż pan taki nerwowy, panie Tomeczku? – troskliwie zapytał Kujawa.

– Z Langerem nic pan dziś nie załatwi – dorzucił Halbert, pociągnąwszy z piersiówki. – Wścieka się biedaczysko i wyje po nocach do wężyków.

– Prędzej ja zostanę siostrą miłosierdzia, niż on się ich doczeka – skwitował Czernicki – on po prostu nie może być generałem.

– Dlaczego? – zapytał Tomasz.

– Bo jest jeszcze w stanie wstrzymywać moc.

Grubasy zarechotały swoim charakterystycznym śmiechem. Tomasz nadal jednak siedział naburmuszony.

– I jaki wynik rozmowy? – zapytał Halbert, gdy jego brzuszysko przestało się już trząść.

– Dyrektor kazał mi odstawić sprawę Tarasa i zabrać się za prezentację. Za tydzień ma tu być jakiś amerykański generał.

– Eeee... – skrzywił się Gałązka – znów jakiś wychuchany fajansiarz, wychowany na cienkiej whisky. Z ruskimi generałami to się dopiero konferowało, co, Kaziu?

– Oj tak – potwierdził Czernicki. – Na przyjęcie Rosjanina też musiałby pan, panie Tomku, przygotować prezentację. I to niejedną.

– Jak to? – zdziwił się Tomasz.

– Najpierw prezentację wódki, później prezentację zakąsek, potem jeszcze zaprezentować ze trzy dziarskie dziewoje.

– I dwa orzeźwiające kubły wody na rano – dorzucił rozmarzony Halbert. – A ten jankes? Pewnie uchlałby się wodą mineralną. Ech, po diabła nam było to NATO...

– Mam przygotować prezentację z jakimś panem Ziemkiem. Znają go panowie?

Grubasy wymieniły znaczące spojrzenia, a Halbert cmoknął kilka razy.

– Uuuu – wysapał – to się panu delicja trafiła...

– Wybitny umysł – Gałązka drwiąco pokiwał łbem – niemal akademicki...

– Zetrze się pan z tytanem intelektu – dodał Kujawa.

– Panowie robią sobie jaja, tak? – Tomasz nie nauczył się jeszcze, kiedy grubasy mówią serio, a kiedy grają.

– Niech pan za wiele z nim nie dyskutuje – Halbert udzielił referentowi ojcowskiej porady. – Niech pan zrobi, co trzeba, jak najszybciej i więcej nie styka się z panem Ziemkiem.

– Ale... co panowie mają na myśli?

– Przekona się pan sam. Naprawdę warto.

Tomasz westchnął i ruszył do wyjścia na spotkanie z „tytanem”. Nie zdążył jednak nacisnąć klamki, gdy zza pleców dobiegł go głos Czernickiego.

– Nie ma wody! I cóż my zrobimy, panie Tomku?

* * *

Patrząc na podpułkownika Bogumiła Ziemka, nie miało się do końca pewności, czy ma się do czynienia z bardzo głupim człowiekiem, czy też może z nadzwyczaj inteligentną małpą. Ani fizjonomia, ani sylwetka, ani nawet sposób wysławiania się nie stanowiły przekonującego dowodu, że osobnik ten należy do gatunku *homo sapiens*, a nie do jakiejś niższej podgrupy ssaków.

Miejsce, które naczelnik Ziemek zajmował w systematyce Darwina, stanowiło w trakcie

całej jego służby wojskowej przedmiot dociekań zarówno jego podwładnych, jak i przełożonych, zaś opinie na ten temat krańcowo się różniły.

Swój nieprzeciętny umysł i zamiłowanie do regulaminowego życia ujawnił już w świętej pamięci Wojskowej Akademii Politycznej, gdzie zgłębiał tajniki rewolucyjnej myśli Włodzimierza Iljicza. Idee marksizmu i leninizmu przyswajał sobie w błyskawicznym tempie, celując szczególnie w kwestii walki klasowej. Uskutecznił ją w praktyce w swojej klasie, zwalczając swych kolegów podchorążych anonimowymi donosami.

Oficerska promocja i służba w jednostce liniowej otworzyły przed nim nowe horyzonty intelektualne. Od pierwszego dnia dzielnie wziął się za tropienie antysocjalistycznych spisków zarówno wśród szeregowców, jak i wśród kolegów oficerów. Jego uwadze nie uszedł żaden chrzest oficerskiego dziecka, żaden ślub kościelny, żadne krytyczne słowo pod adresem stroju czy władz, żaden najniewinniejszy nawet polityczny dowcip. Sążniste raporty – dokładne, konkretne, jednoznaczne – płynęły do najwyższych przełożonych, łamiąc kariery i rujnując życie nieprawomyślnych.

W ciągu dwóch lat działalności na stanowisku oficera wychowawczego Bogumił Ziemek doprowadził swój warsztat inwigilacji do perfekcji, a wymiernym wskaźnikiem jego pracy był fakt, że jednostka mogła poszczycić się najwyższym w całej armii współczynnikiem samobójstw wśród żołnierzy zawodowych. W odpowiednich gremiach umiano docenić oddanie i poświęcenie towarzysza Ziemka. Ordery, awanse, wczasy w Bułgarii i trzypokojowe „M” – wydawało się, że błyskotliwa kariera toczyć się będzie bez przeszkód. Jednakże wkrótce zawisła nad nią czarna chmura – rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewięć.

Rok ów był ciężkim rokiem dla oficerów politycznych. Idee marksizmu i leninizmu ustąpić musiały wolnemu rynkowi, a żołnierze z radosnego kolektywu przekształcić się mieli w wyszkolonych indywidualistów.

Ziemek przetrwał trudny okres dzięki nagłemu objawieniu, którego w owym czasie doświadczyło wielu politruków. W błyskawicznym tempie ukorzył się przed uosabiającym nowe czasy kapelanem, ochrzcił dzieci i zapędził swą małżonkę przed ołtarz, by zmyć hańbę ślubu cywilnego. Odtąd, zawierzywszy się opiece Matki Boskiej Częstochowskiej – Hetmanki Żołnierza Polskiego – z gromnicą w jednej ręce i różańcem w drugiej tępił bolszewicką zarazę, sporządzając listy byłych członków PZPR i bacznie notując absencje na mszach w kościele garnizonowym.

Jego niezłomna postawa przysparzała mu oczywiście wielu wrogów, którzy tylko czyhali na to, żeby powięła mu się noga. Okazja nadarzyła się latem 1993 roku, gdy ówczesny kapitan Ziemek, jako pomocnik oficera dyżurnego, rozkazał żołnierzom spalić kupę drewna zalegającą nieregularnie przed magazynem. Czterech prokuratorów wojskowych dochodziło później, co też się mogło stać z zabytkową hebanową posadzką z dworu Augusta III, która została przekazana w depozyt jednostce na czas remontu wciągniętego w rejestr

UNESCO zabytku. Śledztwo nieuchronnie zbliżało się do Ziemka, lecz w ostatniej chwili na wyraźne polecenie Jego Eminencji biskupa polowego sprawie ukrecono łeb. Winnych nie odnaleziono, sprawa została umorzona, a posadzka uleciała w niebyt śladem swego XVIII-wiecznego fundatora.

Przekonanie o własnej nieomyślności i poczucie dziejowej misji Ziemka stale wystawiało na próbę nerwy jego przełożonych. Miarka się przebrała, gdy zaproponował, żeby wprowadzić do regulaminu paragraf zabraniający noszenia leworęcznym żołnierzom zegarków na prawej ręce. Jego zdaniem ewidentnie zaburzało to symetrię plutonu. Obszerny dwunastostronicowy dezyderat, który poświęcił tej kwestii i który wysłał do dowództwa dywizji, ostatecznie przekonał przełożonych, że ówczesny major Ziemek jest kompletnym idiotą i stanowi niebezpieczeństwo zarówno dla swych przełożonych, jak i dla wszystkich podległych mu żołnierzy. Opiekuńcza ręka Ordynariatu Polowego nie opuściła go jednak i zdolny oficer przeniesiony został ze służby liniowej do struktur sztabowych.

Kariera w Sztapie Generalnym otworzyła przed Ziemkiem szereg interesujących możliwości. Ściśle określony i rozbudowany obieg pism i kwitów, różnokolorowe pieczętki, dekretacje, rejestry i podpisy sprawiły, że odnalazł wreszcie cel w życiu. Z czasem pokochał biurokrację, odnajdując w niej ukojenie dla swych steranych długoletnią i niewdzięczną służbą nerwów.

W Departamencie ds. Sytuacji Nadzwyczajnych naczelnik Ziemek szczególnie celował w tabelach. Jego analityczny umysł zaobserwował, że wszelkie ziemskie zjawiska nabierają zupełnie nowego znaczenia, jeśli wpisać je między pionowe i poziome linie. Z czasem wypracował swój własny niepowtarzalny styl i stał się samozwańczym geniuszem tabelaryzacji – nieznaną jeszcze nauki, której był niekwestionowanym pionierem i której teoretyczne i praktyczne podstawy tworzył w ciszy swego gabinetu.

Tego dnia podpułkownik Ziemek zajęty był właśnie tabelaryzowaniem kwiatów doniczkowych w swym gabinecie. Z radością zauważył, że pozornie nijakie paprotki i tuje charakteryzują się mnóstwem cech i wyróżników, które doskonale można ująć w kraty wzorowych tabel. Kolumny określające gatunek i rozmiar kwiatu oraz objętość donicy krzyżowały się z wierszami zawierającymi szacunkowy procent zeschniętych liści i intensywność nasycenia barwy zielonej. W osobnym wierszu pułkownik scharakteryzował wnikliwie ilość zużywanej przez rośliny wody w rozbiciu na skalę litrów i galonów.

– Słucham? – rzucił krótko, podnosząc niezadowolony wzrok znad tabeli.

– Pan dyrektor Langer skierował mnie do pana.

– Ach tak, to pan jest tym młodym pracownikiem. Ziemek jestem, nadzwyczaj mi miło pana poznać.

Tomasz uściśnął lekko wielgachną łapę, zachowując maksymalny dystans. Zmierzył wzrokiem długą i niezgrabną sylwetkę podpułkownika, upodabniającą go do orangutana, zwieńczoną przez farbowaną na czarno czuprynę. Czarne wąsy, zapewne również pociągnięte

farbą, smętnie zwieszały się nad wypukłymi ustami.

Naczelnik wpatrywał się podkrążonymi oczyma w Tomasza, ozdobiwszy ziemistą facjatę lubieżnym uśmiechem. Jego preferencje seksualne stanowiły przedmiot dość niewybrednych ploteczek w departamencie, a jego słabość do damskich ciuszków była tajemnicą poliszynela. Podpułkownik Ziemek szczególnie ponoć gustował w satynie i pończoszkach, nie stroniąc wszakże od koronkowych ekstrawagancji. Najlepiej scharakteryzował jego obyczaje Kujawa, radząc Tomaszowi, by w czasie rozmowy z naczelnikiem stał plecami do ściany.

– A więc – zaczął podpułkownik, odgarniając z czoła kosmyk nieudolnie farbowanej siwizny – mamy bardzo ważne zadanie, panie Tomaszu. Czy też panie Tomku – dodał miękko. – Zależy od niego, nie bójmy się tego powiedzieć, los całego departamentu! Aby dobrze wykonać powierzone nam zadanie, muszę pana zapoznać z dokumentacją...

Goryl otworzył szafę, w której piętrzyły się nieprzebrane stosy różnokolorowych segregatorów. Każdy z nich oznaczony był starannie wydrukowaną naklejką.

– Sądzi pan zapewne, panie Tomku, że kolory segregatorów są przypadkowe? Ha, nic z tych rzeczy – krzyknął triumfalnie małpolud – to przemyślny system mojego autorstwa. Spójrzmy na przykład na to. – Wyszarpnął z szafy czerwony segregator. – Oto dane tabelaryczne, w których ująłem roczne zużycie materiałów biurowych w departamencie. Wynika z niego niezbitcie, że w stosunku do ubiegłego roku zapotrzebowanie na matowe koszulki i spinacze biurowe wzrosło o ponad piętnaście procent w stosunku do roku poprzedniego! Zielone segregatory natomiast zawierają rejestry pism wychodzących. Jak pan zapewne zauważył, każde z nich nosi w lewym górnym rogu numer referencyjny, składający się z trzyliterowego kodu, cyfry rzymskiej i arabskiej. Ten kod, który osobiście opracowałem, jest kompatybilny z rejestrem pism przychodzących, które z kolei oznaczone są kodem dwuliterowym bez cyfr rzymskich i umieszczone w segregatorach niebieskich. Jeśli zaś chodzi o harmonogram prac mojego wydziału, to jego graficzne wyobrażenie znajduje się na tej oto tablicy.

Dopiero teraz Tomasz dostrzegł tablicę magnetyczną, na której widniał starannie wyrysowany kolorowymi pisakami kalendarz z pieczołowicie naniesionymi wydarzeniami. Biorąc pod uwagę nasycenie kolorystyczne, bogactwo detali i misterną kompozycję, podpułkownik poświęcił tablicy co najmniej dwa tygodnie wyteżonej pracy.

– Naturalnie wersja dokumentacyjna tej tablicy jest dostępna na papierze. Znajdzie ją pan w pomarańczowym segregatorze. A tu mam dla pana komplet podręcznych tabel, również mojego autorstwa. Oto ciekawa tabela obrazująca ilość sprzętu pożarniczego w rozbiciu na metry kwadratowe. Ta druga natomiast obrazuje schematyczne zużycie wykładzin podłogowych.

– Niebywałe – mruknął Tomasz, patrząc z niedowierzaniem, czym w Wojsku Polskim zajmują się pułkownicy.

– No cóż – mówił Ziemek – widzę, że spodobał się panu mój system pracy. Odrobina systematyki jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. Niestety z przykrością muszę stwierdzić, że większość pracowników departamentu jest zbyt ograniczona, by zrozumieć sens tabelaryzacji, która w oczywisty sposób ułatwiłaby im pracę!

– O tak.

– No, ale przejdźmy, jak to się mówi, do merytom. Przygotowałem już wstępny projekt prezentacji. Niestety pan dyrektor po jego przejrzeniu polecił mi usunąć wszystkie tabele, nad którymi pracowałem przez cztery dni. A przecież tabele znacznie ułatwiłyby zobrazowanie, czym zajmuje się nasz departament. Niektórzy, panie Tomku, nigdy nie pojmą pewnych prawd oczywistych. Bóg mi świadkiem – ciągnął były politruk – walczę i walczę, ale nie mogę złamać tego zatwardziałego myślenia.

– Powinien pan o tym napisać książkę – rzekł Tomasz, ironicznie patrząc na farbowanego pawiana – i zatytułować ją... na przykład „Moja walka”.

– „Moja walka”... – powtórzył z uznaniem Ziemek. – Dobre...

– Zaraz... – ciągnął Tomasz. – Jak by to było po niemiecku?

Goryl spojrział na Tomasza zdziwionym wzrokiem.

– A dlaczego po niemiecku?

* * *

Kilka następnych dni, rozdzielonych ożywym weekendem, upłynęło Tomaszowi na roztrząsaniu w towarzystwie podpułkownika Ziemka wielorakich aspektów prezentacji multimedialnej. Prócz koloru tła, któremu to zagadnieniu poświęcili osiem godzin, niezwykle istotną sprawą okazała się grubość ramek. Osobną kwestią pozostawała liczba wstawek animowanych, szczególnie wielbionych przez farbowanego szaleńca.

Samopoczucie Tomasza pogarszało się z dnia na dzień i nawet urocza twarzączka Nokii, z którą spotykał się co wieczór, zaniebując pozostałe miłostki, nie stanowiła wystarczającego antidotum na wąsaty pysk. Grubasy z pokoju 240 ze szczerą troską przypatrywały się Tomaszowi, który wiądl w oczach. Halbert zastanawiał się nawet, czy nie warto by dosypać Ziemkowi do herbaty pewnego specyfiku, który został mu jeszcze z czasów poprzedniej służby, a który na tydzień potrafił zmienić zdrowego chłopca w zaślinione, przewracające oczami warzywo. Pomysł jednak upadł, bo młody referent ostatniego dnia jakby poweselał.

– Teraz przejdziemy do następnego slajdu – oznajmił Ziemek, gładząc łapą farbowaną czuprynę. – Musimy pamiętać, by był on kompatybilny z pozostałymi slajdami, jak również z dokumentacją wydziału.

– Proszę mi wybaczyć – przerwał Tomasz, wstając – ale z polecenia pana dyrektora jestem dziś umówiony z urzędnikiem z MSZ. Mam mu przekazać pewne dokumenty.

– Jakie dokumenty? – Ziemek z przestrachem spojrział na Tomasza, zagradzając mu swą mamucią sylwetką dostęp do drogocennej szafy wypełnionej kompatybilnymi papierami. – Ja niczego nie oddam do żadnego MSZ!

– Nie chodzi o pańskie kwity! – skrzywił się Tomasz. – Chodzi o akta pewnej sprawy, którą prowadziłem przed przyjściem do pana.

– Ach tak – z ulgą westchnął Ziemek, czule gładząc kant swej drogocennej szafy. – Tak to co innego. Tylko proszę się pospieszyć! Nie pozostał nam już długi interwał czasowy.

– Interwał czasowy – mruknął Tomasz, również westchnąwszy – mój Boże...

– I niech pan ostrożnie zamyka drzwi – krzyknął małpolud za wychodzącym – nie są do końca kompatybilne z framugą!

Tomasz zapuścił się w długi korytarz departamentu, zastanawiając się, czy lewa półkula mózgu pana pułkownika jest aby w pełni kompatybilna z prawą. Rozmyślenia przerwała mu panna Lidka, wychylając swą śliczną główkę z sekretariatu dyrektora.

– Tomku, jakiś pan z MSZ czeka na ciebie w twoim pokoju.

Uśmiechnął się do dziewczyny. Jej słodka twarzyczka była miłą odmianą po wielogodzinnym wpatrywaniu się w małą facjatę Ziemka. Musnął ją delikatnie ręką po policzku i skierował się do swego pokoju.

Grubi towarzysze pogrążeni byli właśnie w ostrej dyspucie na temat tego, czy w osiemdziesiątym pierwszym roku należało strzelać, czy też nie należało. Tomasz od razu zwrócił uwagę na przybysza, który na jego widok podniósł się z krzesła. Widok był zaiste godny pozazdroszczenia.

Gość z Ministerstwa Spraw Zagranicznych był wysokim, przystojnym blondynem w wieku około trzydziestu pięciu lat. Barczysta sylwetka, wzrost powyżej 180 cm i elegancka, ewidentnie szyta na miarę sportowa marynarka sprawiały, że wyglądał raczej na modela niż urzędnika państwowego. Intensywny zapach szarego Hugo Bossa zdawał się jedynie to potwierdzać.

– Trębicki – przedstawił się miękkiem, głębokim głosem. – Mam nadzieję, że uprzedzono pana o mojej wizycie?

– Tak, oczywiście – zapewnił Tomasz, prosząc gestem gościa, by na powrót spoczął na zdecydowanie niegodnym go obrotowym fotelu z ułamanym kółkiem. – Otrzymaliśmy faks w tej sprawie.

– Pan Jacenty Taras zwracał się również do nas o pomoc w kwestiach prawnych – mówił elegant. – Doszliśmy do wniosku, że warto byłoby uporządkować tę kwestię i pomóc mu w jego kłopotach.

– Obawiam się, że to zadanie nie do wykonania – oświadczył Tomasz.

– Cóż, przynajmniej, że sprawa jest niezwykle skomplikowana, ale sądzę, że z pomocą samego zainteresowanego damy sobie radę.

– Niestety, Jacenty Taras nie żyje.

Na twarzy blondyna odmalowało się zdumienie. Przez chwilę milczał.

– Nie żyje? Jak to?

– Zmarł trzy tygodnie temu – wyjaśnił sucho Tomasz. – Zawał.

– Ach tak. – Lolo ze smutkiem pokiwał głową. – A to pech. Mój dyrektor będzie zawiedziony. Wiązał z tą sprawą duże nadzieje. No, ale tak czy owak dokumenty zabiorę, jeśli pan oczywiście pozwoli.

– Oczywiście. – Tomasz z lekką rezygnacją położył na biurku efekt swych bielskich poszukiwań. – Oto pełna dokumentacja z domu Tarasa.

Przybysz chwycił łąpczywie teczkę i schował w swym eleganckim neseserze od „Wittchena”. Tomasz zazdrośnie stwierdził w myślach, że resortowi spraw zagranicznych i jego urzędnikom świetnie się powodzi. Spojrzał na przystojną twarz gościa i nagle doznał uczucia, że gdzieś go już widział.

– Dziękuję panu serdecznie za pomoc – powiedział Trębicki, ściskając referentowi rękę. – Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

– Ja również mam nadzieję – zapewnił Tomasz, nadal wpatrując się uważnie w twarz dyplomaty. – Mam nawet wrażenie, że gdzieś już pana spotkałem.

– Naprawdę? – Trębicki uśmiechnął się przyjaźnie. – Cóż, bywam czasami w sztabie, niewykluczone więc, że widzieliśmy się kiedyś.

– Tak – mruknął Tomasz – niewykluczone...

– Do widzenia.

Trębicki skłonił się lekko i opuścił pokój szybkim krokiem. Czterech grubasów odprowadziło go drwiącymi spojrzeniami.

– Chłopak jak z żurnala – mruknął ironicznie Halbert.

– Śmierdzi, jakby obrobił perfumierię. – Czernicki z niesmakiem wachlował się gazetą. – I czego ten goguś chciał od pana, panie Tomku?

– Langer polecił przekazać mu sprawę Tarasa.

– No proszę – Czernicki z niedowierzaniem pokiwał głową – nasz stary nauczył się wreszcie pozbywać kłopotów. Kto by pomyślał?

– Szesnasta, panowie – tubalnym głosem oznajmił Halbert. – Kończmy na dziś.

Tomasz z ulgą zebrał pozostałe papiery na kupę i wyszedł za grubasami. Zdał klucz do pokoju na biurze przepustek i wyszedł z budynku sztabu. Chłodna i pochmurna pogoda, utrzymująca się od dłuższego czasu, zwiastowała zimne i deszczowe lato. Mimo zimna Tomasz z ulgą wdychał świeże wiosenne powietrze, usuwając z płuc wszelkie ślady zatęchłej sztabowej atmosfery.

Postanowił się przejść, a przy okazji zjeść coś konkretnego. Z Rakowieckiej skręcił w Waryńskiego. Zajął do znajdującego się tuż przy stacji metra „Sajgonu”, ale gdy zorientował się, że nie ma w nim stanowiącej największą atrakcję tego przybytku barmanki Marioli, zrezygnował z sajgonek i golonki z grilla po tontruńsku. Skierował się w stronę

okazałego gmachu Wydziału Architektury, w którego podziemiach mieściła się słynąca z niezłego jedzenia restauracja „Apetyt Architektów”.

Mimo pustek w portfelu spotkanie z dyplomatą skłoniło go, by zafundować sobie odrobinę luksusu. Po kilkunastu minutach na stół wjechała polecona przez uroczą kelnerkę luzowana kaczka z wiśniami i pomarańczą. Podana ze skarmelizowanym sosem i dodawaną tu gratis lampką czerwonego wina, znacznie poprawiła samoocenę Tomasza, nadwątloną nieco spotkaniem z wielkim światem służby zagranicznej.

Błogie uczucie sytości rozeszło się po urzędniczym ciele. Tomasz dyskretnie poluzował pasek spodni i rozparł się wygodnie na krześle, podziwiając stylizowane na gotyckie sklepienie. Zamówił piwo. A po kwadransie jeszcze jedno.

Było już grubo po godzinie ósmej, gdy wytoczył się z knajpy i powlókł do domu.

Otworzył ciężkie drzwi wejściowe do kamienicy i jął pięć się na trzecie piętro pogrążoną w półmroku klatką schodową. Stara jęzda, od której wynajmował kawalerkę, płacąc niemal połowę swej urzędniczej pensji, wyjechała do wód – inaczej z pewnością wylazłaby ze swego buduaru na pierwszym piętrze, skrzeczając coś o zbliżającym się końcu miesiąca. Tomasz i tak płacił mniej niż reszta podnajemców – wolne chwile poświęcał bowiem na redagowanie pism babsztyla kierowanych do wszelkich możliwych urzędów, biur i referatów. Przelewanie na papier myśli starej piniaczki obniżało co prawda komorne o dwadzieścia procent, ale pozostałe osiemdziesiąt ściągała zeń bezlitośnie, naliczając karne odsetki za każdy dzień spóźnienia. Tomasz kilkakrotnie zastanawiał się, czy nie powtórzyć śmiałego czynu Raskolnikowa i nie uwolnić świata od staruchy, ale powstrzymywała go od tego wrodzona przyzwoitość. A może po prostu brak siekiery?

Z trudem wygrzebał z kieszeni pęk kluczy i dzwoniąc nimi, wybrał właściwy. Miał właśnie nacisnąć damkę, gdy nagle świat zawirował wokół niego i ogarnęła go błoga ciemność.

* * *

Nie wiedział, ile czasu upłynęło. Zastanawiał się, czemu sufit raz przybliżył się do niego, a raz oddalał niczym ruchoma platforma.

Dźwignął się i oparł na łokciu. Świadomość, stłuczona niczym lustro, składała się boleśnie w jego głowie w jedną całość. Rozejrzył się wokół – leżał w pomieszczeniu, które przypominało nieco jego mieszkanie. Po chwili upewnił się co do dwóch rzeczy: po pierwsze był to ewidentnie jego pokój; po drugie był całkowicie splądrowany.

Rozdział 6

Generał John Trevor McDowell był typowym, uśmiechniętym, zadowolonym z siebie, kochającym żonę i dzieci, gotowym oddać życie za gwiazdzisty sztandar amerykańskim generałem. Jego czerstwa, postawna sylwetka zachwyciła wszystkich pracowników DSSN, a oczy – błękitne, obleczone delikatną siateczką zmarszczek – wywarły szczególne wrażenie na nielicznych tu niewiastach. Orli nos z niewielkim garbkiem, kanciaste anglosaskie rysy, najprawdziwsza blizna nad lewą brwią i przyprószone siwizną język znamionowały osobowość wybitną, zdolną do najwyższych poświęceń.

Stojący obok niego generał Dariusz Pękala, szef Sztabu Generalnego, wydawał się być całkowitym zaprzeczeniem swego jankeskiego kolegi. Choć jego sylwetka wyłamywała się ze stereotypowego wizerunku polskiego generała, którym wciąż był kurdupłowaty grubas, generalskie oczy – niepewne, złowrogie, rzucające wokół groźne błyski – niczym nie przypominały oczu Amerykanina. Kontrast dwóch par oczu – tych stalowych, pewnych siebie, zapatrzonych w świetlaną przyszłość, i tych podłych, nikczemnych, rzucających gromy i tropiących spiski – wywarł na Tomaszu ogromne wrażenie.

Pułkownik Langer uścisnął dłoń amerykańskiego gościa uprzejmie, lecz bez przesady, przedstawiony przez Pękalę jako „men do speszjal afers”. McDowell i jego świta, złożona z dwóch cywilów i trzech mundurowych, roześmiała się serdecznie, udając, że bierze pokraczną angielszczyznę polskiego generała za dobry żart. Generał McDowell nie wiedział jednak, że lingwistyczne popisy polskich oficerów będą miały ciąg dalszy. Oto bowiem w drzwiach sali konferencyjnej stał wyprężony geniusz tabelaryzacji, podpułkownik dyplomowany Bogumił Ziemek.

Dostojni goście weszli do sali i zasiedli na ciasno zestawionych krzesłach. Podpułkownik Ziemek zapragnął zameldować się regulaminowo obu generałom angielską formułką, którą zakuwał przez całą noc – ruszył więc defiladowym krokiem w ich kierunku. Szlachetny zamiar spełził jednak na niczym, bo wykładzina wytłumiła defiladowy marsz, a sam Ziemek potknął się o zwój kabli i wypieprzył jak długi przed wojskowymi notablami. Generał McDowell osobiście podniósł niezgrabnie gramolącego się goryla, za to Pękala spojrział na niego takim wzrokiem, że krtań podpułkownika dyplomowanego w jednej chwili wyschła na popiół.

– Panie generale McDowell, panie generale Pękala, panowie oficerowie – zaczął dość standardowo Langer, gdy cywilno-mundurowe towarzystwo rozsiało się wygodnie – jest mi niezmiernie miło powitać tak szacownych gości w progach naszego departamentu. Z uwagi na napięty harmonogram naszego gościa panowie pozwolą, że przejdziemy od razu do rzeczy. Pan pułkownik Ziemek przedstawi panu generałowi i wszystkim państwu prezentację na temat zadań naszego departamentu. Proszę, panie pułkowniku.

Orangutan z obwisłym wąsem wystąpił nieśmiało do przodu. Susza nie ustępowała mu z krtani, a zwierzęcy wzrok, którym mierzył go generał Pękala, w niczym nie ułatwiał mu zadania.

– P... p... panowie pozwolą, że się przedstawię – jestem lutenant kolonel Ziemek Bogumił, znaczy się ten... oberst...

Towarzyszący McDowellowi tłumacz, który dotąd przekładał słowa Langer na angielski, tym razem zmieszał się, nie wiedząc, jak ma tłumaczyć to swoiste esperanto.

– Naczelnik wydziału, znaczy się czif of sekszyn tego, no, krajzys, eee... – farbowany prelegent nadal znęcał się nad językiem Szekspira – no... protekszyn. Panie Tomaszu, proszę pierwszy slajd!

Tomasz, siedzący w rogu sali przy laptopie, otrzymał odpowiedzialną funkcję „klikacza”, polegającą na tym, by w odpowiedniej chwili nacisnąć „enter”, zmieniając slajd prezentacji.

– Jak widać on de top – produkował się Ziemek – our department jest wery komplikejtjed.

Tomasz ukrył twarz w dłoniach. Poziom znajomości języków obcych u wyższej kadry oficerskiej Wojska Polskiego, mimo piątego roku obecności w NATO, był żenujący. Choć większość trepów szczyła się certyfikatami ukończenia wojskowych kursów językowych, nie umiała w obcym języku sklecić poprawnie najprostszego zdania. O samych kursach i o litrach wypitej tam gorzały krążyły legendy, a o wartości owych certyfikatów najlepiej świadczył fakt, że poza armią nigdzie nie były honorowane.

Delikatny szum klimatyzacji i mrok, który spowijał salę konferencyjną, osłabiał stopniowo uwagę słuchaczy. Sama prezentacja, nadziana przez Ziemka różnorodnymi schematami, skomplikowanymi wykresami i całą paletą kolorów, była nie do zapamiętania.

– Do brzegu, panie pułkowniku, do brzegu – poprosił cicho Langer, trącony łokciem przez znużonego Pękale.

– Tak jest, oczywiście – ciągnął Ziemek – może teraz omówię...

– Panie pułkowniku, proszę o króciutkie *resume*.

– Rezime? – bąknął skonsternowany Ziemek, szeleszcząc nerwowo notatkami. – Chyba nie mam przy sobie. Panie Tomku! Czy mamy rezime?

– Wnioski, pułkowniku, wnioski – westchnął Langer, a Pękala z niesmakiem pokręcił łysą czaszką.

– Ach tak, wnioski... panie Tomaszu, następny slajd. Jak panowie widzą, mamy jako departament trzy główne cele operacyjne – tokował Ziemek, zachwycony, że choć z

wyraźnym znudzeniem, wszyscy wpatrują się w niego – prewencja, profilaktyka oraz, list but not lust, prognostyka!

– Mówiąc o profilaktyce – zapytał jeden z oficerów – co pan *de facto* ma na myśli?

– Defektu nie ma żadnego. Zapewniam. Jest wyłącznie kompatybilne współdziałanie.

W przeciwieństwie do publiczności, na którą tragiczna angielszczyzna Ziemka działała niczym doskonały środek nasenny, Tomasz ze slajdu na slajd coraz bardziej nerwowo wiercił się na krześle. Wiedział, że za chwilę nastąpi coś, co może bezpośrednio zaważyć na jego karierze. Maksymalnie skupiony wpatrywał się w amerykańskiego generała, bacząc, by jednocześnie przełączać slajdy w odpowiednim momencie. Ziemek, podkreślając konieczność płynności prezentacji, udzielił Tomaszowi stosownego instruktażu, zaznaczając wyraźnie, że interwał czasowy między jednym slajdem a drugim nie może przekroczyć trzydziestu sekund.

Tomasz stęzał, a na jego czoło wystąpiły krople potu. Jeszcze trzy slajdy... widzowie kiwali głowami, walcząc ze snem, jeszcze dwa... amerykański generał ziewnął dyskretnie... jeszcze jeden... już!

Langer zmarszczył brwi i wyprostował się gwałtownie. Pękła wytrzeszczył gały, a Ziemek zbladł śmiertelnie. Sala ocknęła się z marazmu i zdumiona wpatrywała się w rozświetloną ścianę. Na twarzy generała McDowella odmalowało się zdziwienie, które momentalnie ustąpiło serdecznemu uśmiechowi. Z jego krtani wyrwało się radosne i krótkie jak strzał z bicza:

– John Wayne!

Ziemek bełkotał coś pod nosem, patrząc przekrwionymi oczyma to na Tomasza, to na Pękalę, to na rozradowanego amerykańskiego gościa. Zamiast kolejnej tabeli, ze ściany spoglądał na międzynarodowe towarzystwo John Wayne, odziany w czapkę z szopa, wsparty na muszkiecie, z murami fortu Alamo w tle.

– Pan dżeneral chśalby fiećeć, dlaszeho Wayne jes f sainteresofaniu fasz department – odezwał się zaskoczony tłumacz, przerywając milczenie. – Szy moszna fięsej ścegół?

Wąsaty goryl dygotał cały jak w ataku febry, nie rozumiejąc, skąd w jego kompatybilnej prezentacji wziął się slajd z gwiazdorem westernów. Sytuację ocalił Langer, który wyskoczył przed szereg, odsuwając wąsatego na bok.

– Nasz departament zetknął się ostatnio z niezwykle interesującą sprawą, dotyczącą stosunków polsko-amerykańskich. Ta część prezentacji ma wprowadzić nas w odpowiedni nastrój – tłumaczył Langer, całkiem udanie maskując zaskoczenie. – Nasz młody pracownik zreferuje ją w kilku słowach. Panie Tomaszu, bardzo proszę.

Tomasz wyszedł na środek i skłonił się lekko, nagrodzony w zamian słodkim amerykańskim uśmiechem. Oglupiały Ziemek, pchnięty przez Langer, zasiadł załamany i roztrzęsiony za laptopem, sprowadzony do roli „klikacza”.

Płynna angielszczyzna Tomasza, kontrastująca z kabaretowym stylem wąsacza, zachwyciła delegację amerykańską w równym stopniu, co sprawnie opowiedziana

fascynująca historia Polaka, który oddał życie za sprawę wolności Teksasu. Wojna teksańska, z jej obroną Alamo, masakrą w Goliad i zwycięską bitwą pod San Jacinto, zajmowała poczesne miejsce w sercu każdego amerykańskiego patrioty. Generał McDowell, rodowity Teksaszczyk – co Tomasz sprawdził wcześniej w zamieszczonej w Internecie biografii – zawsze uważał się za duchowego spadkobiercę bohaterów. Teraz chłonał słowa młodziana, kręcąc z niedowierzaniem głową i mruczając pod nosem: „*Amazing*”.

– Spodziewamy się pewnych problemów z pozyskaniem dodatkowych dokumentów od strony amerykańskiej. Wstawiennictwo pana generała byłoby dla nas niezwykle cenne i uwiarygodniłoby nasze działania. Dziękuję za uwagę.

Tomasz usunął się na bok, lecz generał McDowell nie pozwolił mu odejść, ściskając jego rękę i klepiąc po plecach. Reszta kompatybilnej prezentacji nikogo już nie obchodziła, podobnie jak jej załamany autor. Zachwycony gość przez ponad pół godziny wypytywał Tomasza o szczegóły historii, zapisując sobie w notesie słowo: „DEBITSKY”.

* * *

– Postąpił pan bardzo nierozważnie!

– To był jedyny sposób, by ta sprawa nie trafiła do lamusa.

– Naraził pan cały departament!

– Pan Ziemek naraził go wystarczająco!

Langer umilkł, rażony przez Tomasza celnym argumentem. Uspokoił się po chwili, usiadł w fotelu i ku zdumieniu Tomasza, filuternie do niego mrugnął.

– Biedny Ziemek... mało nie dostał zawału.

Pułkownik roześmiał się serdecznie i tak głośno, że podsłuchująca pod drzwiami panna Lidka odskoczyła zaskoczona. Niemniej zaskoczony był Tomasz na widok szefa, klepiącego się z uciechy w udo.

– John Wayne... – mówił ubawiony Langer – a niech pana kule biją. Sprytnie to pan obmyślił.

– Czy mogę zadać panu dyrektorowi pytanie? – Tomasz nachylił się poufale do Langer.

– Słucham.

– Dlaczego, mimo oczywistych przyczyn, pan Ziemek jest tak wyróżniany? Przecież z tą jego angielszczyzną nie powinien mówić nawet: „Halo” do słuchawki.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Langer. Pułkownik wstał i z założonymi do tyłu rękoma stanął przy oknie.

– Widzi pan... w strukturze hierarchicznej... takiej jak wojsko, czasem trzeba uwzględnić pewne... jak by to rzec, pozamerytoryczne walory...

– Jednym słowem, ma znajomości.

Langer odwrócił się i spojrział uważnie na Tomasza. Młody człowiek zdawał się rozumieć

już u progu swojej kariery to, czego Langer nie mógł do końca pojąć w ciągu dwudziestu pięciu lat służby.

– Tak – przyznał w końcu, uznając, że powiedzenie „A” wymaga powiedzenia „B”.

– Czy można wiedzieć, kto za nim stoi? Langer mocował się ze sobą przez chwilę, nerwowo pukając ołówkiem w parapet.

– Generał Śliwiński – rzucił krótko.

Jak mawiano w wojsku polskim, w historii ludzkości były trzy zbrodnicze organizacje: hiszpańska inkwizycja, NSDAP i Departament Kadr i Zasobów Ludzkich Sztabu Generalnego. Historia rozprawiła się z dwiema pierwszymi, ale trzecia trwała niewzruszona, niepodatna na zmiany i próby reform. Na jej czele od niepamiętnych czasów stała szara eminencja polskiej armii, wszechmocny, gromowładny pan ludzkich losów – generał dywizji Jakub Śliwiński.

Znał wszystko i wszystkich, wszyscy też z nim się liczyli. Uczył się wyłącznie na cudzych błędach, instynktownie wyczuwając, skąd wiatr wieje. Był energiczny i co najistotniejsze – niezwykle pamiętliwy. Był panem losu każdego żołnierza zawodowego od stopnia kaprała do generała broni włącznie. Jedna jego decyzja, jeden podpis mógł utorować porucznikowi świetlaną drogę kariery, mógł też strącić go w nicość kresowego garnizonu, gdzie jedyną rozrywką była wódka i tanie kurewki. Dla pupilów i dupowłazów miał intratne i wysoko płatne stanowiska w kwaterze NATO, zagraniczne studia i staże; dla wrogów zapomniane jednostki na wschodniej granicy, z przeciekającym przez dach deszczem i przeciekającym przez palce życiem. Mógł wszystko.

W czasie swej dantejskiej podróży po sztabie Tomasz miał wątpliwą przyjemność zetknąć się z tym kadrowym Zeusem. Wiedział dobrze, że jego niepozorna osoba wzbudzała u wojskowych wszelkich szczebli paniczny strach.

– Jak pan widzi, pana Ziemka strzeże nie byle jaki cerber. A to, że przypadkiem Ziemek jest jego zięciem, również nie przeszkadza naszemu naczelnikowi w karierze. Milczeli chwilę.

– No, ale wracajmy do sprawy – podjął Langer. – Mam nadzieję, że pan wie, co robi. Ten amerykański wojownik mało mi tu filcowego jaja nie zniósł z zachwyty. Obiecał pomoc i prosił, by informować go o postępach w dochodzeniu. Jeśli zawalimy tę sprawę, będzie to dla nas międzynarodowa kompromitacja.

– To wielka sprawa, panie dyrektorze. – Tomasz poderwał się z siedzenia i dobył z teczki plik papierów. – Proszę spojrzeć: kopia ustawy kongresu ówczesnej Republiki Teksasu z 21 grudnia 1837 roku. Na jej podstawie spadkobiercom Dębickiego przyznano dokładnie 4938 akrów ziemi w widłach rzek Red River i Wichita. A to drzewo genealogiczne rodziny majora: Jacenty Taras jest, jak pan widzi, potomkiem Teodozji, jednej z czterech sióstr Dębickiego. W zamian za pomoc prawną i dyplomatyczną Taras, ostatni spadkobierca Dębickiego, zobowiązał się przekazać na rzecz skarbu państwa dziewięćdziesiąt pięć procent należnej mu

z tytułu spadku sumy. Panie dyrektorze – Tomasz mimowolnie ściszył głos – działka Dębickiego leży na terenach, które obecnie zajmują rafinerie i zakłady Texas Oil Endeavour, największej spółki naftowej w Stanach! Wartość tych ziem to około czterdzieści miliardów dolarów! To prawie cały roczny budżet naszego kraju!

– Taak... – Langer po raz pierwszy uważniej przyjrzał się kwitom. – Ale... przecież papiery przekazał pan urzędnikowi z MSZ.

– Zrobiłem ksero – uśmiechnął się Tomasz. – Jak pan dyrektor widzi, mamy wszelkie podstawy do tego, by rozpocząć śledztwo.

– Zaraz, zaraz – dyrektor jeszcze raz przewertował papiery. – O ile sobie przypominam, w ostatnim liście do nas Taras wspominał, że ma testament Dębickiego. Tymczasem tu go nie widzę?

– W tym właśnie rzecz – zasępił się referent. – Przeszukałem mieszkanie Tarasa, ale testamentu nie znalazłem. Znalazłem za to uszkodzone okno. Ktoś mógł włamać się do willi i ukraść ten papier.

– Obawiam się, że bez testamentu zbyt wiele nie zdziałamy. Trzeba zlecić tamtejszej policji ponowne przeszukanie całego domu. Znajdziemy jakiś pretekst, zadzwonię jeszcze dziś. Aha, i niech pan się skontaktuje z tym panem Trębickim z MSZ. Na razie nieformalnie... niech pan postara się wysondować, czy oni coś wiedzą. W końcu Taras pisywał również do nich.

– Dobrze, panie dyrektorze.

– A propos, panie Tomku – zatrzymał go Langer – jak się pan czuje?

– Dziękuję, już lepiej. Zaskoczyli mnie od tyłu i ogłuszyli.

– A mieszkanie?

– Splądrowane. Ukradli mi komputer i telefon. Na szczęście zostawili karty kredytowe.

– A co mówi policja?

– Że to zwykłe włamanie. Dziś ślusarz wstawia mi nowe zamki.

– Niech pan na siebie uważa. Kto wie, może pańska głowa warta jest teraz ze czterdzieści miliardów?

Tomasz opuścił dyrektorski sekretariat, wymijając po drodze znerwicowaną pannę Lidkę. Do ślubu pozostało ledwie dwa dni, a sądząc z przeglądanych przez nią pod biurkiem magazynów mody ślubnej, wiele rzeczy wciąż było nie załatwionych. Nerwową atmosferę podkreślał jeszcze płaczący się wciąż po sekretariacie magister Woźniak.

– Zobacz pani, pani Lidziu, małżeństwo to wspaniała rzecz – mówił okularnik – człowiek ma do kogo wracać po pracy. Pan dyrektor na pewno potwierdzi.

Pułkownik Lipiński, który stanął właśnie w drzwiach, podniósł w mentorskim geście palec do góry

– W naszej kulturze małżeństwo jest podstawą stosunków mężczyzn i kobiet – oznajmił wyważonym tonem. – Choć z drugiej strony są kultury, gdzie nie odgrywa ono dużego

znaczenia.

Wszedł do gabinetu Langer, pozostawiając słuchaczy zachwyconych głębią spostrzeżenia. Woźniak, małpując Lipińskiego, również podniósł palec.

– Dzisiaj młodzież nie docenia małżeństwa, woli zmieniać partnerów jak rękawiczki, unikać odpowiedzialności! To ostatnie było do pana, panie Tomku!

– Przykro mi, ale nie słyszałem – odparł Tomasz. – Pantofel, spod którego pan mówi, tłumi pański głos.

Tomasz wyszedł z gabinetu, nie widząc purpurowej twarzy Woźniaka i panny Lidki, która ze śmiechu zakrztusiła się herbatą. Dyskusji z Woźniakiem należało unikać za wszelką cenę, a już na pewno nie rozmawiać z nim na temat małżeństwa i jego cudownej pod każdym względem małżonki.

Wkraczając do pokoju 240, Tomasz zamierzał niezwłocznie skontaktować się z panem Trębickim z MSZ, ale tym razem administracja zaoszczędziła na telefonicznym rachunku. Wypiękniony i pachnący blondyn, ku zdumieniu Tomasza, siedział za jego biurkiem.

– Właśnie miałem do pana dzwonić – bąknął Tomasz nieświadomy, że zdanie, które wypowiedział, jeden z amerykańskich periodyków socjologicznych uznał za najpopularniejsze kłamstwo świata.

– Panowie poinformowali mnie, że jest pan u dyrekcji – wyjaśnił gość – więc pozwoliłem sobie zasiąść za pana biurkiem. Już pana puszczam.

– Czemu zawdzięczam pańską wizytę? – Tomasz uznał, że z MSZ rozmawiać należy językiem oficjalnym i wyszukany.

– W kierowanych do nas pismach pan Jacenty Taras wspominał, że jest w posiadaniu testamentu tego... Dębickiego. Tymczasem w pakiecie dokumentów, który od pana dostałem, testamentu nie ma.

– I nigdy nie było – wyjaśnił Tomasz. – W trakcie przeszukania willi Tarasa nie znalazłem testamentu. Za to znalazłem... – Tomasz zawahał się chwilę – znalazłem ślady włamania. Mówię panu o tym w pełnym zaufaniu, gdyż mój dyrektor życzy sobie, abyśmy zacieśnili współpracę.

– Bardzo mnie to cieszy – atletyczny dyplomata uśmiechnął się ujmująco. – Włamanie, mówi pan... to ciekawe...

– Dyrektor za moją radą – oświadczył zarozumiale Tomasz – postanowił poprosić lokalną policję o ponowne, tym razem wnikliwe przeszukanie willi.

– Sądzi pan, że testament nadal jest w domu Tarasa? A może przekazał go komuś?

– Wątpię – referent pokręcił głową. – Nie miał przecież żadnej rodziny, a dokument ten był dla niego wyjątkowo cenny. Przypuszczam, że schował go gdzieś głęboko, być może w jakiejś skrytce. Dom trzeba przeszukać.

– A czas leci. – Piękniś po raz pierwszy zdradził objawy zniecierpliwienia.

– Sprawa czekała na załatwienie przeszło sto siedemdziesiąt lat – odparł Tomasz. – Nic

się nie stanie, jeśli zaczeka jeszcze kilka dni.

– To prawda. – Trębicki poderwał się nagle. – Tymczasem pożegnam pana. Gdyby zaszły jakieś okoliczności...

– Proszę być pewnym, że dowie się pan o nich bez zwłoki.

Uprzejmy i dyplomatyczny uścisk dłoni zakończył rozmowę dżentelmenów. Ciszę przerywał jedynie szelest gazety, którą wachlował się zde gustowany podpułkownik Czernicki, mamrocząc coś o perfumowanych francuskich pieskach.

* * *

Otworzył oczy i nasłuchiwał przez chwilę. Miał właśnie przewrócić się na lewy bok i kontynuować spanie, gdy nerwowe pukanie do drzwi powtórzyło się.

Zapalił lampkę przy łóżku. Zegar ścienny wskazywał kilka minut po pierwszej. Jego małżonka spała jak zabita, jak zawsze, gdy wieczorem odbywał się zakrapiany bankiet.

Podszedł do drzwi i uchylił je cicho. Pod drzwiami stał Garret O’Higgins – jeden z jego osobistych sekretarzy. Na wciąż zaspanej twarzy ambasadora Stanów Zjednoczonych Rory’ego Ewella odmalował się grymas niechęci. Nigdy nie lubił swojego sekretarza – cholerny Irlandczyk miał zawsze skłonności do panikarstwa.

– Co się stało? Zaatakowaliśmy Koreę Północną?

– Nie, sir. Pułkownik Mills prosi o przyjęcie. Mówi, że to bardzo ważne.

Brwi na anglosaskiej facjacie ambasadora uniosły się w zdumieniu.

– Mills? Adiutant generała McDowella?

– Tak, sir.

– A więc jest gorzej, niż myślałem. Niech zaczeka na dole w bibliotece. Zaraz tam zejść – dodał po chwili namysłu.

Zamknął drzwi i włożył leżące na szafce okulary. Mamrocząc gniewnie pod nosem, chwycił szlafrok i zaczął go naciągać na swoją wysportowaną sylwetkę.

Skrzywił się jeszcze bardziej, słysząc krople deszczu, które zaczęły właśnie bębnić o parapet. Nie znosił tego zimnego, nieuporządkowanego kraju, w którym zarówno pogoda, jak i polityka stanowiły zawsze wielką niewiadomą.

Wywodząc się z dynastycznej rodziny, ambasador Ewell od dziecka skazany był na karierę dyplomatyczną, w której jego familia doskonaliła się z powodzeniem od czasów wojny secesyjnej. Błyskotliwy, analityczny umysł, a także polityczne wsparcie rodziny sprawiło, że Rory błyskawicznie piął się po szczeblach kariery w służbie zagranicznej.

Objęcie urzędu prezydenta Stanów Zjednoczonych przez teksańskiego półgłówka o prostackich manierach zakończyło błyskotliwą karierę powiązanego z demokratami Ewella. Po siedmiu latach kierowania prestiżowymi ambasadami w Pekinie, a później w Paryżu, niczym w biblijnej przypowieści nadeszły chude lata. Banicja do trzeciorzędnej placówki w

Warszawie odbiła się znacznie na zdrowiu ambasadora. Przyzwyczajony do aktywnego udziału w życiu publicznym, brylowania na salonach i współdecydowania o najważniejszych sprawach polityki globalnej, musiał pełzać, spędzając czas na odsłanianiu tablic pamiątkowych i wymawianiu od czasu do czasu, wymyślonego z pewnością przez szatana, słowa: „Kościszko”.

Z trudem ukrywał niechęć do tego dziwnego kraju i jego ponurych mieszkańców, posługujących się językiem, którego dźwięk przypominał szelest zgniatanej w rękę foliowej torby. Kraju, w którym każdy rodził się antysemitą i od dziecka karmiony był tłustymi kotletami z kapustą, kraju, w którym wszyscy patrzyli na siebie wilkiem. W którym najhuczniej świętowano przegrane bitwy i nieudane powstania, dzień niepodległości przypadał nie w słonecznym lipcu, a w ponurym listopadzie, a w Halloween dzieci, zamiast zbierać po domach cukierki, ciągnęły się po cementarzach. Kraju, w którym prawo nie pozwalało wywiesić przed domem narodowej flagi, a za zabicie bandyty włamującego się do domu właściciel sam szedł do więzienia.

Nienawidził tych dziwacznych polityków, noszących wąsy chyba po to tylko, żeby można było sprawdzić, co jedli na obiad, odzianych w tanie garnitury, z łupieżem i brudnymi paznokciami, potrafiących gadać godzinami o niczym, dla których ucieleśnieniem demokracji był równie wąsaty dyktator na brązowym koniu, obalający legalnie wybrane parlamenty i prezydentów.

Po pierwszym roku swej misji i pierwszym załamaniu nerwowym Rory Ewell postanowił wziąć się poważnie do roboty i pokazać wąsaczom, gdzie ich miejsce. Porzucił nieprzydatne w tym kraju delikatne i wytrawne dyplomatyczne gierki na rzecz brutalnej i bezwzględnej polityki kija i marchewy. W ciągu kilku miesięcy skutecznie stosowane przez Igelstróma i Nowosilcowa, doprowadzając je do takiej perfekcji, że carscy ambasadorzy na polskim dworze mogliby mu tylko pozazdrościć.

Zszedł na dół i wkroczył do stylowo urządzonej biblioteki, starannie zamykając za sobą drzwi. Siedzący w fotelu oficer na jego widok odstawił szklanekę z whisky i podniósł się.

– Richard, jak miło cię widzieć!

– Ciebie też, Rory!

Wymienili podręcznikowe uśmiechy i zasiedli naprzeciw siebie. Szumiący za oknem deszcz i nastrojowe oświetlenie tworzyły intymną atmosferę.

– Wybacz późną porę – zaczął pułkownik – ale nie chciałem z tym czekać do rana.

– Powiedz od razu, co znowu zmalował twój generał. Ostrzegałem go na bankiecie przed mocą polskiej wódki.

– Nie, nie – Mills pokręcił siwiejącą głową – tym razem nie chodzi o starego.

– O! – zdziwił się ambasador. – Więc co się stało?

Pułkownik przysunął się z fotelem do ambasadora i kordialnie nachylił głowę.

– Nawet nie wiesz, Rory – szepnął – czego dowiedziałem się dziś w polskim Pentagonie.

Przez dobre pół godziny irlandzki sekretarz próbował podsłuchiwać pod zamkniętymi drzwiami biblioteki. Zanim drzwi się otworzyły i zaczerwieniony ambasador odprowadził gościa do drzwi, O'Higgins zdołał usłyszeć tylko kilka przekleństw wypowiedzianych przez Ewella podniesionym głosem.

– Wiedziałem, że wizyta tego kowboja przyniesie więcej szkody niż pożytku – mówił ambasador, ściskając rękę pułkownika. – Dziękuję ci, Richard. Dopilnuj, proszę, żeby Mac trzymał język za zębami.

– Nawet nie wiesz, czego ode mnie żądasz. – Mills pokręcił głową. – Zrobię, co w mojej mocy. Dobranoc, Rory.

– Dobranoc.

Ambasador odprowadził wzrokiem oficera. Podszedł do wiszącego na ścianie korytarza portretu Jerzego Waszyngtona i przez chwilę wpatrywał się w postawną sylwetkę ojca narodu, opartego o armatnią lufę.

– Garret – przypomniał sobie w końcu o istnieniu sekretarza.

– Tak, sir?

– Zadzwoń do polskiego ministra spraw zagranicznych i powiesz mu, że chcę go zobaczyć o dziesiątej rano. I żeby mi się nie spóźnił jak ostatnio!

– Oczywiście, sir.

– Aha! I wezwij do mnie attache kulturalnego.

– Teraz, sir?

– Tak.

Rozdział 7

Zgodnie z przewidywaniami Tomasza ponowne przeszukanie willi nic nie dało. Komisarz Ryłko płaczliwym głosem zapewniał przez telefon, że chałupę przetrząsnęto od piwnic po dach z wielką starannością i zaangażowaniem, o czym szef bielskiej policji pokornie prosił nadmienić w raporcie. Tomasz ze smutkiem skonstatował, że chwila, w której na teczce z dokumentami Tarasa przyjdzie napisać: „a/a”, zbliża się nieubłaganie.

Niewesoła myśl natury służbowej zbiegła się dziwnie ze złą wiadomością charakteru czysto prywatnego – wygrzebana między regałami Biblioteki Narodowej miłość oświadczyła mu, że wygrała stypendium uczelniane i wyjeżdża na pół roku do Lyonu. Edukacyjny pragmatyzm zdusił więc w zarodku romantyczny poryw chwili i nawet wiadomość od Nokii, że dzisiejszy wieczór zakończy się jutrzejszym śniadaniem, niezbyt pocieszyła strapionego referenta.

Smutne refleksje dopadły go w miejscu, w którym z zasady powinno się myśleć o rzeczach wielkich i brzemiennych. W cieniu dostojnego kościoła Świętego Aleksandra na warszawskim placu Trzech Krzyży urzędnik państwowy niskiego szczebla usiłował przegnać z głowy chmurne myśli i przywołać na twarz o wiele właściwszy w tym dniu nonszalancki uśmiech.

Rozległy skwer wokół kościoła nabity był eleganckim, różnokolorowym i hałaśliwym tłumem. Dwie pary młode – jedna szczęśliwie już zaślubiona i druga spiesząca do ołtarza – mijaly się właśnie na szerokich, skąpanych w słońcu schodach świątyni. Na radosną chwilę oczekiwała w pobliżu trzecia para – wewnątrz szarego i lekko zdezelowanego lincolna Tomasz dostrzegł charakterystyczny profil panny Lidki.

Goście wszystkich trzech par, wymieszawszy się ze sobą, uczynili tumult, którego nie powstydzilby się żaden siedemnastowieczny sejmik szlachecki. Utapirowane ciotki pokryte warstwami krzykliwego makijażu, brzuchaci wujowie świecący łysinami, dostojne damy starające się zdystansować od kolorowego plebsu i chmary hałaśliwej dzieciarni przelewały się po placu wśród wzajemnych nawoływań, śmiechów i płaczu.

Tomasz przepychał się do środka, starając się za wszelką cenę uchronić trzymaną w ręku wiązankę kwiatów. Metr po metrze, wymijając zdeorientowanych gości, zmniejszał dystans dzielący go od kościelnych stopni. Tuż przy schodach utworzył się znaczny korek

spowodowany przez Parę Wychodzącą, starającą się ustawić wraz z rodzicami do pamiątkowej fotografii. W czynności tej skutecznie przeszkadzała Para Wchodząca, poganiana wraz ze swym orszakiem przez wyglądającego na alkoholika kościelnego. Kościół Świętego Aleksandra był bardzo popularny wśród par młodych, mimo że „co łaska” przekraczała tu średnią krajową. Proboszcz parafii, ksiądz Węgielek, przeznaczał na jedną parę maksymalnie dwadzieścia pięć minut, co wymagało bardzo napiętego harmonogramu, lecz pozwalało znacznie wzmocnić finansowo kasę parafialną. Sprawna organizacja stanowiła podstawę finansowego sukcesu i o żadnych przestojach nie mogło być mowy.

Ministranci szybko i zdecydowanie wyparli ze schodów Parę Wychodzącą, nie pozwalając młodemu na zebranie z ziemi tradycyjnych groszaków. W międzyczasie kościelny zwinął szybko czerwony dywan prowadzący do ołtarza, za który widocznie druga para nie zapłaciła. Korpulentna panna młoda i wymoczkowaty narzeczony weszli do przedsionka, a za nimi wladowała się pokaźna liczba gości.

Sytuacja wyklarowała się na tyle, że Tomasz wspiął się wreszcie na schody i stanął nieco z boku. Z wnętrza kościoła dochodził gardłowy głos proboszcza, przerywany od czasu do czasu piskliwym akordem organisty. Po kwadransie oczekiwania sytuacja powtórzyła się i radosna, splakana panna młoda opuściła Dom Boży w asyście rozchlipanej rodzinki. Ministranci przystąpili do operacji oczyszczania schodów, a kościelny zaczął rozwijać czerwony dywan, co świadczyło o tym, że „co łaska” panny Lidki była znacznie wyższa.

Znudzony szofer szarego lincolna nie bez trudu otworzył tylne drzwi i panna Lidka ukazała się oczom gawiedzi, obleczona nieco na wyrost dziewczycą bielą. Krój trzymającej się na obfitym biuście sukni, skromny i dyskretny, mile kontrastował z feerią falbanek, koronek i zatrząsków, którymi upstrzone były kreacje poprzednich panien młodych. Niestety dziwaczna fryzura, przypominająca zwój drutu kolczastego i wzbogacona kilkoma pretensjonalnymi piórami, psuła nieco efekt i harmonię. Pan młody, który wygramolił się za swą przyszłą małżonką, odziany był w coś w rodzaju kremowego surduta z fularem i kamizelą, w którym wyglądał jak dziewiętnastowieczny poganiacz niewolników z plantacji bawełny.

Po okiełznaniu przez pannę Lidkę niesfornego trenu młoda para ruszyła po schodach, rozdając na lewo i prawo wytrenowane uśmiechy i lekkie skinienia głową. Tomasz, który z początku zamierzał pozostać na zewnątrz, został wepchnięty do środka przez tłum gości i zmuszony do zajęcia miejsca w ławie, pośród ciotek wymalowanych jak odrestaurowane kamienice.

– Makijaż ładny, choć moim zdaniem za śmiały – oceniła z przekąsem Ciotka Nr 1. – I te pantofelki... zdecydowanie fatalnie dobrane.

– Tak, tak – wtórowała Ciotka Nr 2 – nie dość pantofelków, to jeszcze i fryzura niewłaściwa. Te pretensjonalne loczki nijak się mają do kroju sukni.

– A sama suknia zbyt wyzywająca. – Ciotka Nr 3 poprawiła utapirowaną konstrukcję na głowie. – Ciekawe, czy zmieści się w niej po urodzeniu dziecka.

Tomasz odsunął się nieco od chichoczących wampirzyc, mimowolnie zbliżając się do brzuchatych wujów, podpierających owalną ścianę.

– Dupa niezła – mówił Wuj Nr 1. – Dymnął byś sobie, co, Władziu?

– He, he – zarechotał Władzio, zwany dla porządku Wujem Nr 2 – poćwierkałbym sobie z tą ptaszyną po swojemu. Sukieneczka w górę i jazda!

– Ech – westchnął Wuj Nr 3 – pociupciałby sobie człowiek taką cielećcinę. A ty męcz się, człowieku, z żylastą wołowiną...

Lubieżne spojrzenia wujów i zazdrosny wzrok ciotek odprowadziły młodą parę do ołtarza. Ksiądz dobrodziej powitał ich głośnym kichnięciem i rozpoczął standardowe przemówienie.

– Pięknie wygląda nasza Lidunia, co? – usłyszał Tomasz zza pleców, lecz nim zdążył się odwrócić, poczuł nieświeży oddech magistra Woźniaka. – Eeech... kiedy patrzę na nich, przypomina mi się mój ślub.

– A pan, panie magistrze, bez małżonki?

– Przeziębione biedactwo – zafrasował się krótkowidz – od dwóch dni już tak...

Dalsze słowa Woźniaka utonęły w przeraźliwej solówce organisty, która przypominała gwizdek na fajrant w zakładzie pracy. Zgromadzeni wierni zastygli na moment, by po dźwięku dzwonka pokornie przykłęknąć.

Kulminacyjny moment imprezy poprzedziła monotonna fraza księdza Węgielka, który zaczął standardowo od motywu z rywalizacją faryzeuszy i saduceuszy, później skrótowo wspomniał o owocach miłości i zahaczywszy o list świętego Pawła do Koryntian, zakończył na nieśmiertelnym numerze z Sodomą i Gomorą.

– Kościół to jednak potęga – szeptał Tomaszowi do ucha magister Woźniak. – Czytał pan *Kod Leonarda da Vinci*? Jak pomyślę, ile jeszcze kryje w sobie tajemnic, to strach mnie ogarnia...

Tomasz przysypiał nieco, budzony od czasu do czasu głośniejszym akcentem mszy lub hałaśliwym wrzaskiem któregoś z licznych w kościele niemowlaków. Ale we właściwym momencie wstał i z pokorą wysłuchał księdza nakazującego wiernym przekazać sobie znak pokoju.

Wierni obrzucili się mniej lub bardziej nieszczerymi uśmiechami. Kilka stojących obok Tomasza osób uściśnęło mu dłoń, a jeden krzywonogi podłotek z aparatem na zębach dał mu nawet niewprawne buzi, za co zresztą od razu został skarcony przez mamusię.

Młodzi powstałi z kłęczników. Kamerzysta, płaczący się do tej pory między stanowiskiem plebana a młodymi, zastygł w profesjonalnej pozie na stopniach ołtarza. Zaczynał się najważniejszy moment imprezy. Ksiądz dostojnie zbliżył się do pary, ale trzymany przez niego mikrofon co rusz zacinał się i piszczał tak, że do zgromadzonych dolatywały tylko urywane zdania.

– Biorę sobie ciebie... ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską...

– Ho, ho, tyle tego... – mruzczał Tomasz ku świętemu oburzeniu Woźniaka i okolicznych ciotek – któż by spamiętał...

– Naprawdę nie wiem, o co panu chodzi, panie Tomku – karcącym szeptem mówił Woźniak.

– Jak facet, który nie potrafi spamiętać listy z zakupami w sklepie, może zapamiętać tyle rzeczy: miłość, uczciwość, wierność... i to na całe życie. To niemożliwe!

Ciotki sykiem uciszały Tomasza, ale wujowie, słysząc ostatnie zdanie, bulgotali, krztusząc się ze śmiechu. Proboszcz przycichł nieco, udzielając rad świeżo poślubionym małżonkom, uaktywniła się za to leciwa zakonnica i brzęcząc płóciennym workiem, ruszyła na walutowy obchód. Zgromadzeni, którzy uiścili ofiarę, nagradzani byli gardłowym: „Bóg zapłać”, ci zaś, którzy się ociągali, ponaglani byli głośnym: „W imię Ojca i Syna”.

Tomasz, który na temat kościelnych finansów miał swoje zdanie, skrzyżował ręce na piersiach i wbił wzrok w państwa młodych, chcąc dać do zrozumienia, że służyć może jedynie uśmiechem. Zakonnica jednak łatwo nie dawała za wygraną i zbliżywszy się do urzędnika, hałaśliwie brzęknęła worem.

– W imię Ojca i Syna – zaskrzeczała.

Referent zacisnął zęby, ale siostra energicznie machała sakiewką i powtarzała coraz głośniej: „W imię Ojca i Syna”. Tomasz, czując na sobie karcący wzrok wiernych, dał w końcu za wygraną i sięgnął po portfel. W środku jak na złość nie miał żadnych drobniaków, z bólem serca dobył więc dziesięciozłotowy banknot i żałośnie spojrzął na profil Mieszka I.

– W imię Ojca i Syna! – ponagliła zakonnica.

Miał już wrzucić banknot do kabzy, gdy nagle poczuł, że zalewa go fala gorąca. Serce, dotąd wyciszone, zaczęło walić jak oszalałe, a kołnierzyk koszuli niemiłosiernie ścisnął go za szyję. Jak urzeczony wpatrywał się w trzymany banknot, a w głowie kołatał mu się skrzekliwy głos zakonnicy, powtarzający: „W imię Ojca i Syna”...

Zerwał się gwałtownie z ławki i ku zdumieniu zgromadzonych, rzucił się pędem w stronę wyjścia.

* * *

Policjant pełniący służbę na drodze krajowej numer 8 pod Ostrowią Mazowiecką podniósł ramię i natychmiast opuścił je z rezygnacją. Rządowa lancia minęła jego stanowisko w szalonym pędzie prawie dwustu kilometrów na godzinę.

– Jak mogłem być takim durniem – jęczał Tomasz, bezlitośnie waląc się po głowie. – Jak mogłem nie skojarzyć! W imię Ojca i Syna!

Mimo zdenerwowania był znacznie spokojniejszy niż przed dwiema godzinami, gdy wpadł jak bomba do gmachu Sztabu Generalnego. Na portierni jego blada twarz wywołała jeszcze większe wrażenie niż czarny wieczorowy garnitur i spinki do mankietów.

– Pułkownik Langer! Jest?

Leciwy ochroniarz, któremu Tomasz brutalnie przerwał sobotnią drzemkę na portierni, zdążył tylko skinąć głową. Elegancki referent zbiegł schodami w dół i bezceremonialnie wpadł do dyrektorskiego gabinetu.

Langer miał zwyczaj przychodzić do pracy w sobotę, kiedy to w sztabie panowała niezmacona cisza, nie zakłócana przez nikogo. Jedni twierdzili, że nadgorliwością chce zapunktować u przełożonych i zasłużyć na wymarzone lampasy; bardziej wtajemniczeni szeptali, że pożycie małżeńskie pułkownika jest w rozsypce.

– Testament... w imię Ojca i Syna... Bielsk... – Tomasz wyrzucał z siebie pojedyncze wyrazy.

Dyrektor departamentu, jako doświadczony wojskowy, który wiele w życiu widział, spojrzął na Tomasza, po czym koniuszkami palców rozmasował sobie kolistymi ruchami skronie. Po chwili jego ręka uniosła się zgrabnie, wskazując fotel, na który referent opadł bezwładnie jak worek.

Tomasz był wymowny, a Langer inteligentny, dzięki czemu do wyjaśnienia sytuacji obaj potrzebowali trzech minut i lampki koniaku z przepastnej szafy dyrektora departamentu. Ruszyli szybkim krokiem po wytartej wykładzinie korytarza, zatrzymując się dopiero przed pokojem numer 240.

– Ostatnim razem, gdy przyszedł pan do nas w sobotę – przywitał dyrektora Czernicki – spędziliśmy pod namiotem tydzień na mrozie.

Czterech otyłych dżentelmenów, podobnie jak ich pryncypał, zwykło wpadać do pracy w weekend. Zatechły pokój i jego niepowtarzalna atmosfera były jak narkotyki, od którego uzależnili się całkowicie.

– Bez obaw, panie Krzysztofie – uspokoił go dyrektor. – Pan Tomasz był w kościele i doznał objawienia. Pojedziemy sprawdzić, czy jego widzenie jest prawdą.

O objawieniach czwórka rozmiaru XXL wiedziała niewiele z wyjątkiem Gałązki, który w trakcie swej bogatej kariery przewinął się przez osławiony IV Departament MSW. Zanim zdążyli porządnie się zdziwić, Langer kontynuował:

– Mam dla panów zadanie bojowe. Skontaktują się panowie z komendą wojewódzką policji w Białymstoku i poinformują, że delegacja departamentu odwiedzi ponownie dom Tarasa w Bielsku Podlaskim.

– Pan dyrektor też jedzie? – zapytał Tomasz.

– Tak. Przyznam szczerze, że chyba zaraził mnie pan swoją pasją dla tej sprawy.

– To może i ja się przydam – zaproponował milczący dotąd inspektor Halbert. – Jak to mawiał Robespierre: co dwie głowy, to nie jedna.

Godzinę później służbowa lancia, prowadzona pewną ręką Langer, gnała krajową „ósemką” na Białystok. Tomasz nadal tłukł się otwartą dłonią w czoło.

– Dureń! Bałwan! Jak mogłem nie skojarzyć!

– I najlepszym się zdarza nie skojarzyć, panie Tomeczku – pocieszał go Halbert. – Parę lat temu, jak byłem kierownikiem w urzędzie wojewódzkim, wysyłaliśmy zaproszenia do weteranów Armii Krajowej na uroczystość nadania im orderów przez wojewodę. Problem w tym, że sekretarka idiotka wydrukowała je na blankietach, na których drukowano wezwania do zapłacenia mandatu za parkowanie. A ja nie skojarzyłem i dałem wojewodzie do podpisu. Wyobraź pan sobie, jakie były jaja: z jednej strony uroczyste zaproszenie, a z drugiej pouczenie, że w przypadku niestawienia się grozi, cytuję, grzywna lub doprowadzenie przez policję. Na uroczystość oczywiście nikt nie przyszedł, za to uzbrojeni w szable weterani urządzili pikietę i splądrowali wojewodzie gabinet. Nie ma się co przejmować, panie Tomku, każdy ma prawo nie skojarzyć...

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy rządowy wóz wzbijał kurz na wjazdowej ulicy, która, co znamienne, nosiła nazwę Wojska Polskiego. Samochód minął stację benzynową, skręcił w prawo za błękitną drewnianą cerkwią i zatrzymał się przed dobrze znanym Tomaszowi pasiastym budynkiem komisariatu.

– Panie pułkowniku, komisarz Ryłko melduje komendę powiatową po...

– Dziękuję – uciał szybko Langer i widząc zniecierpliwioną minę Tomasza, rzucił: – Proszę jechać przodem. Do willi Tarasa.

– Tak jest! – wrzasnął komendant, ubrany w galowy mundur z medalami.

Równie wrzaskliwie jął poganiać swoje niebieskie stadko. Oba samochody – lancia i policyjny uaz – ruszyły, a efekciarz Ryłko nie omieszkał włączyć kogutów, ku niezadowoleniu pułkownika.

Kawalkada dotarła po kilku minutach do krótkiej uliczki Legionowej, na końcu której widniała charakterystyczna furtka. W połowie ulicy gazik zwolnił i komendant osobiście wyskoczył, by przepędzić stado gęsi, które sycząc, niechętnie ustąpiły z drogi. Wystraszywszy je brzękiem odznaczeń, otworzył furtkę i drzwi wejściowe, stanął w progu i zaszalutował z szacunkiem. Do wnętrza przepchnął się Tomasz, za nim wszedł Langer, a orszak zamykał rozglądający się ciekawie Halbert. Referent wpadł do gabinetu Tarasa, wpatrując się w to, co było przedmiotem jego olśnienia – w wielki marmurowy kominek.

Ku zdumieniu całej ekipy urzędnik niższego szczebla porwał pogrzebacz i zaczął energicznie rozgrzebywać zastygły w kominku popiół. Następnie, mrucząc pod nosem, zajrzał do środka, niemal wsadzając głowę w otwór kominowy. Ryłko zbliżył się zdumiony i poszedł za jego przykładem.

– Jeśli chce pan napalić – odezwał się nieśmiało – to Mazurek skoczy po kilka polan...

Tomasz zignorował komendanta i dalej badał kominek centymetr po centymetrze. Do uszu Ryłki dotarły pojedyncze słowa, mamrotane coraz bardziej nerwowo przez Tomasza: „Ojca... syna... syna... imię...”

– Co proszę? – zapytał głośniejszym głosem Ryłko.

– W imię Ojca i Syna! – wrzasnął nagle Tomasz, łapiąc komendanta za kłapy munduru i

energicznie nim potrząsając. – W imię Ojca i Syna!

– Na wieki wieków, amen – bladymi ustami wymamrotał komendant, a policjanci z jego świty pokornie zdjęli czapki.

Langer postąpił krok naprzód i uważnie spojrzął na inkrustowaną, zewnętrzną część kominka. Prócz imponującej wielkości nie spostrzegł jednak nic nadzwyczajnego. Jego podwładny tymczasem, który zdążył już upaprać się sadzą, badał teraz część górną. Nagle, ku zdumieniu zgromadzonych, nacisnął rzeźbioną ściankę wieńczącą szczyt kominka. Rozległ się cichy metaliczny szcęk i nim widownia zdołała ochłonąć, Tomasz otworzył zamaskowaną w ścianie skrytkę i wy dobył z niej dużą brązową kopertę. Niecierpliwie uchylił nie zaklejony grzbiet, włożył do środka dwa palce i z triumfem dobył z niej kilka kartek pożółkłego rękopisu.

– Jest!

– Ale... – wymamrotał Ryłko, z niedowierzaniem zaglądając w ciemny otwór schowka – jakim cudem... skąd pan wiedział...

– Po prostu nie wierzę w nagłe nawrócenia.

– Że co?

– Stary Taras, umierając, nie doznał niestety łaski bożego olśnienia. Starał się za to w chwili śmierci przekazać informację o schowku. Pech chciał, że wysłuchała go stara dewotka.

– A więc denat nie odmawiał pacierza? – upewnił się posterunkowy Mazurek, zgromiony natychmiast wzrokiem komendanta.

– Ależ... co w takim razie mówił? – zapytał Ryłko. – I co to ma wspólnego z kominkiem?

– Niech pan tu podejdzie. I co pan widzi? – zapytał Tomasz, wskazując na dwie rzeźbione kolumny wspierające kominek.

– No co... jakiś rycerz, zdaje się... z dzidą.

– Ta dzida to włócznia Świętego Maurycego – oznajmił Tomasz – a ten „rycerz” to Bolesław Chrobry.

– Więc ten z lewej to Mieszko I. – Langer dokładnie przyjrzał się drugiej rzeźbionej kolumnie.

– Jaki Mieszko? Panowie, o co tu chodzi? – Ryłko rozłożył bezradnie ręce.

– Ojciec i syn! – krzyknął Tomasz. – Mieszko i Bolesław! To właśnie usiłował przekazać przed śmiercią Jacenty Taras! Niech pan tu spojrzy, panie dyrektorze.

Langer przyjrzał się uważnie rzeźbionym esom-floresom, pokrywającym zamaskowane drzwiczki schowka. Rzeczywiście faliste rowki, wyobrażające pędy roślinne, układały się w litery „M” i „B”.

– Stary Taras nie doznał objawienia, panie Ryłko. Za to ja doznałem.

– Jak to?

– I to w miejscu najbardziej do tego odpowiednim. W kościele.

Tomasz wyciągnął z kieszeni zmięty dziesięciozłotowy banknot i podał go Ryłce. Ten

porównał wizerunki piastowskiego księcia z banknotu i rzeźby, kiwając głową z uznaniem.

– Rzeczywiście... rysopis się zgadza.

Tomasz tymczasem niecierpliwie przeglądał pożółkłe papierzyska. O autentyczności i wadze dokumentu zdecydować mieli co prawda prawnicy i historycy, jednakże już sam tytuł – „Rozporządzenie majątności tudzież ruchomości JWP Dębickiego Ludwika Napoleona, sporządzone w Warszawie, w dniu 24 Aprila Roku Pańskiego 1828” – nie pozostawiał większych wątpliwości. W dokumencie tym, rzecz jasna, Dębicki nie mógł wspomnieć o swych tekszańskich majątnościach – z pewnością jednak rozporządził swym majątkiem rodzowym, wyznaczając wykonawcę testamentu i swych spadkobierców.

– No, dość już tego czytania, panie Tomku – napomniał go Langer. – Musimy jechać, jeśli chcemy dotrzeć do Warszawy przed północą.

– Chcą panowie wracać na noc? – zdziwił się Ryłko. – Ależ mogą panowie przenocować na komisariacie. Mamy bardzo wygodne pokoje...

– Ależ nie będziemy robić kłopotu.

– Panie pułkowniku, nalegam. To będzie, można by rzec, zaszczyt!

Langer wykręcał się bez przekonania. Jego mina jasno świadczyła o tym, że nie uśmiecha mu się bynajmniej trzygodzinna jazda po ciemku. Wizja wygodnego łóżka, choćby i na posterunku, wydawała się kusząca.

– Ledwo pan się trzyma na nogach, drogi dyrektorze – wtrącił poufale Halbert. – Albo to po raz pierwszy będziemy nocować pod celą?

– Nie wiem, jak pan, ale ja po raz pierwszy – odparł Langer.

– Cóż, z niejednego pieca człowiek chleb jadł – Halbert mrugnął porozumiewawczo do Ryłki. – A pan, panie Tomku? Nie jest pan zmęczony?

Tomasz westchnął, spojrzawszy na zegarek. Dopiero teraz przypomniał sobie, że dzisiejszy wieczór i noc spędzić miał w ramionach Nokii, aby w dalekiej i pełnej pokus Francji miała za kim tęsknić. Nawet gdyby Langer pobił rekord prędkości, kolacja z pewnością już wystygła.

– Myślę, że nie ma już po co dziś wracać – stwierdził smutno. – Ale nie będziemy blokować panu komisarzowi jego gościnnych lochów. Mam tu jednego zaprzyjaźnionego kapłana. Jestem pewien, że przyciemni na noc trzy chrześcijańskie dusze.

* * *

– No to cyk!

Pięć szklanic uniosło się do góry i gęsty ciemnoróżowy płyn zniknął w gardłach biesiadujących.

– A toście mi radość sprawili, braciszku – mówił rumiany proboszcz, rozlewając ponownie słodką wiśniówkę. – Zasmakował kawalerowi księży likierek, co?

– A zasmakował – przyznał Tomasz, adresat słów proboszcza. – Tyle opowiadałem o nim memu szefowi, że nie mógł się oprzeć, by księdza nie odwiedzić.

Gościnnie półokrągły stół w prywatnych apartamentach rozległej plebanii znów pełen był dowodów na to, że ubóstwo nijak nie ima się stanu duchownego. Prócz dziczyzny, szerokiego wyboru kielbas i pływającej się w piwie golonki, dla ważnych gości z samej Warszawy znalazły się też nadziane miodem ciasta, pierniki i kilka zakurzonych flaszek z piwnicy.

– Jedz, mój Ryłku, jedz – zachęcił ksiądz komendanta, po czym wyjaśnił reszcie: – Komendant taki nieśmiały, bo on prawosławny. Nie jest pewien, czy mu katolicka strawa nie zaszkodzi. Ale chyba smakuje, co?

– Szmakue – przyznał Ryłko z ustami pełnymi kielbasy.

– Nie karmi ojciec Timofiej tak dobrze, jak ja, co?

– Bałdzo dobie. – Ryłko dyplomatycznie uchylił się od odpowiedzi.

– Jedz, jedz, Ryłku. I u mnie, i u Timofieja. To się nazywa ekumenizm.

Trudne słowo nie mówiło zbyt wiele komendantowi powiatowemu, lecz skoro uprawniało do objadania się na obu konkurencyjnych plebaniach, komisarz zanotował je w pamięci. Kulinaryny ekumenizm wziął sobie do serca również Halbert, rozprawiając się samodzielnie z księżą golonką.

– Więc mówi kawaler, że znaleźliście skrytkę?

– Tak, proszę księdza. Niestety Taras nie nawrócił się przed śmiercią.

– Nawrócił się czy nie nawrócił – ksiądz wzruszył ramionami – jeden Bóg wie. Tylko nie mówcie panowie o tym w miasteczku. Ludzie zaraz z tej skrytki zrobią wielką pieczarę, a z papierów bajeczne skarby. I zaraz mi jeszcze wyrostki grób zaczną rozkopywać. Niech no spoczywa dusza w pokoju.

Rozmowa na tematy duchowe nie zajmowała Halberta, przeglądał więc podlaskie wydanie „Gazety Wybranej” i otworzywszy ją na stronie z nekrologami, porozumiewawczo mrugnął do Tomasza.

– Tu pan nie wygra w denata – ostrzegł Tomasz, w lot zrozumiawszy intencje starego urzędnika. – Tu, panie naczelniku, dwudziestoosmioletni pocztowcy już są zasłużeni...

– Wola boska – proboszcz spoważniał nagle, słysząc te słowa – ale chłopaka szkoda. Młody był, dzieci osierocił... straszna tragedia.

– Co się stało? – zapytał Halbert, na wszelki wypadek chowając gazetę z nekrologami.

– Ano upił się biedaczyna i pod pociąg motorem wjechał – mówił proboszcz, rozlewając wiśniówkę do kieliszków. – Alkohol straszna rzecz. Ludziom rozum odbiera. No, wypijmy za spokojność jego duszy.

– Za spokojność – powtórzył Ryłko, wyraźnie posmutniawszy.

– A ty co, mój Ryłku, tak nos na kwintę spuścił?

– A bo jak sobie przypomnę... – Wiśniówka nastroiła komendanta melancholijnie. – Taras choć stary, swoje lata miał, ale chłopak? I tak obaj, jeden parę dni po drugim.

– Jeden po drugim – mruknął Tomasz, zamyśliwszy się na chwilę. Z zadumy wyrwał go jednak szybko gospodarz.

– Wola boska, której negować nam nie wolno. No to cyk!

* * *

Tomasz stąpał wolno szerokim korytarzem. Z każdym krokiem stukot narastał i stawał się coraz wyraźniejszy. Dom tonął w ciemności i tylko poświata księżycyca rozjaśniała ciemny korytarz. Stukot ucichł nagle. Tomasz ruszył w kierunku jaśniejących na końcu drzwi. Miękki dywan tłumiał kroki jego bosych stóp. Straszny, przejmujący ludzki jęk rozległ się nagle, ściskając za gardło i sprawiając, że serce niemal stanęło mu w piersi. Tomasz szedł jednak dalej, wpatrzony w obłany księżycową poświatą zarys drzwi. Jęk cichł powoli, przeradzając się w szloch.

Przystanął. Jakaś siła powstrzymywała go przed wejściem do pokoju. Wyschnięte gardło zmieniło oddech w chropowaty świst. Nadludzkim wysiłkiem przemógł się, otworzył drzwi i wszedł. Na biurku migotała świeca, oświetlając fragment pokoju. Dalej wszystko tonęło w mroku. Tomasz uniósł świecę i postąpił krok naprzód. W tej samej chwili dotarł do niego smród stęchlizny. Tomasz wyteżył wzrok i spojrzał w głąb pomieszczenia. Przy kominku z rzeźbionymi kolumnami klęczała jakaś niewyraźna postać. Straszliwie chudymi rękami rozgarniała czarny popiół, kiwając się w przód i w tył i szlochając boleśnie. Tomasz podchodził bliżej. Smród stawał się nie do zniesienia. Przerażony młodzieniec, osłaniając usta ręką przed straszliwym fetorem, krzyknął:

– Kim jesteś!?

Postać skurczyła się, sycząc nieludzko, nagle wyprostowała się i błyskawicznie stanęła naprzeciw pytającego. Tomasz krzyknął i zimny skurcz objął jego ciało. Poznał tę twarz – szerniałą, wychudłą, obleczoną popekaną skórą, spod której prześwitywała kość czaszki. To była jego twarz.

Upiór syknął przeraźliwie i chwycił swe ludzkie odbicie za ramiona. Tomasz szarpnął się, próbując się uwolnić. Szarpnął raz, drugi...

Obudził się. Koszmarna postać znikła, pokój rozplynął się we mgle, ale upiorny jęk nadal rozdierał powietrze. Tomasz rozejrzał się spocony, wyskoczył z łóżka i podbiegł do okna. Tuż przy parapecie, na niskim ogrodowym płotku siedział okazały kogut proboszcza i darł się na całe gardło.

* * *

– O, ranny ptaszek. Wasyl cię obudził... Punktualny on. Zawsze po porannej mszy pieje. Proboszcz mamrotał, zmierzając po trawie w stronę młodego urzędnika. Spod sutanny nie

było widać stóp i jegomość wyglądał jak szachowa figura sunąca po zielonej szachownicy. Przystanął i ze znanstwem spojrzął na Tomasza.

– Uuu... wiśniówka spać nie dała. Błady pan Tomasz jak płótno.

Tomasz nie odpowiedział, tylko z niekłamaną nienawiścią spojrzął na dostojnie maszerującego koguta, który zafundował mu senną marę.

– Wiśniówka i najmocniejsze głowy złamie – mówił ksiądz, biorąc Tomasza pod rękę. – Nic dziwnego, że kawaler taki cięty na Wasyla. Nic to, na Piotra i Pawła na rosół pójdzie. No, pójdziemy obudzić zwierchników. A i zsiadłe mleko na główkę nie zaszkodzi.

Budzenie okazało się jednak zbędne. Langer wrócił właśnie z przechadzki po miasteczku, budząc swym mundurem nie lada sensację, Halbert zaś siedział na ławeczce, wystawiając pyzată facjatę ku słońcu.

Ksiądz jegomość, nie zważając na protesty Langerera i na gderanie swojej gospodyni, za nic nie chciał wypuścić dostojnych gości bez podarków. Bagażnik lancii obciążony więc został okazałym kawałem wędzonej polędwicy, dwoma koszami suszonych grzybów i kilkoma, a jakże, litrowymi butlami wiśniówki. Do tego wszystkiego proboszcz dorzucił jeszcze błogosławieństwo i osobiście otworzył gościom bramę.

– Boży człowiek – mruknął Langer i spojrzawszy we wsteczne lustro, zwrócił się do Tomasza: – Źle pan wygląda. Chyba ma pan dość wrażeń?

Tomasz ocknął się z zamyślenia i spojrzął na dyrektora. Na jego bladej twarzy pojawił się rumieniec.

– Wręcz przeciwnie, panie dyrektorze. Pozostała nam jeszcze jedna rzecz.

– Co takiego?

– Musimy złożyć kondolencje wdowie po listonoszu.

– Pan żartuje.

– Ani nasza poczta, ani wdowa nie są raczej dobrym obiektem do żartów. W każdym razie wdowa na pewno nie.

Tomasz był wymowny, a Langer inteligentny, co po raz wtóry ułatwiło obu panom wzajemne porozumienie. Pozostało wyjaśnić tylko jedną kwestię.

– Jak znajdziemy dom tego listonosza? – zapytał Halbert.

– Pomoże nam w tym załoga piastowskiego grodu – odparł Tomasz.

Lancia skręciła z głównej drogi na szosę hajnowską i zatrzymała się dwieście metrów dalej, przy parku miejskim. Przeczucie nie myliło referenta i po kilku krokach w cieniu prastarego grodu ujrzał dwóch znajomych amatorów wina z dodatkiem siarki.

– Panowie, gdzie znajduje dom listonosza, co go pociąg przejechał?

– Prosto, minąć stację benzynową, dalej prosto i w prawo. Niski biały dom na końcu ulicy

– Dziękuję. – Tomasz odwrócił się i w eskorcie Langerera i Halberta ruszył w kierunku lancii, również tym razem czując na plecach zatroskane spojrzenia obu meneli.

– Doigrał się warszawiak – mruknął jeden do drugiego. – Wtedy go capnęło dwóch

sierżantów. A teraz, widziałeś... pułkownik z tajniakiem. Daleko chłopak zajdzie. Jak wyjdzie.

Samochód zatrzymał się na końcu ulicy o wdzięcznej nazwie Liliowa. Siedzące opodal trzy przaśne babiny, stanowiące lokalny przekaźnik wieści, wnikliwie zlustrowały sylwetki przybyszów. Tomasz podszedł do furtki. Na podwórku szczupła brunetka rozwieszała bieliznę na sznurach. Mały jazgotliwy kundel zaanonsował jej dziwnie wyglądających gości.

– Pani Wasiluk? – zapytał Tomasz pro forma, bo na furtce wisiała wizytówka.

– Tak, a o co chodzi? – Kobieta popatrzyła z pewnym niepokojem na dość niezwykłą trójkę.

– Chcielibyśmy porozmawiać o pani mężu.

Kobieta przyjrzała się przybyszom. Mundur Langerera budził jeszcze większe zaufanie niż stylowa linia limuzyny, więc otworzyła furtkę i zaprosiła gości do środka. Fakt ten został odnotowany przez trzy babiny.

Dom wyglądał niezbyt zamożnie, ale znać w nim było rękę gospodyni. Kuchnia, przez którą przechodziło się do dalszych pomieszczeń, wyglądała czysto i schludnie. Dwójka maluchów – chłopczyk i dziewczynka – z zainteresowaniem przyglądała się gościom, ciekawie spozierając zza szafy. Podążając za Wasilukową, weszli do najbardziej reprezentacyjnego pokoju, w którym nowoczesny zestaw kina domowego kontrastował ze ścianami obwieszonymi ikonami. Tomasz zwrócił uwagę na przewieszoną czarną wstążką ramkę ze zdjęciem uśmiechniętego młodego mężczyzny.

– Wiedziała, że panowie kiedyś się zjawią – powiedziała wdowa, usadzając gości na krzesłach. – Dziwię się tylko, dlaczego to Straż Ochrony Pogranicza interesuje się śmiercią mojego męża.

Langer z towarzyszami spojrzeli na siebie, nie rozumiejąc.

– Co takiego? – zdziwił się Halbert.

– Przecież pan jest chyba ze Straży – odparła, wskazując na Langerera.

– Nie, nie – odparł pułkownik z uśmiechem – jestem wojskowym.

– Wojskowym? – zdziwiła się gospodyni. – Macie podobne mundury. Tu u nas widzi się raczej pograniczników.

– Proszę pani – zabrał głos Tomasz – jesteśmy ze Sztabu Generalnego, z Warszawy. Prowadzimy dochodzenie w pewnej sprawie i szukamy punktu zaczepienia. Policja poinformowała nas już o wypadku pani męża. Mimo to chcieliśmy porozmawiać z panią osobiście.

– Co panowie chcą wiedzieć? – zapytała, dziwiąc się trochę, że dwóch starszych wiekiem panów milczy, podczas gdy młody prowadzi rozmowę.

– Cóż... właściwie sami nie jesteśmy do końca pewni – mówił Tomasz. – Śmierć pani męża zbiega się ze śmiercią innego mieszkańca miasta.

– No tak – przyznała – sekretarza Tarasa.

– Właśnie. Stąd nasze zainteresowanie. Proszę powiedzieć, czy według pani w śmierci pani męża było coś dziwnego, niezwykłego?

Kobieta popatrzyła na Tomasza okrągłymi oczami, po czym, ku zdumieniu gości, wybuchnęła spazmatycznym śmiechem. Langer nerwowo przeciągnął ręką po czole, a Halbert pokręcił głową. Brunetka umilkła nagle, w jej oczach zaślnęły łzy.

– Coś dziwnego, niezwykłego – mówiła, uśmiechając się gorzko i kręcąc głową. – Mój Boże! Zabili mi męża, zabili go! Jaki tam wypadek!

– Kto zabił? – spytał Tomasz.

Kobieta uspokoiła przyspieszony oddech i uważniej spojrzała na Tomasza.

– Wie pan – powiedziała – nawet jest pan trochę podobny do Adama.

– Policja twierdzi...

– Policja bredzi! – przerwała nienawistnie. – Mówią, że był pijany, gdy wjechał motorem pod ten pociąg! Adam nie mógł pić, rozumiecie panowie? Od urodzenia miał uszkodzoną wątrobę! Jeden kieliszek mógł go zabić.

– Wie pani – wtrącił Langer – to jeszcze nie dowód, że ktoś go zabił...

– Znałam dobrze swojego męża – oświadczyła twardo – i wiem, że nigdy nie ośmieliłby się pić. A poza tym ta historia z pociągiem. Na tej trasie pociąg kursuje dwa razy na dzień! Jak można pod niego wpaść?!

Kobieta ukryła twarz w dłoniach. Langer westchnął i trącił Tomasza, dyskretnie pukając w szkiełko swojego zegarka.

– Pokażę panom zdjęcia. – Gospodyni podniosła się z fotela i wyszła do sąsiedniego pokoju.

Langer karcąco spojrzał na Tomasza.

– Niepotrzebnie tu przyszliśmy – stwierdził cicho – nic nie zyskamy, a tylko rozstroimy nerwy kobiecie.

Młody milcząco kiwnął głową, przyznając pryncypałowi rację.

– Mam tylko kilka fotografii z pogrzebu Adama. Proszę.

Tomasz rzucił okiem na zdjęcia – przedstawiały kondukt żałobny, prowadzony przez brodatego popa, zapewne wspomnianego ojca Timofieja. Dalej kilku mężczyzn niosących żałobne chorągwie i czterech dźwigających trumnę. Wreszcie kilka nieco przyciemnionych ujęć z cerkwi – trumna na marach, obłożona wieńcami, na tle bogato zdobionych carskich wrót. Wokół trumny kilkadziesiąt płonących świec.

– Cóż, dziękujemy pani – mruknął Tomasz, oddając fotografie.

– Czy wznowią panowie śledztwo? – zapytała.

– Zwrócimy się do policji, by jeszcze raz zbadała sprawę – odparł wymijająco Langer. – Do widzenia pani.

– Do widzenia – powiedziała cicho.

Pułkownik z Halbertem wyszli z domu. Tomasz ruszył za nimi. Nagle zatrzymał się w

drzwiach. Gospodyni spojrzała na niego zaskoczona.

– Zostawił pan coś?

– Nie, nie... – bąknął Tomasz – te zdjęcia...

– Co się stało?

Tomasz poczuł lekki dreszcz na plecach.

– Te zdjęcia – powtórzył. – Pani mąż był wyznania prawosławnego, prawda?

– Tak – przyznała zdziwiona – ale co to ma do...

– Trumna była zamknięta – mówił szybko, jakby do siebie. – O ile wiem, w obrządku prawosławnym w czasie przejścia konduktu i mszy w cerkwi trumna pozostaje otwarta. Zamyka się ją dopiero w trakcie przejścia na cmentarz.

– Ach to... – uśmiechnęła się blado – to nic takiego...

– Idzie pan, panie Tomaszu? – zawołał z podwórka Langer, opędzając się od szczekającego kundla.

– Tak, tak, już idę – rzucił za siebie i odwrócił się do dziewczyny. – Rozumiem. Zapewne zwłoki były zmasakrowane... po wypadku?

– Nie – zaprzeczyła. – Adam był poraniony, ale nie zmasakrowany. Ale jego twarz... nie chciałam, żeby dzieci to widziały... jego twarz była sinoniebieska...

– Niebieska!? – krzyknął Tomasz.

– Tak, niebieska, jakby pomalowana. Chciałam oszczędzić dzieciom tego widoku. Prosiłam ojca Timofieja, by trumna pozostała zamknięta... zgodził się.

– Niebieska... niebieska – mamrotał referent. – Dziękuję pani, bardzo nam pani pomogła. Do widzenia.

Szedł przez ciemną sień jak otepiały. Dopiero promienie słońca orzeźwiły go trochę.

– Niech się pan pospieszy. – Langer uruchomił silnik. – Chciałbym zdążyć przed wracającymi z weekendu.

Lancia ruszyła, wzbijając tuman kurzu. Tomasz siedział na tylnym siedzeniu i bezgłośnie poruszał ustami.

– No, to wrażeń mamy chyba dosyć – mówił pułkownik – Najważniejsze, że znaleźliśmy testament. Jutro rano zamelduję o tym generałowi Pękali. A on zapewne poinformuje generała McDowella. Mam nadzieję, że na tym zakończy się ta cała afera.

– Obawiam się, że nie, panie dyrektorze. Trzeba będzie znów niepokoić komendanta policji.

– Jak to?

– Bo trzeba zarządzić ekshumację zwłok Tarasa i Wasiluka.

– Co? A po co, na miłość boską?

– Bo obaj najprawdopodobniej zostali zamordowani.

* * *

Brama uchyliła się bezszelestnie i samochód wjechał na teren ambasady. Wartownik oświetlił twarz kierowcy, który z grymasem zmrużył oczy.

– Cholernie zimna noc, co? – odezwał się, wyłączając silnik.

– Cholernie, panie Williams. – Wartownik uśmiechnął się zawadiacko.

Attache kulturalny opuścił samochód i wszedł tylnym wyjściem do budynku. Rozdygotany irlandzki sekretarz powitał go z przestachem w oczach.

– Pan ambasador śpi. Lepiej go nie budzić. Lepiej...

– Lepiej idź spać, Garret.

Przeszedł korytarzem w kierunku schodów. Miał wejść na górę, gdzie mieściła się sypialnia, lecz nagle zauważył sączące się z biblioteki mdłe światło. Zajrzał do środka. Ambasador Ewell siedział w fotelu, pogrążony w zadumie.

– Wejdz, John – rzekł, nie odwracając się nawet. – Czekałem na ciebie.

Garret ponownie pocałował klamkę. Nadstawił ucha pod zamkniętymi drzwiami, lecz usłyszał jedynie niewyraźne szepty.

– Mills dzwonił do mnie – mówił ambasador. – Wiem, że Mac wygadał się na konferencji prasowej.

– Ta gazeta ukaże się za dwie godziny. – Williams rzucił na stół pachnący jeszcze świeżą farbą egzemplarz „Republiki” z wielkim zdjęciem generała McDowella. – Sir! Może jeszcze zdążymy coś zrobić!

– Co na przykład?

– Ściągnąć nakład, zastraszyć redaktora naczelnego, przekupić drukarzy – wyliczał attache kulturalny. – To, co zwykle...

– Mój dobry, gorączkowany John – Ewell z uśmiechem pokiwał głową. – To nie Salwador ani Panama. To Europa. Podobno. Tu nie możemy robić takich rzeczy.

Ewell energicznie podniósł się z fotela. Williams zauważył, że oczy ambasadora płoną dziwnym blaskiem. Nie wyglądał na przygnębionego.

– Po raz pierwszy, odkąd jestem w tej dziurze, coś się dzieje. – Ambasador objął gościa przyjacielskim gestem. – Załatwienie tej sprawy po naszej myśli opłaci się nam obu, wierz mi.

– Co zrobimy, sir?

– Na razie nic. Damy się wyszumieć w sądach. Niech swoim zwyczajem poskaczą sobie do oczu, pooskarżają się nawzajem, pokłócą się o te miliardy dolarów. Niech te ich śmieszne media mają swoje pięć minut. Ale potem, John...

Ewell nachylił się do attache kulturalnego i jak za dawnych lat, przybrał minę wytrawnego gracza.

– Ale potem – powtórzył szeptem – przyjdzie kolej na ciebie. Sprawę załatwisz umiejętnie i z wyczuciem. Nie trzeba nam więcej kłopotów. Mamy już dosyć problemów

przez ten cholerny offset na F-16.

Rozdział 8

Sekretarki, sprzątaczk i pomniejsi urzędnicy ze strachem pierzchali na boki, ustępując miejsca eleganckiemu pułkownikowi i towarzyszącemu mu młodzianowi z przedziałkiem. Obaj kroczyli, a właściwie maszerowali przez długi korytarz Ministerstwa Obrony Narodowej, bezlitośnie tratując szarą wykładzinę.

Stojący u wrót gabinetu ministra żandarm z marsową miną sprawdził dokumenty obu panów, podejrzliwie lustrując młodziana, który swą obecnością znacznie zaniżał średnią wieku w budynku. Langer ruszył przodem w stronę dębowych drzwi gabinetu szefa MON.

– Pan pułkownik Langer wraz ze swoim pracownikiem! – zaanonsowała grubiotka i apetyczna sekretarka.

Tomasz ruszył za szefem, obrzuciwszy korpulentną sekretarkę niechętnym spojrzeniem i notując sobie w pamięci zniewagę kryjącą się w słowach „wraz ze swoim pracownikiem”. Nie zdążył nawet rozejrzeć się po gabinecie, gdy drobna rudowłosa postać ministra wyskoczyła zza biurka i żywo gestykulując, ruszyła ku gościom.

– Panie dyrektorze Langer! Ja mam dla pana wiele szacunku! Wiele sympatii! Wie pan o tym dobrze! A jeśli pan nie wie, to się pan właśnie dowiedział! Dlaczego ja jestem zaskakiwany przez dziennikarzy jakimiś dziwnymi pytaniami! Co za aferę pan rozkręcił? Co za testament? Jakie miliardy dolarów? Jaki znowu Teksas!?

Ochrzczony przez media „człowiekiem orkiestrą”, minister Romuald Połtawa poszczycić się mógł jedną z najbardziej spektakularnych karier politycznych w III Rzeczypospolitej. W ciągu kilkunastu lat był już ministrem kultury, środowiska, sportu, dyrektorem Lasów Państwowych, przewodniczącym komitetu olimpijskiego i wiceprezesem Giełdy Warszawskiej. Do kolekcji brakowało mu tylko pieczętki dyrektora wrocławskiego ogrodu zoologicznego i szefa Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”.

Wspólnym mianownikiem dla pełnionych przez niego rozlicznych funkcji była krańcowa niekompetencja. Myliłby się jednak ten, kto przypuściłby, że było to dla niego jakąś przeszkodą. Miał bowiem minister Połtawa jedną olbrzymią zaletę – wiedział, że jest durniem. Spośród licznej rzeszy rządzących Polską głupców, ten jeden dziwnym zrządzeniem losu zdawał sobie sprawę ze swej głupoty. Stąd też zadowalał się splendorem ministerialnego życia, nie wnikając w szczegóły, nie interesując się drobiazgami i pozostawiając sprawy w

rękach swych mniej lub bardziej obeznanym z tematem podwładnym. Obejmując kolejne stanowisko, otrzymywał od swoich politycznych szefów polecenie, które – jak wieść gminna niesie – otrzymał niegdyś kosmonauta Hermaszewski: „Siedź spokojnie, uśmiechaj się ładnie i niczego, kurwa, niczego nie dotykaj”. Słowem – był idealnym szefem.

Zdarzały się oczywiście pełne napięcia momenty, gdy przyparty do muru przez posłów lub dziennikarzy, musiał zająć stanowisko w jakiejś sprawie. Wykazywał wówczas zadziwiającą zdolność do budowania gładkich zdań skonstruowanych z ogólników i przeplatanych frazesami, a jego wyrażenia typu „detale ogólne” lub „wybrane aspekty niektórych zagadnień” weszły na stałe do słowników politologicznych.

– Ja nie mogę odpowiadać na aż tak merytoryczne pytania – mówił Połtawa, machając rączkami. – Nie mogę świecić oczami do kamer i stroić prostackich min. Mało brakowało, a wyszedłbym na ignoranta.

– Ależ panie ministrze – Langer troskliwie wziął Połtawę pod rękę i delikatnie usadził go w fotelu obrotowym – przecież pan jest ignorantem. Nigdy pan nie zaprzeczał.

Tomasz przysłuchiwał się rozmowie, bez pozwolenia próbując ukryć ogarniające go zdumienie. Słyszając ostatnie zdanie Langer, młody urzędnik poczuł, jak cierpnie mu skóra, i oczami wyobraźni ujrzał już swego dyrektora odzieranego z pagonów i zdegradowanego do szeregowca, ze złamaną szablą u stóp. Tymczasem minister pokiwał tylko smutno ryżą główką.

– Pan o tym wie, ja o tym wiem – mówił, wzdychając. – Teraz nawet nasz młody kolega to wie. Ale inni nie muszą... A tak w ogóle, to kim pan jest?

Tomasz otworzył usta, ale dyrektor szybko go wyręczył.

– Pan Tomasz jest nowym pracownikiem.

– Aha. A jaki ma stopień?

– Jestem cywilem. – Tym razem młodzian ubiegł Langer.

– Cywilem? – zdziwił się minister. – Więc co pan robi w MON-ie?

– Pan Tomasz jest jednym z kilkuset cywilnych pracowników resortu obrony – wyjaśniał cierpliwie Langer – i jednym z kilkudziesięciu tysięcy cywilów pracujących dla wojska. Pan minister podpisywał przecież niedawno rozporządzenie o dodatkowych etatach cywilnych.

– Rozporządzenie? O etatach? – zmarszczył się Połtawa. – Nie przypominam sobie...

– To było wtedy, kiedy przytrzasnął pan sobie palec zszywaczem...

– A tak, tak – rudzielec pokiwał szybko głową – teraz sobie przypominam. Trudno, żebym wszystko spamiętał, prawda? Ja nie jestem alfą i betą, panie dyrektorze.

– Omegą.

– Omegą też nie jestem. Ja się o to stanowisko nie prosiłem. Ale nigdy też nie unikałem trudnych zadań i odpowiedzialności!

Miniaturowy mąż stanu łyknął wody sodowej i wskazał gościom krzesła po drugiej stronie stołu.

– Teraz radźcie, panowie, jak wybrnąć z tego bagna. O, proszę!

Wyciągnął zza biurka kilka gazet i rozłożył je przed oczami Langer i Tomasza. „*Złote Runo w zasięgu ręki*” – wołała tłustym drukiem „Gazeta Wybrana”, dodając w podtytule: „*Sensacyjna konferencja prasowa! Szef Połączonych Sztabów Armii USA odkrywa kulisy olbrzymiego długu Ameryki wobec Polski*”. „*Testament wart miliardy dolarów*” – krzyczała „Republika”, prezentując uśmiechnięte oblicze generała McDowella. Tabloidy „Springer” i „SuperNews” swym zwyczajem ubarwiły nieco sensacyjne wieści, opatrując je wielką czcionką ułożoną w słowa: „*Co kryje MON?*” i „*Tajne konto pana ministra*”.

– Generał McDowell bardzo entuzjastycznie odniósł się do tej sprawy – tłumaczył Langer. – Dlatego był informowany na bieżąco, podobnie jak pan, panie ministrze. Czytał pan zapewne mój raport?

– Czytałem – zełgał Połtawa, nie mrugnawszy nawet okiem.

– McDowell, wracając wczoraj do Stanów, napomknął o tym na konferencji prasowej, a pismacy od razu podchwycili temat. Nie sądziłem, że generał aż tak bardzo się tym zainteresuje.

– I nie wiedział pan, że wypapla to wszystko dziennikarzom? – zawołał z wyrzutem rudzielec.

Langer westchnął przejmująco i nie odpowiedział. W eleganckim gabinecie ministra zapadła cisza.

– Trzeba być bardzo ostrożnym w kontaktach z naszymi amerykańskimi sojusznikami, panie dyrektorze – rzekł Połtawa smutnym i zrezygnowanym tonem. – Widzi pan, oni mają taki zwyczaj, że mówią dziennikarzom prawdę. Trzeba to mieć zawsze na uwadze. No, ale do rzeczy. Czy ten testament to naprawdę taka poważna sprawa? Premier dzwonił do mnie przed godziną, żąda szczegółowego raportu. Szczegółowego, rozumie pan!?

– Sprawa jest rozwojowa, panie ministrze – odezwał się Tomasz nie pytany.

– Tego się właśnie obawiałem.

– Przypuszczamy, że Jacenty Taras, ostatni żyjący potomek autora testamentu, został zamordowany. To by świadczyło o tym, że komuś bardzo zależy na wyciszeniu tej sprawy. Podejrzewamy, że...

– Przypuszczamy, podejrzewamy – przedrzeźniał Tomasz minister. – Fakty, fakty, fakty, młody człowieku! Bez faktów dziennikarze zjedzą mnie jeszcze prędzej niż premier! I co ja mam pańskim zdaniem zrobić, panie dyrektorze?

Langer dobył z granatowej teczki pismo i położył je przed ministrem.

– Proszę podpisać ten kwit.

Ku zdumieniu Tomasza minister podpisał podsunięty papier bez czytania. Odłożył pióro i westchnął.

– Czy mogę wiedzieć, co podpisałem? – zapytał zrezygnowany.

– Proszę do prokuratora generalnego, by ten zlecił prokuraturze wojewódzkiej w

Białymstoku wydanie zgody na ekshumację ciała Jacentego Tarasa i listonosza Adama Wasiluka.

– Jakiego znów listonosza? Poczta to nie mój resort! Chyba...

Langer nie odpowiedział, tylko schował do teczki podpisany dokument. Trącił Tomasza i obaj podnieśli się jednocześnie z krzeseł.

– Nie dość zatruł już pan życie mnie, człowiekowi żywemu – mówił minister kręcąc głową – to jeszcze chce pan niepokoić umarłych. Choć i tak wszystko jedno, wkrótce wpędzicie mnie wszyscy do grobu.

– Pan minister pozwoli, że się odmelduję.

– Pozwoli, pozwoli. – machnął ręką. – Czemu by nie?

* * *

Tomasz trzasnął drzwiami i ze złością ściągnął z siebie biały kitel. W uszach brzmiał mu jeszcze szyderczy, piskliwy śmiech. Kilka godzin szperania w internecie i wertowania katalogów biblioteki Akademii Medycznej poszły na marne.

Nazwisko profesora doktora habilitowanego Józefa Leszczyńskiego zajmowało pierwsze miejsce zarówno w bibliotecznej szufladzie, jak i w przepastnych zasobach sieci internetowej. „Profesor farmakologii i toksykologii, wybitny diagnostyk, autor ponad dwudziestu pozycji naukowych z dziedziny bromatologii i toksykologii oraz kilkuset artykułów w prasie fachowej, członek grupy eksperckiej Światowej Organizacji Zdrowia. Obdarzony wrodzonym instynktem i zacięciem naukowym”. Jak się okazało – obdarzony również piskliwym śmiechem, o czym Tomasz miał wątpliwą przyjemność przekonać się osobiście.

– Mowy nie ma, panie ładny! Mowy nie ma! Teraz to przychodźcie i prosicie! A jak mi z syna kalekę zrobiliście, to pies z kulawą nogą się nie zatroszczył! Przekłete mundurowe sukinsyny!

Tomasz słuchał cierpliwie, w miarę udanie maskując zdziwienie. Siedział spokojnie na laboratoryjnym stołku pośród szaf i półek wypełnionych różnokolorowymi substancjami, kwasami i odczynnikami. Między chemikaliami miotał się zażywny profesor z wypielęgowaną siwizną i ostrymi, wystającymi kośćmi policzkowymi.

– Może pan przekazać swoim mocodawcom, że prędzej wypiję litr siarczanu dimetylu, niż spełnię wasze uniżone prośby. Mowy nie ma!

– Cóż, jak widzę, pan profesor jest zajęty. Pozwoli pan, że go pożegnam...

– Młodszy był od pana – Leszczyński zacisnął pięści i wbił wzrok w Tomasza – kiedy na drawskim poligonie kazali mu kopać niewypały. Mój syn był słabego zdrowia, nie nadawał się do wojska, a już na pewno nie do saperów. W wybuchu stracił wzrok i obie dłonie. Cztery lata wydzieriałem od was odszkodowanie... cztery lata czekałem na jałmużnę za zdrowie mojego chłopaka.

– Przykro mi – powiedział szybko Tomasz, unikając wzroku profesora.

– Przykro... teraz to wam przykro... – zaśmiał się profesor szyderym, nerwowym piskiem – i powinno... i powinno!

– Do widzenia, panie profesorze.

Tomasz opuścił Wydział Toksykologii i ruszył w kierunku wyjścia z Akademii. Na dziedzińcu roilo się od studentów palących papierosy, dowcipkujących i poszturchujących się nawzajem. Kalka nieszczęsnych dusz siedziało z nosami w książkach, studiując zapamiętałe i kując do egzaminów.

Złośliwy śmiech wybitnego toksykologa podziałał na młodego urzędnika inspirująco. W jego głowie zaczął tlić się pewien pomysł, do realizacji którego potrzebował wsparcia. Rozejrzał się uważnie, lustrując twarze przyszłych konowałów. Nagle przystanął i rzucił okiem w najdalszy kąt dziedzińca. Na twarzy referenta zagościł uśmiech niemal równie szydery, jak uśmiech profesora.

Na ławce siedziała chuda brzydula w wytartych dżinsach i zielonym rozciągniętym swetrze. Tomasz znał dobrze ten gatunek – nieatrakcyjnych panienek, nie istniejących w bogatym studenckim życiu towarzysko-erotycznym. Ich jedyną zaletą było to, że chodząc na wszystkie wykłady, robiły dobre notatki, które później za cenę przemęczenia się z nimi w kinie można było skserować.

Straszdyło z długim nochalem zatopione było w lekturze książki o wdzięcznym tytule: *Choroby odbytu, odbytnicy i jelita grubego*. O chorobach odbytu Tomasz na szczęście wiedział niewiele, jednakże fakt ten utrudniał znacznie nawiązanie kontaktu. Problem z brzydulami polegał na tym, że nie będąc obiektem zainteresowania mężczyzn, były wobec płci męskiej nieufne i podejrzliwe. Zdobycie ich zaufania było mozolnym i długotrwałym procesem przebijania się przez mur kompleksów, niechęci i podejrzeń.

Tytuł lektury nic nie mówił Tomaszowi, za to obrazek, który panienka miała wyszyty na klapie plecaka, mówił mu aż za wiele. Charakterystyczny symbol świeczki owiniętej drutem kolczastym – logo Amnesty International.

– Cześć – rzucił w kierunku zielonego swetra. – My się chyba skądś znamy?

Brzydula oderwała się od schematu części poprzecznej okrężnicy i mrużąc oczy, spojrzała na Tomasza.

– Chyba nie – odparła z przekąsem.

– To nie ty byłaś ostatnio na demonstracji pod MSZ?

Panienka uważnie spojrzała na Tomasza. Kilka dni wcześniej pod gmachem Ministerstwa Spraw Zagranicznych istotnie odbyła się demonstracja. Kilkunastu obdartusów z transparentami protestowało wówczas przeciw wydaleniu z Polski działacza wietnamskiej opozycji. To, że u opozycjonisty znaleziono dwa kilogramy heroiny, miało dla obrońców praw człowieka znaczenie drugorzędne. Tomasz pamiętał o tym z artykułu w „Republice” oraz z notatki, która zaplątała się na jego biurko.

– No byłam. Ale ciebie nie widziałam.

– Bo ja się nie rzucam w oczy.

– To fakt.

Tomasz pominął milczeniem docinek.

– Masz może chwilę? Wybierzemy się gdzieś na kawę? Jestem Tomek.

– Honorata. Nie pijam kawy, to powolna trucizna. Zresztą teraz nie mogę, mam zaraz kolokwium. Ale jak chcesz, to wieczorem możemy wyskoczyć do dyskoteki. Znasz „Organzę”?

– „Organzę”? – powtórzył Tomasz niepewnie. – Coś słyszałem...

Klub „Organza” był Tomaszowi znany bardzo dobrze – młody urzędnik był tam stałym bywalcem. Jednak nie bardzo uśmiechała mu się perspektywa, że ktoś ze znajomych zobaczy go w towarzystwie piegowatej okularnicy.

– A może wybierzemy się do kina?

– Chcę do „Organzy”. Ale jeśli nie chcesz, to...

– Okay, niech będzie – ustąpił Tomasz z rezygnacją. – O której?

– O dziewiątej. Tylko się nie spóźnij, nie lubię tego.

Tomasz popatrzył na nią, ledwie kryjąc politowanie. Dziewczę żądało wiele, niewiele mogąc zaoferować w zamian. Stanowiło zatem doskonały materiał na starą pannę. Jednak w planach Tomasza nie miało to większego znaczenia.

* * *

Z niebywałą jak na urzędnika państwowego punktualnością Tomasz ustawił się w kolejce do klubu „Organza” kilka minut przed dwudziestą pierwszą. Ogonek poruszał się niemrawo, bo selekcjoner żądał od trzech ostrzyżonych dryblasów kart klubowych, co w praktyce oznaczało „do widzenia”. Ci kłócili się zawzięcie, licząc na zmianę decyzji, ale ochroniarz pozostał nieugięty.

– A już myślałam, że nie przyjdiesz – usłyszał Tomasz zza pleców.

Odwrócił się i ujrzał swą koszmarną wybranekę. Ku jego najgorszym obawom, spod narzuconej na ramiona zielonej kurtki wystawał ten sam okropny, rozciągnięty sweterek.

– Już myślałam, że będę dziś bawić się sama.

– To pewnie dla ciebie żadna nowość – mruknął Tomasz i dodał głośno: – Jak ja coś obiecuję, to dotrzymuję słowa.

– Nie wierzę – pokręciła głową. – Faceci zawsze to mówią i zawsze kłamią. Ja to wiem.

– Chyba z filmów – ponownie mruknął Tomasz. – Chodźmy już!

Selekcjoner popatrzył na straszdyło z pewnym zdziwieniem. Tomasz opuścił wzrok, modląc się, by w środku nie zastać nikogo znajomego. Modły nie zostały wysłuchane: jak na złość pierwszymi osobami, na które natknął się, rozchyliwszy wiszącą u wejścia kotarę, byli

Martin, Ciborek i Kimol – trio podrywaczy, starających się w snobistycznej Warszawie skutecznie modny tego roku dubbing. Za dnia odpowiednio agent nieruchomości, ubezpieczyciel i audytor, w nocy niczym wilkołaki zrzucali służbowe garnitury, przeistaczając się z mniejszym lub większym szczęściem w pogromców studentek.

Zgodnie z przyjętym zwyczajem, z uwagi na obecność panny koleżdy trzymali się z daleka, ale ich miny świadczyły same za siebie.

– Czego się napijesz? – warknął Tomasz, zdając sobie sprawę, że jego notowania u kumpli zleciały właśnie na łeb. – Cola, fanta, sprite?

– Raczej piwo – poprawiła. – Myślisz, że jestem małą dziewczynką?

– Myślę, że jesteś brzydką dziewczynką – wymamrotał do siebie, po czym rzucił w stronę barmana: – Dwa browary!

Podał brzyduli kufel i sam wlał w siebie potężny haust. Uśmiechnął się z trudem, czując wciąż na sobie ironiczne spojrzenia kumpli. Najwyższy czas było przejść do rzeczy.

– Powiedz, Honoratko, czemu wybrałaś właśnie medycynę? Te studia są ponoć najtrudniejsze?

– Łatwe nie są – przytaknęła łaskawie. – Ty to pewnie jakieś humanistyczne kończyłeś, co? Takie dla leserów?

Tomasz poczuł, że ręka zaczyna go swędzieć. Pohamował się jednak i zrezygnował z pomysłu wylania zawartości kufla na przetłuszczone włosy najbrzydszego z medycznych kaczątek.

– Zgadłaś. Jesteś bardzo przenikliwa.

– A jestem. A medycyna nie jest aż tak trudna. Myślę, że nawet ty byś sobie poradził.

– Och, dziękuję – utrzymanie uśmiechu kosztowało Tomasza coraz więcej wysiłku. – Słyszałem, że profesorowie u was to niezłe piły. A najgorszy podobno... Leszczyński.

– Leszczu? Najgorszy? Nieee – pokręciła główką. – Złoty człowiek! Docenia tych, którzy nie marnują czasu i uczą się.

– Każdy profesor ma jakieś słabości – drażył delikatnie Tomasz. – Jesteś przenikliwa, więc na pewno znasz jego słabe strony... wiesz, jak go podejść.

– Najlepszy sposób to pilnie się uczyć – odparła przemądrzale. – No i w jego przypadku... unikać kontaktów z doktorem Wilczkiem.

– Wilczkiem? – ożywił się Tomasz. – A co to za jeden?

– Adiunkt u nas na wydziale – wyjaśniła, łyknąwszy piwa. – Podobno wschodząca gwiazda toksykologii. Leszczyński podejrzewa, że Wilczek chce go wysiudzić z katedry, więc go nie znosi. Zresztą z wzajemnością. A co tak się tym interesujesz?

– Cóż – twarz urzędnika przybrała wyraz obojętności – sama powiedziałaś, że bym sobie poradził. Kto wie, może zacznę studiować medycynę?

– Ty? – zaśmiała się wrednie. – Lepiej chodź zatańczyć...

Chcąc nie chcąc, Tomasz podał jej rękę i chwilę później oboje wirowali na parkiecie,

starając się ruszać w takt muzyki. Kątem oka Tomasz dostrzegł swych kumpli, którzy oparciu o bar przyglądali się bacznie partnerce Tomasza, wymieniając co chwila jakieś uwagi i śmiejąc się do rozpuku.

Tomasz starał się nie myśleć o łożu szyderców. O swej partnerce również. Przymknął oczy i pozwolił unosić się muzyce. Klub „Organza”, mimo niewielkiej powierzchni, miał swój niepowtarzalny klimat. Ciemnopomarańczowe, tonące w mroku ściany kontrastowały z rozświetlonym barem. Z górnej antresoli, otoczonej drewnianą balustradą, spoglądały twarze imprezowiczów siedzących przy stolikach. Po prawej stronie, niczym ksiądz na ambonie, miksował didżej. Nastroju dopełniała podświetlona okrągła lampa na ścianie, przypominająca witraż.

– Może napijemy się jeszcze? – krzyknął referent, gdy tłum na niedużym parkiecie zgęstniał.

– Nie – pokręciła głową – muszę już iść. W środę mam egzamin z farmakokinetyki.

– Brzmi poważnie – przyznał. – Odprowadzę cię.

Podeszli do szatni i Honoratka podała swój numer. Po dłuższej chwili szatniarka wyłowiła z wieszaka zieloną wojskową kurtkę dziewczęcia.

– Pewnie chcesz mój numer? – zapytała. – Zwykle nie daję go na pierwszej randce.

– Randce?

– Ale tym razem zrobię wyjątek.

– Prawdziwy ze mnie szczęściarz.

– Co?

– Nic, nic... jaki masz numer?

Dziewczę wyrecytowało mu dziewięciocyfrowy numer, który Tomasz wpisał do swojej komórki. Wyszczzerzył się ostatkiem sił i zmusił się do muśnięcia brzyduli w policzek.

– Tylko nie dzwoń po dwudziestą, bo wtedy się uczę!

– Bez obawy. Na razie.

– Pa!

Brzydula pomachała mu ręką i wyszła z klubu. Tomasz, zanim wrócił na salę, znalazł w komórce świeżo zapisany numer i z satysfakcją wybrał opcję „DELETE”. Trzech sępów, przebijając z niecierpliwości nogami, wciąż stało przy barze.

– No, Tomi, mierzysz coraz wyżej – odezwał się Martin. – Skąd żeś ją wytrzasnął? Z Łysej Góry?

Trio zarechotało ubawione, Tomasz zaś machnął ręką.

– No, kto to jest? – dociekał Kimol. – Kuzynka? Siostra cioteczna?

– Sprawa służbowa – burknął Tomasz.

– Dobra, dobra, służbowa – kpił Martin.

– Już wiem – nabijał się Ciborek – ona jest z Urzędu Skarbowego, a ty nie wyrobiłeś się z PIT-em, tak?

– Gdyby była z Urzędu Skarbowego – odparował Tomasz – nosiłbym ją na rękach.

– A po co?

– Jak to po co? Zawsze chciałem wydymać fiskusa.

Młodzieńcy zaśmiali się z celnej riposty. Śmiech zagłuszył ciemnoskóry didżej, serwując żywszy kawałek. Niunie liczniej wyległy na parkiet, więc przekształcone w kwartet trio ekspresowo opróżniło kufle i rzuciło się w stronę grupki dziewcząt, tańczących w kółeczku wokół ustawionych na parkiecie torebek.

Tomasz rozejrzał się wokół, szukając jakiejś dzidzi, która zatarłaby koszmarnie wrażenie medycznego straszdyła. Po chwili jego wzrok padł na atrakcyjną blondynkę, stojącą samotnie przy barze. Blondie, ubrana w seksowne kabaretki i džinsową mini, sączyła powoli jakiś kolorowy drink, co chwila splawiając nadskakujących jej podrywaczy. Tomasz obserwował ją przez chwilę, obmyślając strategię, po czym podszedł do baru i stanął obok niuni, bacząc, by nie spojrzeć na nią ani razu. Jednocześnie zanurzył rękę w kieszeni, wyczuwając palcami obły metalowy przedmiot. Teraz pozostawało jedynie czekać.

Cierpliwość urzędnika została wkrótce wynagrodzona. Niunia dopiła drinka, sięgnęła do nabijanej cekinami torebki i wyjęła paczkę niebieskich elemów. Tomasz wyczuł odpowiedni moment i błyskawicznym ruchem dobył z kieszeni zapalniczkę. Wystarczył ułamek sekundy, zgrabny ruch kciukiem i żółtawy płomień błysnął tuż przed końcówką cienkiego papierosa.

– Dzięki – rzuciła niunia wyniosłe, mierząc Tomasza podejrzliwym wzrokiem. Ten jednak przybrał starannie wystudiowaną minę totalnej obojętności.

– Może zapalisz? – Blondynka nieświadomie realizowała plan Tomasza.

– Dziękuję, nie palę.

– Nie palisz? – Z twarzy niuni znikła wyniosła mina, zastąpiona przez zdziwienie. – Więc po co ci zapalniczka?

– Pozwala mi zawierać ciekawe znajomości, takie jak ta.

– Naprawdę? – odparła z lekkim przekąsem. – Myślisz, że zawrzemy znajomość?

– Myślę, że gdybym zagadnął cię standardowym: „Jak się bawisz” albo „Co u ciebie”, splawiłabyś mnie jak tych kilku przede mną.

– Masz rację.

– Właśnie – ciągnął wesoło. – A dzięki zapalniczce rozmawiamy sobie jak starzy znajomi.

Blondynka uśmiechnęła się, zaciągając się papierosem.

– Może i coś w tym jest. A jaki jest dalszy scenariusz?

– Teraz powinienem cię zostawić na kilka minut, żebyś utrwaliła mnie w swojej główce. Ale to dość ryzykowne.

– Czemu?

– Bo nie ja jeden mam tu zapalniczkę.

Blondie roześmiała się, obdarzając urzędnika przychylnym spojrzeniem i dotykając lekko

ręką jego ramienia. Tomasz, zezując w prawo, zauważył, że trio spogląda nań z pełnym uznaniem. Ironiczne miny sprzed kwadransa uleciały jak dym z niuniowego elema.

– Julita. – Dziewczę wyciągnęło wypielęgowaną rączkę.

– Tomasz...

Rozmawiali przez chwilę, nachylając się ku sobie, by przekrzyczeć głośną muzykę. Gdy didżej puścił wolniejszy kawałek, Tomasz znów znalazł się na parkiecie, tym razem trzymając w objęciach uroczą blondynkę.

– Strasznie to skomplikowane z tą zapalniczką – mówiła mu do ucha, przywarłszy doń obfitą piersią. – A gdybym na przykład nie paliła?

– Cóż, nikt nie mówił, że będzie łatwo...

– Jaki jest następny krok?

– Teraz pocałunek, lekki i nieśmiały.

– Nie za wcześnie?

– Życie stygnie...

Przywarł ustami do jej warg. Nie opierała się zbyt mocno, bardziej dla zasady niż z przekonania. Przez chwilę wydawało mu się, że muzyka przycichła.

– Może spotkamy się jutro? – złamała w końcu ostatnią regułę nieprzystępności.

– Jutro nie mogę, Juli... Mam ważne spotkanie z pewnym panem.

– Jest równie absorbujący jak ja?

– Prawie. Z tym, że znacznie bardziej nerwowy.

Rozdział 9

– Pan jest chyba głuchy, panie ładny!

Studenci palący papierosy w przedsionku auli z zainteresowaniem przyglądali się profesorowi Leszczyńskiemu i stojącemu przed nim młodemu człowiekowi w szarym garniturze, z fryzurą rozgraniczną wypiełgnowanym przedziałkiem.

– Wczoraj wyraźnie chyba powiedziałem, że nie ma pan tu czego...

– Słyszałem – stanowczo przerwał Tomasz. – Chciałem się tylko upewnić, że pan profesor nie zmienił zdania. Był pan wczoraj zdenerwowany.

– Jak zawsze, kiedy wyczuwam zapach onuc – warknął nienawistnie Leszczyński. – Niech pan sobie zapamięta, panie ładny, że ja nie mam zwyczaju zmieniać zdania.

– Wiem – Tomasz zdecydował się wyciągnąć asa z rękawa – profesor Wilczek wspominał mi o tym.

Leszczyński zwięził oczy i oblał się purpurą.

– Po pierwsze nie profesor, a zwyczajny doktor – warczał na Tomasza jak doberman. – A po drugie to co ten... pan ma do rzeczy?

– Cóż – odparł Tomasz z niewinną miną – po pańskiej odmowie musiałem zwrócić się do innego specjalisty. Pan Wilczek to ponoć wschodząca gwiazda...

– Gwiazda! – prychnął profesor. – Ten... ten... ten kuglarz... ten... plagiator... Wschodząca gwiazda! Dobre sobie!

– Zabawne, zupełnie w podobnym tonie wypowiadał się o panu.

– Co takiego? Co ten wiejski felczer panu mówił?

– Wspominał, że to, czym się pan zajmuje, to... – Tomasz zmrużył oczy – ...zwykła amatorszczyzna.

– A to bydlę!

– Wspominał coś również o znachorstwie...

– Dość! – profesor przyciszył głos. Wziął Tomasza pod rękę i wyprowadził z zasięgu wzroku i słuchu przyglądających im się studentów.

– Gdzie ten pański trup?

– Dwa trupy, panie profesorze. W Białymstoku. W zakładzie medycyny sądowej.

– Dobrze – ustąpił w końcu profesor. – Nie będzie mi ten wypierdek wchodził w drogę.

Ale swoje zdanie na temat pańskich szefów podtrzymuję. I co więcej, powiem panu jeszcze, że...

– Samochód będzie oczekiwał na pana profesora jutro o ósmej – Tomasz przerwał Leszczyńskiemu. – Do widzenia.

Rozmowę w podobnym tonie Tomasz odbył pół godziny później ze wschodzącą gwiazdą toksykologii – doktorem Wilczkiem. Ten trzymał się dzielnie, choć opinie o znachorstwie i „pętających się po wydziale gówniarzach”, które jakoby rozpuszczał po uczelni profesor Leszczyński, sprawiły, że głos zaczął mu trochę drżeć. Tomasz pożegnał go uprzejmie, przypominając, by nie spóźnił się na samochód, który oczekiwać go będzie nazajutrz, punktualnie o godzinie dziewiątej.

Z poczuciem należycie spełnionego obowiązku Tomasz ruszył spieszonym krokiem ulicą Banacha. Szedł, przeklinając w duchu urzędników magistrackich, że nie ma z Akademią bezpośredniego połączenia ze Sztabem Generalnym.

Do Grójeckiej dotarł w ciągu kilku minut i na szczęście nie czekał długo.

Gdy tramwaj zatrzymał się z hałaśliwym zgrzytem na przystanku, Tomasz przepchnął się ze swą teczką i stanął w środku wypełnionego narodem wagonu. Motorniczy czekał, gdyż przednimi i tylnymi drzwiami gramoliły się do środka dwie siwe babuleńki. Referent ze współczuciem obserwował ich nieporadne ruchy, gdy obie – jedna w siwej garsonce, druga w wypłowiałym sweterku – wspinały się mozolnie po stromych schodach tramwaju. Babunia z lewej, dobrnąwszy na szczyt, rozejrzała się wokół za wolnym miejscem; to samo uczyniła ta z prawej. Siedzący pasażerowie zaczęli się jak na komendę interesować tym, co dzieje się za oknami, i nikt nie kwapił się, by ustąpić schorowanym kobiecynom miejsca, mimo iż jedna z nich podpieraa się laską.

Nagle siedzący w pobliżu Tomasza młodzieniec zerwał się energicznie, w ostatniej chwili decydując się na wyjście. Miejsce zwolniło się, co nie uszło uwadze obu staruszek, które prócz wolnej miejscówki dostrzegły również siebie nawzajem. Tomasz rzucił okiem na obie babunie i przestraszył się – nieporadna poczciwość momentalnie znikła z ich twarzy, zastąpiona przez groźne skupienie, z jakim ludożerca patrzy na tłustego Europejczyka. Pierwotne instynkty drzemiące w wątlých ciałach wzburzyły się, wyblakłe źrenice nabrały blasku, a sztuczne szczęki zacisnęły się w determinacji.

Niczym dwie narowiste klacze na Wielkiej Pardubickiej babunie wyskoczyły z boksów, tratując po drodze, kogo się dało. Garsonka energicznie odepchnęła dwie nastolatki i napała na stojącego samotnie grubego jegomościa. Wypłowiła zaś stratowała matkę z dzieckiem i pochyliwszy się do przodu, uderzyła rączką laski w splot słoneczny rośłego faceta w okularach. Ten zgiął się wpół, łapiąc się za brzuch, po to tylko, by zarobić masywną torbę w ciemność. Babina z lewej tymczasem, zdeptawszy zakonnicę, przewróciła jeszcze dzieciaka z plecakiem, osiągając chwilową przewagę. Nie doceniła jednak technicznego wykszolenia rywalki, która zaczepiwszy laską o poręcz, wyminęła efektywnym ślizgiem dziadunia z

siwym wąsem.

Tomasz z przerażeniem skonstatował, że jego osoba stanowi ostatnią przeszkodę na drodze do wolnego miejsca. Nim jednak zdążył obmyślić strategię defensywną, obie babuleńki natarły na niego. Garsonka przemyślnie pchnęła go w bok, żeby stracił równowagę i zatarasował drogę rywalce. Wypłowiwała chciała uczynić to samo, ale minęła się z celem i wpadła na grubiotką licealistkę, ostatecznie przegrywając gonitwę.

Zwycięska garsonka toczyła wokoło triumfalnym wzrokiem. Jej zdyszana konkurentka stała nad nią, sapiąc wściekle i popatrując na nią nienawistnie.

Tomasz z ulgą opuścił tramwaj, przyrzekając sobie w duchu nigdy nie ustąpić miejsca starszej osobie. Resztę drogi do sztabu odbył pieszo, mimo że lewe udo bolało go od starcia z wojowniczą garsonką.

Pozdrowił wzrokiem znajomego ochroniarza i zszedł na dół. Zbliżał się właśnie do zakrętu korytarza, gdy zza rogu usłyszał znajomy, rozgorączkowany głos magistra Woźniaka.

– ...powiadam panu, że to masoneria. Kto pańskim zdaniem manipuluje cenami ropy, co? Fartuszkowe bractwo, ot co!

– Prywatnie panu powiem, zgadzam się z panem w stu procentach – mówił drugi, również znajomy głos. – Rynkiem elektroniki też rządzą. Podobno spotykają się corocznie w którymś ze szwajcarskich zamków i ustalają granice postępu technicznego na dany rok!

– Otóż to – mówił Woźniak – a co najgorsze...

Tomasz chrząknął znacząco i skręcił w korytarz. Ku swemu zaskoczeniu obok Woźniaka, skulonego w konspiracyjnej pozie, dostrzegł barczystego i przystojnego pana Trębickiego z MSZ. Tomasz zauważył w oczach eleganckiego dyplomaty zażenowanie, w mgnieniu oka zatuszowane sztucznym uśmiechem.

– A, jest pan, panie Tomeczku – odezwał się zezowaty prawnik. – Myślałem, że już pana nie zobaczę.

– A to czemu? – bez zainteresowania spytał Tomasz.

– Tak szybko uciekł pan ze ślubu pani Lidki. Nawet nie zatańczył pan z panną młodą.

– Wie pan, panie magistrze – odparł młody – tańczenie z panną młodą to trochę jak ujeżdżanie kobyły przeznaczonej na odstrzał.

– Nigdy nie zrozumieć dzisiejszej młodzieży! Na co wy liczycie?

– Na razie na filiżankę herbaty.

– Wszędzie pana szukałem – odezwał się wreszcie Trębicki, wyciągając dłoń. – Bardzo się na pana gniewam, panie Tomku.

– Pan również? – Tomasz odwzajemnił uścisk. – Przejdźmy w takim razie do mnie wypalić fajkę pokoju. Chyba że panowie rozmawiają?

– Nie, nie – obaj zaprzeczyli gwałtownie, wymieniając wymowne spojrzenia.

Tomasz ruszył pierwszy, wskazując gościowi drogę i ukrywając ironiczny uśmiech – oto pozornie wytrawny dyplomata okazał się być zwolennikiem spiskowej teorii dziejów.

– Obiecywał pan rzetelną wymianę informacji – mówił gość z wyrzutem, kiwając głową czterem grubasom – a tymczasem o znalezieniu testamentu dowiedziałem się z prasy. Tak się nie robi, panie Tomku.

– Chciałem pana poinformować jak najszybciej – referent zgarnął papiery na kupę i włączył komputer – ale pismacy mnie wyprzedzili.

– Mogę wiedzieć, gdzie pan znalazł ten papier?

– W kominku.

Dyplomata wyszczerzył zęby w sztucznym uśmiechu. Oczy jednak pozostały zimne i czujne, co nie uszło uwadze Tomasza.

– Kiedy będę mógł zabrać testament?

– Jak to zabrać?

– Aby, rzecz jasna, dołączyć go do akt sprawy. A sprawa, jak pan wie, jest bardzo pilna. Szczególnie w kontekście spekulacji prasowych.

– Nie ulegajmy naciskom prasy, panie Januszu – zaproponował Tomasz. – Jutro odbędzie się ekshumacja zwłok Tarasa i tego listonosza, Wasiluka.

– Ekshumacja? – Dyplomata był wyraźnie poruszony. – Nie rozumiem. Wspomniał pan przecież, że to był zawał.

– To prawda. Chcę się jednak pozbyć wszelkich wątpliwości. Rozumie pan, że gra idzie o wielką stawkę.

– Rozumiem doskonale – powiedział Trębicki dobitnie.

Halbert odwrócił się i zaczął podsłuchiwać z wyraźnym zainteresowaniem.

– Testament tymczasem pozostanie u nas – mówił dalej Tomasz.

– Moi przełożeni nalegają – niecierpliwił się elegancik. – Wolałbym, aby wszystkie dokumenty zgromadzone były razem.

– Skoro nalegają, to poproszę swego dyrektora, by zadzwonił do pańskiego...

– Och nie, nie – jowialny uśmiech wrócił na twarz gościa – po cóż angażować w to dyrektorów. Działajmy tak jak do tej pory, dyskretnie.

– Testament trzyma dyrekcja głęboko w sejfie. Niech pan będzie spokojny, będziemy go strzec jak oka w głowie.

– Jestem tego pewien. Czy mógłbym dostać pański bezpośredni numer telefonu? Tak na wszelki wypadek.

– Oczywiście – Tomasz wygrzebał z szuflady swoją wizytówkę – proszę bardzo.

– Dziękuję. – Piękniś dźwignął się z siedzenia i popatrzył na Tomasza dziwnym wzrokiem. – Do zobaczenia.

Sztywnym ukłonem pożegnał otyłą czwórkę i pospiesznie wyszedł z pokoju.

– Goguś – orzekł Halbert, mieszając herbatę i dzwoniąc przy tym niemilosiernie.

– Rzeczywiście – przyznał Tomasz – nasz dyplomata pozuje na mądrzejszego, niż jest w rzeczywistości. Wyobraźcie sobie panowie, że przekonywał Woźniaka, że koncernami

elektronicznymi rządzi spiszek masonów.

Drzwi pokoju 240 uchyliły się nagle i do środka zgrabnym krokiem weszła panna Agata, ubrana tego dnia w śnieżnobiały garnitur, doskonale podkreślający jej talię. Tomasz nie bez przyjemności dyskretnie patrzył na wdzięczne ruchy jej kształtnych bioder. Z pozycji siedzącej dziewczyna wydała mu się jeszcze wyższa.

– Przyniosłam ci korespondencję, Tomku – oznajmiła, kładąc na biurku kilka kopert.

– Bardzo miło z twojej strony – odpowiedział referent, zdziwiony zarówno nadzwyczajną uprzejmością kadrowej, jak i faktem przejścia na „ty”.

– Powiedz mi... – zaczęła, zmysłowo wierząc obcasem w wykładzinie – kim jest ten pan, który wyszedł od ciebie? Ten blondyn.

Tomasz uśmiechnął się kwaśno, w lot zrozumiał przyczynę tej niezwyklej odmiany. Muskularna sylwetka najwyraźniej pobudziła hormony dwudziestosześcioletniej panny.

– To pan Janusz Trębicki z MSZ. Dyplomata.

– Dość ekscentryczny dyplomata – dorzucił Gałązka.

– Ekscentryczny! – prychnęła panna Agata. – Dla panów ekscentryczny jest ktoś, kto ubiera się ze smakiem i używa markowych perfum. Rzeczywiście w porównaniu z niektórymi urzędnikami może się to wydawać ekscentryczne.

Gałązka opuścił wzrok, nie chcąc narażać się na dalsze drwiny. Reszcie grubasów również nie w smak był cięty język pannicy.

– Jedna rzecz jest dziwna – odezwał się Halbert, unikając wzroku dziewczyny. – Zauważył pan?

– Co takiego? – ocknął się Tomasz.

– Nie spytał pana o listonosza.

– O listonosza?

– W rozmowie wspomniał pan o ekshumacji dwóch ciał. A on o tym drugim trupie nic nie wie.

– Rzeczywiście – Tomasz zmarszczył brwi.

– Co my właściwie o nim wiemy? – włączył się do rozmowy Czernicki swym piskliwym głosem. – Panna Agata ma w sumie rację. On nie wygląda na urzędnika. Okazywał panu legitymację?

– No... nie – przyznał Tomasz, wzruszając ramionami.

– No to jak tu wchodził?

– Przyszedł faks z MSZ. – Referent otworzył szufladę i wydobyl papier. – O proszę: „Osobą oddelegowaną do ww. sprawy jest pan Janusz Trębicki, legitymujący się dowodem osobistym nr...”

Grubasy przyjrzały się kartce papieru i zwróciły ją po chwili Tomaszowi. Panna Agata również rzuciła okiem na papier.

– To rzeczywiście dziwne – stwierdziła, wpatrując się w kartkę. – Nie zauważyliście

niczego dziwnego?

Tomasz ponownie przyjrzał się dokumentowi. W zabawie „wyteż wzrok” nigdy nie był zbyt biegły, lecz faks nie budził jego zastrzeżeń. Powiedział o tym personalnej.

– No to popatrz w lewy górny róg – zasugerowała. – Widzisz?

Tomasz skupił wzrok na logo Ministerstwa Spraw Zagranicznych, czerniejącym we wskazanym rogu. Czterech jegomościów, patrzących na tę scenę, ujrzało nagle, jak ich młody kolega zrywa się na równe nogi z okrzykiem: „O, kurwa!” i jak zahipnotyzowany gapi się w papier.

– Agatko – zawołał Tomasz – jesteś genialna! Ale... może to nic nie znaczy... może to błąd?

– Kto jak kto, ale MSZ nie robi takich błędów – odparła pewnym głosem. – Coś tu chyba śmierdzi, moi panowie.

Tomasz jak urzeczony wpatrywał się w róg faksu. Wyobrażony tam orzeł... nie miał korony. Urzędnik spojrział na kadrową z nieskrywanym podziwem, po czym odwrócił się błyskawicznie do komputera i wbił w przeglądarkę internetowy adres MSZ. Numer centrali ogólnej ministerstwa widniał w dole witryny internetowej.

– Ministerstwo Spraw Zagranicznych, proszę czekać... – usłyszał w słuchawce – *Ministry of Foreign Affairs, please wait...*

– Słucham? – głos telefonistki przerwał lingwistyczne popisy automatycznej sekretarki.

– Kłania się Sztab Generalny – powiedział Tomasz, przełączając aparat na głośnie mówienie, by reszta mogła słyszeć. – Chciałbym zapytać, czy pracuje u państwa pan Janusz Trębicki?

– Oczywiście – bez wahania potwierdziła telefonistka – ale musi pan zadzwonić później, nie ma go w pokoju. Jeśli pan sobie życzy, podam bezpośredni numer.

– Dobrze – odpowiedział Tomasz, machnąwszy ręką.

Czterej kompani wzruszyli tylko ramionami, a panna Agata skierowała się do wyjścia.

– Wewnętrzny 66-16 – odezwała się uprzejma pani – dział konserwacji.

Dziewczyna przystanąła w pół drogi do drzwi, a czterech muszkieterów odwróciło się w stronę aparatu.

– Konserwacji? – zdziwił się Tomasz.

– Napraw i konserwacji – sprecyzowała pani. – Pan Trębicki jest u nas hydraulikiem. Nie zastanie go pan w pokoju, wymienia rury w piwnicy.

– Czy to jedyny Janusz Trębicki w MSZ?

– Oczywiście – zdziwiła się telefonistka.

– Czy ma około trzydziestu pięciu lat i jest wysoki?

– Ma około sześćdziesiątki i prostatę – skorygowała telefonistka. – Czy pan się na pewno dobrze czuje, proszę pana?

– Nie, proszę pani. Czuję się fatalnie.

Rozdział 10

– Gdzie dyrektor?

Siedząca w sekretariacie Langer Agnieszka – ładniutka brunetka zastępująca Lidkę, która wraz ze swym ślubnym spędzała nad Balatonem miodowy miesiąc – wzruszyła ramionami, nie przestając piłować paznokci.

– Wszedł. Generał Pękala wezwał go przed chwilą.

– Czy widziała pani może przystojnego mięśniaka w sportowym garniturze?

Agnieszka spojrzała z politowaniem na Tomasza.

– Nie. Ale widziałam brzydkiego okularnika w zmiętym garniturze.

– Magistra Woźniaka?

– Chyba tak mi się przedstawił. Wszedł na chwilę do dyrektora, ale go nie zastał.

Tomasz ruszył pędem do dyrektorskiego gabinetu. Pani Aga próbowała mu przeszkodzić, ale Kujawa zagroził jej drogę swym zwalistym cielskiem. Młodzian wpadł do środka. Jego najczarniejsze podejrzenia sprawdziły się – szafa pancerna była otwarta.

– Testament! – wrzeszczał wściekle Tomasz, bezceremonialnie wyrzucając papiery szefa z sejfu. – Zabrał testament! Przeklęty okularnik! Panie Halbert! Do wyjścia! Kujawa i Czernicki na parking! Panie Gałązka! Dzwon pan do ochrony, niech nikogo nie wypuszczają – komenderował Tomasz, nie zdając sobie do końca sprawy, że dowodzi starszymi od siebie.

Puścił się pędem schodami w górę, nie patrząc nawet na anemiczne windy. Tuż za nim truchtał Halbert, pokonując mimo tuszy po dwa stopnie naraz. Tomasz gnał jak szalony, roztrącając grupkę oficerów marynarki ćmiących papierosy na półpiętrze i obalając rosłego komandora. Soczyste marynarskie bluzgi, które poleciały za nim, zdawały się dodawać mu skrzydeł.

– Zamknąć drzwi i nikogo nie wypuszczać! – wrzasnął Tomasz w twarz osłupiałemu emerytowi z ochrony.

Wraz z Halbertem wypadli przed budynek sztabu. Na dziedzińcu na pozór wszystko wyglądało normalnie – koło szlabanu leniwym krokiem przechadzał się wartownik.

– Nie widziałeś wysokiego blondyna w jasnej marynarce? – zapytał Tomasz żołnierza, z trudem łapiąc oddech.

– Gdybyś takiego zauważył, zatrzymaj – polecił mu Halbert – jakby się wyrywał, bierz go

pod lufę i na odwach. Rozumiesz?

Wszyscy grubi panowie w cywilnych ubraniach na terenie sztabu byli z reguły pułkownikami, więc żołnierzyk posłusznie trzasnął kopytami. Halbert z Tomaszem wypadli za szlaban, na ulicę Rakowiecką.

– Którędy? – zapytał referent.

– Ja w prawo, pan w lewo – zarządził Halbert i pobiegł wzdłuż szarego muru aresztu śledczego, widniejącego po drugiej stronie ulicy.

Tomasz skręcił w lewo, ale sąsiadujący ze sztabem długi biały biurowiec nie dawał uciekinierowi możliwości ukrycia się przed pościgiem. Referent ruszył więc w stronę prostopadłej do Rakowieckiej ulicy Kazimierzowskiej, przypatrując się twarzom przechodniów i szukając charakterystycznej barczystej sylwetki. Mijał właśnie narożną, obdrapaną kamienicę z numerem 85, gdy za plecami usłyszał narastający dźwięk syreny. Obok niego z piskiem opon zatrzymała się karetka reanimacyjna.

Sanitariusze wyskoczyli hałaśliwie i pobiegli w stronę prostokątnej bramy. Tomasz instynktownie ruszył za nimi i wpadł na zacienione podwórze, pełne gapiów w większości odzianych w dresy i domowe kaptcie. Spostrzegł, że lekarz pochyla się nad mężczyzną ubranym w ciemny garnitur, bezwładnie leżącym na chodniku obok niewielkiego żywopłotu. Lekarz wstał i skinąwszy na sanitariuszy, oznajmił beznamiętnym tonem:

– Zgon.

W tej samej chwili Tomasz dostrzegł twarz nieboszczyka. Sekundę później sam leżał na ziemi – nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a świat wokół wirował. Anemiczni sanitariusze podnieśli młodego, który drżał, wpatrując się w twarz trupa. Niebieską twarz.

Nabrzmiałe rysy uniemożliwiały w zasadzie identyfikację, ale Tomasz bez trudu rozpoznał znajome grube szkła magistra Woźniaka, spoczywające obok ciała.

– Pan jest z rodziny? – usłyszał jakby z daleka. Z trudem podniósł głowę, patrząc nieprzytomnie na pytającego doktora.

– Co? – powiedział, a raczej bezgłośnie poruszył ustami.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – tym samym beznamiętnym tonem ciągnął medyk – polecam panu sprawdzony i bardzo rzetelny zakład pogrzebowy.

Tomasz z niedowierzaniem spojrzął na ulotkę, którą lekarz wcisnął mu do ręki. Sekundę później konował jako trzeci z kolei zaliczył głębę. Celny cios Tomasza pozbawił medyka pewności siebie, równowagi i górnej jedyńki.

Sanitariusze rzucili się na pomoc szefowi, ale wściekły, nieludzki wyraz twarzy referenta osadził ich w bezpiecznej odległości. Ograniczyli się więc tylko do podniesienia z ziemi nieszczęsnego lekarza, który z jękiem trzymał się za zakrwawioną facjatę.

– Sapałafisz mi fa to! – sepleniał wściekle. – Ja fie do fądu podam... fy gnoju...

Tomasz oparł się o mur kamienicy, patrząc na upiornie wykrzywioną twarz Woźniaka. Nogi ponownie ugięły się pod nim, ale w tej samej chwili ktoś silnie chwycił go za ramię.

Młodzian nie miał siły, żeby protestować. Odwrócił się tylko i ujrzał twarz Halberta. Śmiertelnie poważną twarz.

* * *

Wypił pół szklanki i z niedowierzaniem spojrzął na etykietkę butelki. Po tym, co widział, wódka wchodziła mu jak woda. Langer zakręcił flaszkę i schował do sejfu. Po kradzieży testamentu była ona najcenniejszą rzeczą w pancерnej kasie dyrektora.

– Sam nie mógł wejść do sekretariatu – mówił Tomasz, uspokoiwszy nieco nerwy – wysłał więc pewnie Woźniaka. Wcześniej zadzwonił do pańskiej sekretarki, podał się za szefa sztabu i wyciągnął pana z pokoju. Reszta była już prosta. Śmiertelnie prosta.

– Pękła od dwóch dni jest w kwaterze NATO w Brukseli. – Langer walnął pięścią w stół.
– Że też o tym zapomniałem!

– O zamknięciu sejfu też pan zapomniał – mruknął Gałązka.

Langer popatrzył na niego ponuro, ale nie zaproponował.

– A skąd pan wiedział, co się dzieje? – Dyrektor skierował rozmowę na bezpieczniejszy tor.

– W MSZ, owszem, pracuje Janusz Trębicki – odpowiedział referent – ale jest tam hydraulikiem. Faks, który przyszedł do pana rzekomo z Alei Szucha, był sfałszowany. Zauważyłem to... dzięki panie Agacie.

Langer zaczął masować sobie skronie.

– Nieznajomy człowiek chodził sobie po budynku Sztabu Generalnego jak po dworcu – parsknął Halbert, mierząc szefa ostrym spojrzeniem – na podstawie faksu, który sporządził zapewne na domowej drukarce. A wysłał pewnie z poczty. I nikomu nie przyszło do głowy...

– Dosyć – warknął Langer. – Wyliczaniem win zajmiemy się potem. No cóż, najmądrzejsza okazała się długonoga blondynka. Co teraz?

– Ten testament kosztował już życie trzech ludzi – oświadczył Tomasz. – Stąd wniosek, że jest dla naszego przyjaciela niezwykle cenny. Zdaje się, panie dyrektorze, że miliardowe wizje Tarasa nie były fikcją.

– Więc?

– Jeśli pan Tomek ma rację – zahuczał Gałązka – to na miejscu tego perfumowanego bydlaka ulotniłbym się z kraju.

– Ulotnił! – krzyknął Tomasz, zerwawszy się z miejsca. – Pan jest genialny, panie Kazimierzu!

– No cóż – rzekł grubas, mile polechtany pochlebstwem – ma się tę główkę na...

– Lotnisko, panie dyrektorze! – mówił rozgorączkowany referent. – Bo niby jak się ma ulotnić?

Langer nie czekał na dalsze wyjaśnienia. Porwał słuchawkę telefonu i wykręcił krótki

pięciocyfrowy numer na linii wojskowej.

– Langer. Z admirałem Stankiewiczem.

– Uuu... – mruknął Halbert, podnosząc się z krzesła.

Gałązka podniósł się również i dał Tomaszowi dyskretny znak. Wyszli z gabinetu, zostawiając dyrektora samego.

Nazwisko kontradmirała Karola Stankiewicza – szefa Wojskowych Służb Wywiadowczych – budziło zrozumiały respekt. Pedantyczny, systematyczny i nadzwyczaj inteligentny Stankiewicz wyróżniał się pozytywnie na tle generalskiej szarżyzny. Jak na oficera marynarki przystało, z zasady opierał się wszelkim burzom – zwłaszcza tym wywoływanym przez polityków, którzy chcieli mieszać w kotle wojskowego wywiadu i kontrwywiadu. W przeciwieństwie do swoich poprzedników, Stankiewicz nie rozpoczął urzędowania od kadrowego tsunami i nie wywalił na pysk wszystkich oficerów, którzy z jakichś względów mu nie pasowali. Pozbył się jedynie tak zwanych „bumerangów”, czyli oficerów odchodzących wraz z jedną opcją polityczną i wracających do służb po następnych wyborach. Pod ścisłą kontrolę wziął tych, którzy po odejściu rozkręcali własne biznesy, korzystając z wiedzy i znajomości z czasów służby. Tym, którym wydawało się, że są nieusuwalni, udowodnił, jak bardzo się mylą. Dał szansę wykazania się młodym i rzutkim oficerom, wysyłając na emerytury starszych, nierzadko ogarniętych psychozą i z nawyku szpiegujących po pracy nawet własne żony czy sąsiadów.

Porządkując sprawy zaniedbane, na które jego poprzednikom uwikłanym w polityczne gierki zabrakło czasu, wprowadził dyscyplinę w niejawnych finansach wywiadu. Politykierom dał po łapach, ograniczając dostęp do niesławnych teczek i archiwów. Uporządkował merytoryczne raporty i analizy, dyskretnie zaś puszczał z dymem trzymane na wszelki wypadek kwity, dotyczące życia prywatnego obserwowanych i rozlicznych słabości, które przejawiali. Tylko on wiedział, ilu obrońców moralności miało na sumieniu nieślubne dzieci, ilu zaciekłych homofobów było ukrytymi homoseksualistami i ilu bojowników o równouprawnienie znęcało się nad żonami w domowym zaciszu.

Bronił niezależności wywiadu wojskowego, starając się załagodzić wieczne spory z „cywilnymi” agencjami wywiadu i kontrwywiadu i wbijając w tępe polityczne głowy starą prawdę, że konkurencja na wywiadowczym rynku jest wskazana i pożyteczna dla państwa. Jednakże to, co było pożyteczne dla państwa, rzadko bywało pożyteczne dla polityków, stąd też działania agencji wciąż przypominały pałacowe intrygi z czasów saskich, a oficerowie niczym dworacy zabiegali o łaski panującego prezydenta i premiera, podsuwając im smakowite wywiadowcze kąski, intrygując i spiskując przeciwko sobie. Gromadzone informacje nie były więc należycie weryfikowane i rozpełzały się po urzędach i kancelariach, czasem budząc zainteresowanie, a czasem lądując w koszu.

Powszechne zdziwienie budził fakt, że mimo ciągłego użerania się z politykami wystarczyło mu jeszcze czasu na zorganizowanie efektywnej służby wywiadowczej, mogącej

się poszczycić jedną z najbardziej profesjonalnych sieci agenturalnych. Żadne kontyngenty czy misje wojskowe rozsiane po świecie nie miały takiej ochrony wywiadowczej jak jednostki polskie. Mało który wywiad dysponował takimi informacjami jak ludzie Stankiewicza, a o szczegółowych raportach i analizach z newralgicznych zakątków globu CIA, MI6, rosyjska FSB czy izraelski Mossad mogły sobie tylko pomarzyć.

Rozmowa z szefem wywiadu wojskowego zajęła pułkownikowi Langerowi nie więcej niż trzy minuty. Oczekujący pod drzwiami ze zdumieniem ujrzeni swego szefa bez spodni, z rozpiętym mundurem, nerwowo rozsupełającego węzeł krawatu.

– Pani Agnieszko – zwrócił się do tymczasowej sekretarki, wyraźnie skonsternowanej widokiem szefa w bokserkach – niech mi natychmiast podstawią samochód. Wy, panowie, pojedziecie ze mną.

Po kwadransie lancia Langer, grzejąca już silnik na dziedzińcu sztabu, ruszyła z piskiem opon w stronę Okęcia.

– Na miejscu będą na nas czekać agenci WSW – mówił szef ubrany w szary garnitur. – Starty wszystkich samolotów zostały opóźnione, a jako przyczynę podano zbliżającą się do Warszawy burzę. Służba ochrony lotniska i antyterrorystyczna Straży Ochrony Pogranicza są w pogotowiu.

– Okęcie nie jest duże – mruknął Halbert. – Jeśli jeszcze nie odleciał, znajdziemy go.

– Nie odleciał – odezwał się Tomasz, wciśnięty na tylnym siedzeniu między dwóch grubasów. – Nie mógł wiedzieć, kiedy nadarzy się okazja, żeby wykraść testament. Nie mógł więc wcześniej zarezerwować lotu. Założę się, że wybrał pierwszy lepszy, byleby wywieźć papier za granicę.

Lancia przedzierała się przez zakorkowaną jak zwykle ulicę Żwirki i Wigury. Langer skręcił w lewo, ominął podjazd pod terminal główny i zatrzymał samochód na parkingu podziemnym. Natychmiast zbliżyło się do nich dwóch facetów w garniturach.

– Pan Langer? – zapytał jeden z nich, młody i krępy, z imponującymi zakolami.

– Langer – potwierdził dyrektor – a to moi współpracownicy.

– Porucznik Mirski. Podejrzany jest w hali odlotów. Na terenie lotniska nie ma innego osobnika odpowiadającego rysopisowi. Musimy zachować ostrożność, bo na terminalu jest sporo osób. Podejrzany może być uzbrojony.

– Nie sadzę – mądrył się Tomasz. – Nie ryzykowałby wnoszenia broni na lotnisko, wiedząc, że zostanie sprawdzony.

Mirski przyjrzał się uważniej twarzy młodziana.

– Możliwe – odparł w końcu – ale musimy być gotowi na taką ewentualność.

Przeszli szybkim krokiem do terminala lotów krajowych, a stamtąd do biura szefa ochrony lotniska. W wąskim i ciasnym pomieszczeniu na jednej ze ścian ustawiono monitory kamer przemysłowych, lustrujących nie tylko wnętrza hal, ale także hangary remontowe, pasy startowe i parkingi portu lotniczego. Mirski podszedł do jednego z monitorów i puknął weń

palcem.

– Ten?

– Ten – potwierdzili Tomasz i Gałązka. Halbert potwierdził po chwili, założywszy na nos okulary.

– Czwórka i piątka, przygotować się – rzucił Mirski do radiotelefonu. – Pacjent gotowy, powtarzam, pacjent gotowy...

* * *

Trębicki siedział w barze w hali odlotów na górnym piętrze terminala. Raz po raz spoglądał na zegarek, nieprofesjonalnie zdradzając nerwowość. Wiedział, że przyjeżdżając na lotnisko, bardzo ryzykuje. Zleceniodawca na pewno nie byłby zadowolony z takiej niefrasobliwości. Ale on zdawał sobie sprawę z niewydolności polskich służb tak zwanego „szybkiego reagowania”. Wciąż miał spore szanse, żeby opuścić Polskę i wywieźć cenny dokument.

Otworzył paszport i przyjrzał się swojemu zdjęciu. Hermann Tobias, obywatel Republiki Austrii, powtórzył w myślach. Dopił *cappuccino* i przez chwilę patrzył na okrągłą lampę baru, wokół której wirowały dwa niewielkie modele samolocików. Następnie rozejrzał się po hali odlotów, ale nie zauważył niczego niepokojącego, może z wyjątkiem dwóch siedzących obok przy stoliku funkcjonariuszy ochrony lotniska. Odziani w zielone mundury i uzbrojeni w pistolety glock strażnicy mieli najwyraźniej przerwę i dyskutowali zawzięcie o mającym się odbyć wieczorem meczu finałów Pucharu Polski między Legią Warszawa a Lechem Poznań. Obok nad górą walizek siedziało małżeństwo, strofując właśnie dwójkę małych dzieci – chłopca i dziewczynkę, zaintrygowanych siedzącym niedaleko ortodoksyjnym Żydem.

Spikerka po raz kolejny poinformowała pasażerów zmysłowym głosem, że loty do Wiednia i do Londynu będą miały nieznaczne opóźnienie. Zniecierpliwiony Trębicki podniósł się z krzesła i ruszył w stronę wiszącej w centralnym punkcie tablicy odlotów.

Miał właśnie wyminąć ruchome schody, gdy nagle cofnął się i powoli wrócił na swoje miejsce. Nie wiadomo dokładnie, co zaszło w tamtej chwili. Porucznik Mirski był doświadczonym agentem wywiadu wojskowego, dlatego po zakończeniu akcji najpierw omówił ze swymi ludźmi wszystkie ewentualności i popełnione błędy, udzielił krótkiego z konieczności instruktażu, a dopiero potem umarł. Zdążył jeszcze zwrócić uwagę na niewłaściwe rozmieszczenie agentów w hali dworca lotniczego i łatwość, z jaką podejrzany zdobył broń. Później lekarz zamknął mu oczy.

Trębicki szedł w stronę kawiarni spokojnym krokiem, skupiając wzrok na jednym szczególe – rękojeści pistoletu, wystającej z kabury obzerającego się ochroniarza.

Błyskawicznie schylił się i wyszarpnął pistolet z kabury. Właściciel nie zdążył się nawet obejrzeć, gdy napastnik rękojeścią trzasnął go w skroń. Drugi ochroniarz jak

zahipnotyzowany wpatrywał się w rosłego blondyna. Sięgnął po glocka. Sekundę za późno. Dwa strzały i bezwładne ciało z powrotem opadło na krzesło.

Ostry rozkaz Mirskiego zagłuszył wrzaski zgromadzonych w hali odlotów ludzi. Rozstawieni agenci ruszyli w stronę baru. Trębicki odwrócił się i błyskawicznie podjął decyzję. Lewą ręką chwycił w pół stojącą obok dziewczynkę i strzelił jej ojcu w nogę.

Przeraźliwy pisk małej. Pasażerowie w hali zastygli na moment. Agent stojący pod schodami podniósł pistolet. Dziecko. Następna sekunda wahania. Huk wystrzału. Trafiony w brzuch, skulił się i plunął krwią.

Mirski ruchem ręki wstrzymał swych ludzi; blondyn, zasłaniając się dzieckiem, biegł w kierunku wyjścia do strefy wolnocłowej. Wymalowana na podłodze żółta linia rozgałęziała się tam na dwie odnogi.

Blondyn skręcił w lewo. Roztrącając pasażerów, mijał sklepy z alkoholem i perfumami. Ludzie oczekujący na odlot spokojnie siedzieli lub robili zakupy, najwyraźniej nie słysząc strzałów w hali odlotów. Biegący mężczyzna z płaczącym dzieckiem nie wywołał tu żadnej sensacji – ot, roztargniony tatuś nie chce spóźnić się na samolot.

„Tatuś” wpadł w tłum przed wyjściem numer 1. Ogonek ruszał się niemrawo. Przy bramce wykrywającej metale jakaś babina dyskutowała z funkcjonariuszem, stanowczo odmawiając oddania pilniczka do paznokci. Oczekujący na kontrolę bagażu podręcznego pasażerowie, w większości młodzież, przepuścili Trębickiego, dopingując z cicha twardą babcie.

– To są niebezpieczne przedmioty, proszę pani – tłumaczył spokojnie dryblas w zielonym mundurze. – Przepisy wyraźnie mówią...

Spojrzał na spoconego mężczyznę z dzieckiem, który nagle przed nim wyrósł. Wrzask dziewczynki zagłuszył tłumaczenia babci i ostatecznie zirytował strażnika.

– Proszę się cofnąć! – huknął, aż mała przestała płakać.

– Co panu przeszkadza pilniczek! – załamywała ręce babina. – Przecież nim pana nie zabiję!

Trębicki obejrzał się za siebie. Biegący w jego stronę agenci byli coraz bliżej. Nie miał już czasu.

– No przecież pana nie zabiję! – wrzeszczała babunia.

– Pani pozwoli, że ją wyręczę.

Zdziwione spojrzenie strażnika. Lufa przytknięta do podbródka. Huk wystrzału. Pocisk odłupał dryblasowi pół czaszki. Zanim blondyn zastrzelił drugiego strażnika, przez głowę przeleciała mu groteskowa myśl, że ten pierwszy biedak musiał strasznie się czuć, umierając z trzymanym w rękę pilniczkiem do paznokci. Strzał między oczy rzucił drugiego na taśmociąg bagażu podręcznego. Szarpane konwulsjami ciało zjechało z taśmociągu i z łoskotem upadło na ziemię.

Blondyn puścił małą i rzucił się w stronę schodów prowadzących w dół. Mirski i jego

ludzie pobiegli za nim, mijając stojącą w kałuży krwi dziewczynkę, która z ciekawością przyglądała się drgającym jeszcze ciałom strażników.

Blondyn odepchnął stewardesę i wypadł na płytę lotniska. W stojącym przy wejściu autokarze lotniskowym było tylko kilkoro pasażerów. Rzucił się w kierunku szoferki i szarpnął za drzwi.

– Panie, z tyłu się wsiada... – zdążył powiedzieć lekko zdziwiony kierowca, zanim wyleciał na płytę lotniska.

Autokar ruszył. Mirski, zbiegający po schodach, wyskoczył na płytę i rzucił się w pogoń za autobusem. Ten, mimo wysiłków samozwańczego kierowcy, toczył się niemrawo, powoli nabierając prędkości. Trębicki dostrzegł we wstecznym lusterku biegnących za nim agentów. Mirski dopadł tylnych, wciąż otwartych drzwi i wskoczył do autokaru. Blondyn, trzymając nogę na gazie, szarpnął silnie kierownicą.

Porucznik strzelił, ale nagły skręt autokaru rzucił go na ścianę. Płaska przestrzeń lotniska pozwoliła Trębickiemu na swobodne manewrowanie autokarem bez obawy, że zderzy się z przeszkodą. Odwrócił się szybko i nie zdejmując nogi z gazu, wycelował.

Jedenaście naboń. Stary nawyk liczenia amunicji. Dziesięć, dziewięć. Pierwszy strzaskał szybę dzielącą kierowcę od pasażerów, drasnął tylko Mirskiego i ugodził w brzuch stojącą obok niego starszą kobietę. Drugi nie chybił. Agent opadł na kolana i upuściwszy broń, zwałił się na bok.

Autokar skręcił w lewo łagodnym łukiem i nabrał prędkości. Pozostali agenci zorientowali się, że pieszo terrorysty nie dogonią, zatrzymali więc przejeżdżający samochód „Follow me” i zaczęli się w nim upychać. Od autokaru dzielił ich znaczny dystans. Trębicki skręcił w prawo – przed nim rozciągał się pas startowy. Ruszył jego skrajem. Przez cały czas obserwował struchlałych pasażerów we wstecznym lusterku, pilnując, by któremuś z nich nie przyszła ochota odegrać roli bohatera i skorzystać z pistoletu agenta. Silnik wył przeraźliwie, szyby klekotały. W oddali majaczyło zielone ogrodzenie lotniska.

Naprzeciw, nad drzewami terrorysta ujrzał lądujący właśnie samolot. Pilot zauważył jadący mu na spotkanie autokar i posadził maszynę, odbijając jednocześnie na prawą część pasa startowego. W eter popłynęły ciężkie bluzgi pod adresem kontroli lotów w wieży. Samolot i autokar wyminęły się bezkolizyjnie.

Hamulec. Rozpędzone pudło zatrzymało się z piskiem, znacząc oponami czarny ślad na pasie startowym. Blondyn przeskoczył do części dla pasażerów. Postrzelony porucznik jęczał. Terrorysta porwał jego pistolet i ruszył biegiem w stronę ogrodzenia. Bez trudu wspiął się na stalową siatkę i przeskoczył na teren parkingu pobliskiego supermarketu budowlanego. Agenci, którzy minutę później dojechali na miejsce, ujrzeli jedynie kilku klientów, pchających wyładowane towarem wózki.

* * *

– Wybór tego resortu to najgorsza decyzja w moim życiu politycznym!

Zdecydowana deklaracja ministra Połtawy, wygłoszona cholerycznym piskiem, spotkała się z umiarkowanym zainteresowaniem słuchaczy. Langer zachował kamienną twarz, Tomasz westchnął, a Halbert uśmiechnął się złośliwie.

– I pomyśleć, że premier proponował mi resort polityki społecznej! Czysta, spokojna robota, rozdawanie zasiłków, wizyty w sierocińcach, zdjęcia z dziećmi chorymi na białaczkę dla poprawy wizerunku w mediach... ale nie! Ja musiałem wybrać MON! Czort mnie podkusił, słowo daję, czort!

– Panie ministrze – zaczął Langer, ale rudzielec najwyraźniej nie wyładował jeszcze emocji.

– Pan mi przynosi pecha! Pan i pański departament! To pan będzie tłumaczył się przed premierem z tej kompromitacji! Ja nie odezwę się nawet słowem!

– I o to właśnie chodzi – Langer wszedł pryncypałowi w słowo. – Niech się pan nie martwi, panie ministrze. Złapiemy go! To tylko kwestia czasu.

– Pominę już to, że na pański rozkaz wartownik o mało nie zastrzelił dziś norweskiego attache wojskowego, który wychodził z budynku. Podobno kazał pan żołnierzowi strzelać do wysokich blondynów?

Halbert chrząknął niedwuznacznie. W gabinecie na moment zapadła cisza.

– Wpędzicie mnie do grobu, panowie oficerowie – oświadczył minister, wstając i dając znak, że rozmowa zakończona. – Następnym waszym zadaniem będzie już tylko zredagowanie mojego nekrologu.

Ostatnia wzmianka ministra sprawiła, że Halbert z Tomaszem uśmiechnęli się mimo woli. Gra w denata nabrałaby rumieńców, gdyby stawką był opasły od ministerialnych tytułów nekrolog Połtawy.

– Przypominam, że odprawa u premiera odbędzie się o dwudziestej pierwszej – warknął minister. – I radzę panu, panie dyrektorze, mieć w zanadrzu jakieś dobre wiadomości.

– Czasem mam wrażenie – mówił Langer, idąc korytarzem – że niektórzy ściągają na siebie wszelkie nieszczęścia, by inni mogli żyć szczęśliwie. Nasz minister z pewnością się do takich zalicza.

* * *

Dotknął ramienia i stęknął boleśnie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że rękaw marynarki jest naderwany i kula drasnęła go w ramię. Rozejrzał się pospiesznie po mieszkaniu, które wynajął kilka dni wcześniej, podając się za nauczyciela WF. Specjalnie wyszukał w „Gazecie Wybranej” tanią kwatere, którą można było wynająć na lewo, bez żadnej umowy. Dzięki temu zyskał gwarancję, że właścicielka, mrukliwa wdowa, nie będzie rozpowiadać na lewo i

prawo o nowym gościu. Targowanie się o cenę i wpłata tylko jednej trzeciej zaliczki przyprawiły babę o zły humor, ale ponad wszelką wątpliwość utwierdziły ją w przekonaniu, że ma do czynienia z biednym nauczycielskim gołodupcem.

Prowizorycznie opatrzył sobie ranę przy pomocy kawałka papieru toaletowego i sznurówki. Pospiesznie spakował do torby nieliczne rzeczy osobiste, ze złością wspominając ucieczkę z Okęcia.

Ogrodzenie lotniska pokonał bez trudu. Dobiegł do przejścia dla pieszych, prowadzącego do pętli tramwajowej. Zwolnił i zatrzymał się, czekając niecierpliwie, aż czerwony, stojący na baczność ludzik ustąpi miejsca maszerującemu – zielonemu. Obok niego skupiła się gromadka ludzi.

Zmiana. Przechodnie ruszyli w stronę przystanku. On stał cierpliwie, czekając, aż zbliżające się samochody zatrzymają się przed przejściem. Na środkowym pasie stanął zielony opel astra. Sekundę później z lekkim piskiem opon na lewym pasie zatrzymał się czarny renauld megane. Na prawym majestatycznie stanęła chabrowa skoda fabia. Blondyn ruszył w końcu skrajem pasów, niemal ocierając się nogawką o zderzaki samochodów i dyskretnie lustrując kierowców. Przeczucie go nie myliło – jedynie narwaniec w megance nie miał zapiętych pasów.

Trębicki skręcił nagle tuż przed krawężnikiem i błyskawicznie doskoczył do czarnego renauld. Sekunda – i umięśniony japiszon w szarym garniturze wyleciał na ulicę wraz ze swą komórką. Jego miejsce zajął blondyn, nie zapomniawszy wprawdzie rozgnieść telefonu obcasem. Renault ruszył z piskiem opon, mknąc Aleją Krakowską w stronę centrum. Kierowcy stojący przed przejściem, przerażeni i oszołomieni rozegraną przed chwilą sceną, poczekali na zmianę świateł i ruszyli, starannie wymijając gramolącego się po asfalcie nieszczęśnika.

Trębicki nie miał jednak okazji do sprawdzenia maksymalnych osiągnięć wozu – już na wysokości Zakładów Lotniczych wpadł w gigantyczny korek, ciągnący się aż do widniejącego na horyzoncie wiaduktu. Ustawione obok żółte tablice informowały o remoncie Alei Krakowskiej od ulicy Hynka do wiaduktu kolejowego linii radomskiej.

Wściekał się, bo czas naglił. Okoliczna dzielnica z pewnością zamykana była właśnie przez policję, jego rysopis znały już zapewne lokalne patrole, a tymczasem on tkwił w ślamazarnym korku ulicznym. Na dodatek nieszczęśliwy właściciel skradzionego renauld z pewnością lada moment zawiadomi policję.

Cenne sekundy płynęły, a on poruszał się w żółtym tempie. Kroplą, która przepelniła czarę bulgocącej goryczy, był kulawy emeryt, który wyprzedził go, kuśtykając po chodniku. Pisk opon wyrwał sąsiadów z odrętwienia. Pobudził również niemrawego dziadka, który nadzwyczaj chyżo umknął spod kół Trębickiego, gdy ten wjechał na chodnik. Pokonał około dwustu metrów i spędzając z trotuaru nielicznych przechodniów, wjechał na prostopadłą do Alei Krakowskiej ulicę Hynka. Tu samochodów było znacznie mniej.

Jechał, katując silnik, z każdą chwilą oddalając się od lotniska i klnąc siebie samego za

nieostrożność. Nie docenił tajniaków, którzy szybko odnaleźli ciało łatwownego krótkowidza i jeszcze szybciej obstawili lotnisko. Sądził, że zanim uporają się z procedurami, on już dawno podziwiać będzie wiedeński Schonbrunn, zastanawiając się nad korzystnym ulokowaniem okrągłej sumy, przesłanej przez zleceniodawcę na jego konto w Lichtensteinie. Sumy, która jego własny testament uczyniłaby przedmiotem pożądania.

Wjeżdżał właśnie na wiadukt, gdy jego oczom ukazał się nadzwyczaj niemiły widok – trzy policyjne radiowozy ustawiały się w poprzek jezdni, blokując oba pasy ruchu. Samochody jadące przed nim przyhamowały, zmuszając i jego do zatrzymania wozu. Stał na szczycie wiaduktu w pewnym oddaleniu od reszty. Policjanci, którzy sto metrów dalej z bronią w ręku ostrożnie lustrowali zatrzymujące się samochody, zbliżali się szybko.

Rozejrzał się na boki. Z prawej strony dostrzegł sunący w jego kierunku żółto-niebieski pociąg podmiejski, zmierzający do położonej pod wiaduktem stacji. Podjął decyzję. Powoli otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Policjant podniósł głowę. Trębicki nie wiedział, czy to przecucie kazało gliniarzowi podnieść broń, czy może jego rysopis znany był już policji. Poderwał glocka. Odblaskowa jaskrawożółta kamizelka, w którą ubrany był gliniarz, stanowiła doskonały cel. Dwa strzały. Policjant powoli osunął się na ziemię. Huk utonął w łoskocie wtaczającego się na stację pociągu.

Ostrzeliwując się, blondyn ruszył do schodów prowadzących z wiaduktu na stację. Pociąg zatrzymał się właśnie na peronie, piszcząc niemiłosiernie hamulcami. Trębicki rzucił pistolet na ziemię i puścił się pędem po schodach. Z pociągu wyszło ledwie kilka osób i blondyn wiedział, że lada chwila skład ruszy. Biegący za nim gliniarze również to wiedzieli. Dwóch zatrzymało się na wiadukcie przy postrzelonym koledze, dwóch pozostałych gonilo blondyna. Nie mieli jednak szans – Trębicki wskakiwał właśnie do odjeżdżającego pociągu, podczas gdy oni byli dopiero na szczycie schodów.

Oddychał głęboko, stojąc w przejściu między przedziałami. Pociąg był wypełniony ludźmi, ale mało kto zainteresował się dyszącym pasażerem. Jedyne gruba babina, stojąca okraciem nad wypchaną torbą, uśmiechnęła się życzliwie.

– Następny pociąg dopiero za pół godziny. Miał pan szczęście.

– Nawet pani sobie nie wyobraża, jakie – mruknął w odpowiedzi, wciąż dysząc.

Teraz skończył pakować torbę i omiół wzrokiem mieszkanie. Nie mógł dłużej tu zostać – gdyby ścigająca go policja zdecydowała się opublikować portret pamięciowy, z pewnością rozpoznałby go ktoś ze wścibskich mieszkańców blokowiska. Na tę noc musiał znaleźć bezpieczniejszą kryjówkę.

Opatrzona rana pulsowała bólem, ale nie zwracał na to większej uwagi. Jak na ubogiego, ale uczciwego nauczyciela przystało, odliczył należność za pokój do końca miesiąca i położył banknoty na stole, przyciskając je szklanką. Nie lubił mieć długów.

Usiadł i wyciągnął papierosa. Zawsze zastanawiał się, dlaczego w reklamach papierosów

nie podkreślano walorów intelektualnych nikotyny. Poprawność polityczna nigdy nie dopuściłaby do takich badań, ale był pewny, że gdyby je przeprowadzono, udowodniono by ponad wszelką wątpliwość, że palacze mają o wiele bardziej kreatywne umysły niż niepalący. Od kiedy sięgał pamięcią, „dymek” zawsze rozjaśniał mu umysł i pozwalał zgrabnie łączyć z pozoru nieistotne fakty w jedną całość.

Owymi z pozoru nieistotnymi faktami, które magiczna moc nikotyny połączyła w logiczny łańcuch, były: wiszący nad drzwiami krucyfiks, jego ciemnoszara koszula i przykrywająca telewizor biała serweta.

* * *

Szuranie krzeseł w sali posiedzeń ucichło. Sala, znajdująca się na czwartym piętrze południowego skrzydła Urzędu Rady Ministrów, nazwana została przed kilkoma miesiącami imieniem Frycza Modrzewskiego. Wydawała się przytulna, choć sam Frycz przewracał się pewnie w grobie, widząc, kto realizuje w praktyce jego teoretyczne wskazówki zawarte w monumentalnym dziele *O poprawie Rzeczypospolitej*.

Tomasz rozglądał się ciekawie po pomieszczeniu. Oprócz godła państwowego, zawieszonego pomiędzy dwoma lustrami, ascetyczny wystrój ożywiały tylko dwie draceny stojące w donicach pod oknami oraz ustawiony centralnie bukiet „Jęzorów teściowej” przetykanych białymi różami. Znana z migawek telewizyjnych sala, odmalowana w kolorze kawy z mlekiem, z trudem mieściła w czasie posiedzeń całą Radę Ministrów. Premier Tkaczyk, za radą speców od *public relations*, zdecydował się jednak na przeniesienie obrad rządu z dużej, tak zwanej Sali Świetlikowej, do mniejszej, argumentując, że przyniesie to oszczędności. Próbował uspokoić tym symbolicznym gestem społeczeństwo, podminowane ostatnimi cięciami socjalnymi. Oszczędnościowa propaganda premiera jednak nie wypaliła, gdyż mniej więcej w tym samym czasie dziennikarze „SuperNewsa” podliczyli, że komplet firanek do jego gabinetu kosztował tyle, co roczne minimum socjalne czteroosobowej rodziny.

Tego wieczoru miejsca było dosyć, a kremowe krzesła szwedzkiego wzoru, zajmowane zwykle przez ministrów, okupowało kilku panów o smętnych twarzach. Naprzeciw Tomasza przycupnął dyskretnie nadinspektor Graczyk – komendant główny policji. Obok niego zasiedli nierozłączni jak zwykle generałowie Waław Janusewicz i Robert Barlicki, szefujący odpowiednio Agencji Bezpieczeństwa Państwa i Agencji Wywiadowczej.

Po przeciwnej stronie stołu, po lewej ręce premiera siedział generał Piętka, komendant główny Straży Ochrony Pogranicza. Za nim zajmował miejsce ryży minister obrony oraz towarzyszący mu pułkownik Langer z Tomaszem. Dalej z kamienną twarzą tkwił na krześle, przybyły w zastępstwie ministra spraw zagranicznych, podsekretarz stanu Antoni Wielgosz. U szczytu stołu, *vis-a-vis* premiera, zasiadł elegancki jak zwykle kontradmirał Stankiewicz,

szef Wojskowych Służb Wywiadowczych.

Z niewyraźnymi minami zebranych kontrastowała rozdrażniona fizjonomia premiera Tkaczyka.

– Na początku naszego zebrania – zaczął, starając się bezskutecznie nadać swemu głosowi twarde brzmienie – chciałem panom powiedzieć, że to, co się wydarzyło, jest oburzające i absolutnie nie do przyjęcia. Ja, premier Rzeczypospolitej, dowiaduję się oto od amerykańskiego generała, że USA winne są nam miliardy dolarów! I ani moje służby wywiadowcze, ani zagraniczne, ani policja nie mają o tym zielonego pojęcia. Nawet w bananowej republice coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć! A teraz jeszcze słyszę, że najważniejszy dla sprawy dokument został wyniesiony ze Sztabu Generalnego w biały dzień, a bandyta, który to zrobił, urządził sobie strzelaninę na Okęciu! Co panowie na to?! Słucham!

Zgromadzeni spojrzeli po sobie i widać było od razu, że żadnemu nie spieszo do zabierania głosu. Jedyne kontradmirał Stankiewicz przerzucił leżące przed nim papiery ze stoickim spokojem, jakby zbierająca się na sali burza w ogóle go nie dotyczyła. Zza uchylonych okien dobiegały stłumione głosy tysięcy kibiców z pobliskiego stadionu Legii.

– Sprawa, o której mówimy – zdobył się w końcu na odwagę generał Janusewicz – jako sprawa zagraniczna nie była przedmiotem działań operacyjnych Agencji Bezpieczeństwa Państwa.

– Nasza agentura w Stanach Zjednoczonych – generał Barlicki poczuł się wywołany do odpowiedzi – nie meldowała o żadnych większych roszczeniach obywateli polskich wobec rządu USA. Osobiście przestrzegalbym przed nadmierną ekscytacją, bo to na kilometr pachnie dość amatorską prowokacją. Nie wiem, skąd McDowell wziął te rewelacje, ale do jego słów i do tego dokumentu podchodziłbym z dużą ostrożnością. Niestety nakłady na funkcjonowanie Agencji uważam za niewystarczające, o czym wielokrotnie panu premierowi donos... to znaczy mówiłem.

Tkaczyk skrzywił się i machnął ręką.

– To nie czas na rozmowy o pieniądzach. Jednym słowem nie wiecie nic. Coraz mi trudniej, moi panowie, przekonywać Sejm do zwiększania wydatków na obie Agencje. A wy mi tego nie ułatwiacie.

Janusewicz i Barlicki, ochrzczeni przez media „Bolkiem i Lolkiem”, wbili oczy w lakierowany blat stołu. ABP i AW od dłuższego czasu były przedmiotem niewybrednej krytyki prasowej, zarzucającej im upolitycznienie. Szczególnie pozostająca pod pieczęcią Janusewicza Agencja Bezpieczeństwa Państwa wstrząsana była co i rusz aferami i wpadkami, a czystka, którą pan generał przeprowadzał wśród nieprawomyślnych funkcjonariuszy, nie pomagała bynajmniej w pracy operacyjnej.

Agencja Wywiadowcza podlegała Barlickiemu, jako struktura działająca poza granicami kraju, była mniej podatna na bieżącą politykę. Mniej podatny był i generał Barlicki – w przeciwieństwie do swego kolegi oficer zawodowy, od przeszło dwudziestu lat pracujący w

wywiadzie. Mimo opinii dwulicowego intryganta, jaką cieszył się w podległych sobie strukturach, Agencja Wywiadowcza generalnie dystansowała się od polityki, co nie w smak było partyjnym bonzom.

– Sprawy zagraniczne? – rzucił Tkaczyk w stronę wąsatego wiceministra Wielgosza.

– Ta sprawa przewijała się czasem w wydziale zajmującym się roszczeniami spadkowymi – przyznał wywołany, posiłkując się notatkami. – Ale podobnych spraw są w tym wydziale setki. Po każdym ogłoszeniu prasowym o poszukiwaniu spadkobierców w wydziale zjawia się tabun interesantów. A nie daj Boże, jeśli zmarły miał jakieś popularne nazwisko typu Wiśniewski albo Kowalski.

– Albo Dębicki – rzucił z przekąsem premier. – Jednym słowem rutyna.

– Panie premierze! – Wielgosz nie należał do ludzi, którzy łatwo dają się uciszyć. Tomasz spojrzął na niego z sympatią. – Panie premierze, pracownicy tego wydziału naprawdę dają z siebie wszystko. Nie zdajecie sobie, panowie, sprawy, jak reagują ludzie, którzy dowiedzieli się nagle, że daleki wujek zmarły w Stanach albo Australii zostawił im kilka milionów dolarów spadku. Moi pracownicy już nieraz cucili zemdlonych i bronili się przed furiatami. Petenci wariują, krzyczą, przeklinają, płaczą, grożą. Potrafią sfałszować testament, zastraszyć świadków, przekupić notariusza... Tam, panowie, do głosu dochodzą skrajne namiętności.

– A pan, panie ministrze? – premier zwrócił się do Połtawy, który natychmiast zaczerwienił się jak burak. – To w końcu pański resort rozpętał tę aferę.

Rudzielec nerwowo otworzył butelkę z wodą mineralną. Tomasz zauważył, że rozlał trochę na stole.

– Sprawa jest wielowątkowa i ma różne, nieraz rozbieżne aspekty – oznajmił w końcu. – Niektóre aspekty są rozwojowe, a niektóre wydają się być ślepyimi uliczkami. W kwestii aspektów rozwojowych skupić się należy głównie na tych, które wnoszą istotny wkład w wyjaśnienie tych zjawisk, które w ostatnim czasie zaistniały.

Tkaczyk ukrył twarz w dłoniach.

– Stąd też wzmiankowane zjawiska muszą być gruntownie zbadane, zarówno pod kątem merytorycznym, jak i praktycznym. Dlatego też pozwoliłem sobie zaprosić pana pułkownika Langerę, szefa DSSN, który przedstawi panu premierowi wzmiankowane przeze mnie szczegółowe aspekty zagadnienia.

Premier potrzebował dłuższej chwili, by otrząsnąć się po ostrzale ogólników, który zafundował mu Połtawa. Odetchnął głęboko i gestem oddał głos Langerowi.

– Sprawa testamentu Dębickiego zaistniała w moim departamencie przed dwoma tygodniami. Ten dokument przechowywany był przez jego potomka, Jacentego Tarasa. Pełna historia znajduje się w moim raporcie, przedłożonym panu ministrowi Połtawie. Ponieważ wraz ze śmiercią Tarasa wygasła linia Dębickich, zgodnie z jego ostatnią wolą prawa do spadku przejmuje na siebie państwo polskie...

– No tak, oczywiście – niecierpliwił się Tkaczyk. – Ale tak w skrócie... ile tego jest?

Langer trącił łokciem Tomasza.

– Według szacunków Tarasa – odparł szybko referent – wartość ziem wynosi obecnie około czterdziestu miliardów dolarów.

– Czterdzieści miliardów! – wrzasnął Tkaczyk, nie bacząc na maniery. – Mój Boże, toż to przecież roczny budżet naszego kraju...

– Wartość jest oczywiście szacunkowa. Mniej więcej dwie trzecie terenów przyznanych pośmiertnie majorowi Dębickiemu zajmują dziś szyby wydobywcze jednej z największych amerykańskich kompanii naftowych, Texas Oil Endeavour.

– Tyle pieniędzy... – premier pokręcił z niedowierzaniem głową i uważniej przyjrzał się Tomaszowi. – A pan, młody człowieku, skąd to wszystko wie?

– To pan Tomasz zwrócił uwagę na tę sprawę – oznajmił Langer. – On również znalazł testament, ukryty przez zmarłego.

– No, no... – Twarz Tkaczyka po raz pierwszy ozdobił uśmiech. – Taki młody, a już głowa na karku. Panowie powinni brać przykład! Niech pan się mnie trzyma, a zajdzie pan daleko!

Te słowa z ust najmniej popularnego premiera III RP, znienawidzonego przez wszystkie warstwy społeczne, Tomasz skwitował niechętnym skinieniem głowy. Opuścił wzrok, mając nadzieję, że jego osoba przestanie być wreszcie tematem rozmowy.

– Ale do rzeczy. Z tego, co słyszę, musimy odzyskać ten przeklęty testament za wszelką cenę! Jakie kroki poczyniono w tej sprawie? Panie komendancie Graczyk?

– Policja zablokowała wszystkie drogi wylotowe z Warszawy – zahuczał zażywny komendant. – Wszystkie posterunki otrzymały rysopis podejrzanego, a sprawa uzyskała bezwzględny priorytet nad innymi. Dworce kolejowe, autobusowe, lotnisko Okęcie otrzymały dodatkową ochronę zarówno funkcjonariuszy umundurowanych, jak i pionu dochodzeniowego. Wszystkie hotele, pensjonaty, domy studenckie i inne kwatery pod wynajem otrzymały bezwzględny nakaz informowania policji o wszelkich nowych gościach, którzy choć trochę przypominają poszukiwanego. Nasi wywiadowcy puścili również informację swoimi kanałami w środowiska przestępcze. Moi ludzie przeczesują miasto. Znajdziemy go z pewnością, panie premierze.

– No, wreszcie jakieś konkrety – ucieszył się Tkaczyk. – A co ze Strażą Ochrony Pogranicza?

– Wszystkie jednostki w pogotowiu – wysokim głosem oznajmił generał Piętka. – Rysopisy rozesłaliśmy do wszystkich punktów i przejść granicznych.

Premier spojrział przed siebie, na czarno-złotą postać kontradmirała Stankiewicza.

– Pan milczy, panie admirale? Wywiad wojskowy nie ma nic do powiedzenia?

Stankiewicz podniósł głowę i oparł nos na złożonych jak do modlitwy rękach. Barlicki i Janusewicz uśmiechnęli się złośliwie – od dawna robili wszystko, by zdyskredytować Wojskowe Służby Wywiadowcze i przekonać posłów do ich likwidacji.

– No cóż – premier przerwał milczenie – najwyraźniej...

– Nazywa się Artur Mróz – odezwał się kontradmirał, nie patrząc na premiera. – Lat trzydzieści sześć, kawaler, oficjalnie nie notowany. Służył w armii Serbów bośniackich do grudnia 1995 roku. Później w Albanii i Macedonii... przemysł broni, handel narkotykami, morderstwa polityczne. W marcu dziewięćdziesiątego siódmego roku zamordował gubernatora prowincji Szkodra w północnej Albanii. Rok później najprawdopodobniej to on zastrzelił zastępcę szefa sztabu armii macedońskiej, generała Jovana Popovskiego. Od czasu interwencji NATO w Kosowie słuch po nim zaginął.

Tomasz nie mógł się zdecydować, na co patrzeć – czy na zdumione miny premiera i komendanta Graczyka, czy na zawiedzione gęby Janusewicza i Barlickiego. Dla samego tego widoku warto było przyjść do pałacu Rady Ministrów.

– Ale skąd, u licha... – zaczął Barlicki, Stankiewicz jednak zignorował go demonstracyjnie i mówił dalej:

– To świetnie wyszkolony, bezwzględny i inteligentny typ. W latach 1987-89 służył w 6 dywizji powietrzno-desantowej, w „czerwonych beretach”. Przypuszczam, że dla niego ukrywanie się w mieście to żadna nowina. Do tego kilka miesięcy w oblężonym Sarajewie. To najlepszy trening. Dzięki Sarajewu serbskie siły specjalne prześcignęły w sprawności taktycznej w terenie zurbanizowanym nawet dotychczasowych mistrzów, Brytyjczyków, dla których szkołą życia były katolickie dzielnice Belfastu i Londonderry. Pańscy ludzie, panie generale Graczyk, muszą mieć to na uwadze.

O dziwo, komendant główny policji nie odezwał się ani słowem, a jedynie przytaknął nieśmiało. Masakra na Okęciu i nieudana obława na wiadukcie stanowiły najlepszy dowód na to, że elegancki marynarz nie rzuca słów na wiatr.

– Jestem pod wrażeniem – wyznał Tkaczyk szczerze, co nie zdarzało mu się często.

– Oto pełne dane wraz ze zdjęciem. – Admirał pchnął papierową teczkę w stronę Graczyka. – Choć obawiam się, że jedne i drugie są już mocno zwietrzałe.

– Jestem pewien, że teraz, panie generale, złapie pan tego bandytę – podjął premier. – Panowie, spotykamy się jutro punktualnie o siódmej trzydzieści.

– Jeszcze raz przestrzegam, panie inspektorze – podsumował Stankiewicz – to niebezpieczny człowiek i profesjonalista. Miliardy miliardami, ale ludzkie życie najważniejsze.

– Oczywiście, oczywiście – szczerść ulotniła się ze słów premiera – życie przede wszystkim.

Rozdział 11

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków, amen.

Elegancka furtka broniąca dostępu do okazałej parafii uchylila się bezszelestnie. Młoda siostrzyczka z serdecznym uśmiechem wpuściła rosnącego i postawnego księdza.

– Ksiądz Sławomir Ruta z parafii Świętego Rocha w Białymstoku – przedstawił się przybysz. – Jestem w pilnej potrzebie. Czy zastałem może księdza proboszcza?

– Tak, odprawia właśnie mszę wieczorną – odparła siostrzyczka. – Proszę, niech ksiądz wejdzie. Chłodno dziś, a ksiądz w samej koszuli?

Ruszył za zakonnica, której habit budził w nim jakieś niejasne skojarzenia. Poszli w stronę okazałego budynku plebanii, wzniesionego, zapewne niedawno, z ozdobnej czerwonej cegły. Z pobliskiego kościoła dochodziły przytłumione śpiewy wiernych.

– Proszę, niech ksiądz spocznie – wskazała mu fotel w wygodnie urządzonej salonie. – Czy napije się ksiądz herbaty?

– Jeśli to nie sprawi kłopotu, to kawy. Mocnej i czarnej.

Siostra ukloniła się lekko i drobnymi kroczkami przeszła w stronę otwartej kuchni, oddzielonej od salonu długim forniowanym barkiem. Włączyła czajnik elektryczny, od czasu do czasu rzucając nieśmiało okiem na postawną sylwetkę księdza, jego muskularny tors rysujący się pod koszulą i włosy w kolorze dojrzałego zboża. Mimowolnie uśmiechnęła się, lecz natychmiast przywołała się do porządku, odegnawszy kielkujące w głowie grzeszne myśli.

Siedzący naprzeciw niej Artur Mróz również od czasu do czasu spoglądał na nią, nerwowo poprawiając kawałek białego płótna, wycięty z serwety i przymocowany szpilkami pod zapiętym pod szyją kołnierzykiem. Wiedział dobrze, że całe miasto przeczesują watahy gliniarzy i tajniaków, że jego rysopis ma w rękę każdy, kto nosi przy boku gumową pałę. Wiedział również doskonale, że w każdym hotelu – od czterogwiazdkowych poczynając, a na melinach kończąc – jest jakaś „życzliwa dusza”, będąca na podwójnej liście płac. Dom Boży wszakże to zupełnie coś innego. Mógł być pewien, że gdzie jak gdzie, ale w tym kraju każdy, a szczególnie mundurowy, zastanowi się trzy razy, nim wtargnie w kościelne progi.

Odprężył się nieco i rozejrzał się po przestronnym salonie. Plotkom o ubóstwie kleru

skutecznie zadawał kłam elegancki zestaw DVD oraz wkomponowany w ścianę barek, kryjący kilkanaście butelek różnych kształtów. Wnętrze zdobiły grafiki o tematyce nie związanej z religią, oświetlone punktowymi reflektorami z podwieszanej u sufitu belki. Skromny wystrój uzupełniała rozłożysta skórzana sofa oraz dwa fotele, z których jeden właśnie zajmował.

Gorąca kawa podana bezszelestnie przez siostrzyczkę rozlała po jego ciele przyjemne ciepło. Dzień był pełen wrażeń, ale Mróz na razie nie odczuwał znużenia. Górzyście tereny Krajiny i północnej Bośni nauczyły go obywać się bez odpoczynku przez długi czas.

Spojrzał na krzątającą się zakonnicę i nagle zrozumiał, z czym kojarzyła mu się jej postać. Tamten dzień przed dziewięcioma laty był chłodny i deszczowy. W powietrzu unosiła się wilgoć, a ze wzgórz nad doliną schodziła gęsta mgła. Zajmowali właśnie wieś Pomjanovo, zamieszkałą w większości przez Chorwatów. Strzały zza zabudowań padły niespodziewanie; usłyszał je, leżąc już na ziemi z przestrzelonym bokiem. Na przygwożdżonych ogniem towarzyszy nie mógł liczyć. Sekundy i krew płynęły nieubłagane, ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Pamiętał ogarniające go zimno, gdy bagnetem rozcinał mundurową kurtkę, gdy drętwiejącą ręką rozdierał opatrunek osobisty. Zanim stracił przytomność, zdążył jeszcze wsunąć go pod pas i przyłożyć do rany.

Chorwaci wycofali się pod wieczór, pozostawiając wieś wraz z większością mieszkańców na pastwę Serbów. Ci, którzy nie zdążyli uciec, spędzeni pod kościołem, z przerażeniem patrzyli na komendanta oddziału, kapitana Spanjevica, i jego zastępcę – porucznika Drażana.

Spanjevic, były oficer zawodowy armii jugosłowiańskiej, cieszył się w oddziale powszechnym szacunkiem. W bezmiarze okrucieństw, jakie przyniosła ze sobą bratobójcza wojna, pozostawał ucieleśnieniem honoru i łagodności w obejściu z jeńcami. Podczas gdy mordowanie i znęcanie się nad wziętymi do niewoli było powszechną praktyką, kapitan Spanjevic, niczym bałkański Don Kichot, prowadził swoją wojnę czysto i honorowo.

Dražan był jego przeciwieństwem – zimny, okrutny i niezwykle zajadły, mścił się za dwóch braci, którzy zginęli zaraz na początku bałkańskiej zawieruchy. Wojna zastała go na drugim roku ekonomii na Uniwersytecie Belgradzkim. Szkołę porzucił bez żalu, z żalem rozstał się wszakże z młodzieżówką Crvene Zvezdy, gdzie zapowiadał się na świetnego rozgrywającego. Niewiele trzeba było czasu, by zapomniał o studenckich ideałach i piłkarskiej zasadzie fair play. Wraz ze swymi kumplami z boiska dołączył do oddziałów osławionego serbskiego watażki Zeljko Raznjatovicia, „Arkana”, którego nie bez powodu nazywano „Rzeźnikiem Bałkanów”. Uczeń szybko przerósł mistrza. Mróz pamiętał, jak w jednej z wiosek Drażan kazał odliczyć do trzech grupce muzułmańskich dzieci i śmiejąc się, zastrzelił „trójki”. Pamiętał też, jak schwytanemu chorwackiemu żołnierzowi wydłubał scyzorykiem oczy, a następnie przewiercił mu głowę wiertarką.

Teraz obaj – Drażan i Spanjevic – dyskutowali zawzięcie, co zrobić z mieszkańcami wsi. Nienawistna mina Drażana nie wróżyła tubylcom nic dobrego. Spanjevic zniecierpliwiony

kręcił głową, a gdy Drażan wściekle podniósł głos, warknął na niego tak, że porucznik przycichł.

Gdy Mróz otworzył oczy, ujrzał nad sobą śliczną zakonnice, ocierającą mu czoło i uśmiechającą się blado. Powiedziała coś do kapitana, wskazując na kościółek – kumple przenieśli go na plebanie, a siostra zmieniła prowizoryczny opatrunek i założyła nowy. Pamiętał jej bladą i zmęczoną twarz kontrastującą z czernią habitu, pamiętał jej spojrzenie, gdy mimo nalegań następnego dnia zwłókł się z łóżka i trawiony gorączką, opuścił wieś wraz z towarzyszami. Stała przy furtce i patrzyła za nim, aż zniknął.

Dwa miesiące później na początku sierpnia serbska ofensywa załamała się – Chorwaci pod wodzą osławionego generała Gotoviny odrzucili Serbów i rozpoczęli kontratak. Sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy zważyło się od północy, zachodu i południa na Krajinę, rozbijając w pył siły serbskie. Czwartego sierpnia oddział Spanjevica zagroził drogę dwóm brygadam pancernym na moście kolejowym na rzece Dravnik. Kapitan nie miał żadnych złudzeń – z oddziałem liczącym dwustu ludzi musiał powstrzymać przewyższające go dziesięciokrotnie elitarne brygady, wsparte czołgami i artylerią. Kończył właśnie ze swymi ludźmi zaminowanie mostu, gdy na horyzoncie pojawiły się chorwackie czołgi. Kilkunastu saperów, minujących właśnie ostatni filar, zbyt późno dostrzegło niebezpieczeństwo.

Chorwaci otworzyli ogień do widocznych jak na dłoni, podwieszonych na linach żołnierzy. Spanjevic z kilkoma ludźmi rzucił się im na pomoc. Kule siekły o stalowe kratownice mostu. Kapitan nadludzkim wysiłkiem podciągnął do góry linę, na której wisiało dwóch saperów. Gestem wezwał na pomoc swych ludzi. Mróz dostrzegł rozpaczliwą szamotaninę i ruszył z towarzyszami, by pomóc dowódcy, ale Drażan zatrzymał ich i kazał wracać na pozycje.

Spanjevic, nie bacząc na niebezpieczeństwo, wyciągnął rękę do ostatniego sapera. Chorwaci, osłaniani ogniem broni maszynowej, wbiegali właśnie na most. Kapitan uchwycił rękę żołnierza, gdy wtem kula ugodziła go w lewy bok. Saper, którego trzymał, wysliznął mu się i z przeraźliwym krzykiem runął do rzeki. Spanjevic odwrócił się w stronę nieprzyjaciela, wspierając się na barierce mostu, i wówczas seria z kałasznikowa wystrzelona przez nadbiegającego Chorwata ugodziła go w pierś. Przechylił się przez barierkę i runął w dół, w spieniony nurt.

Po czterech godzinach zaciętej wymiany ognia most wpadł w ręce Gotoviny. Droga na Knin stała otworem, a siły serbskie w tym rejonie znalazły się w kleszczach. Drażan z kilkudziesięcioma ludźmi przedarł się lasami, osłaniany przez oddział Mroza. Szli nocami, za dnia kryjąc się w gęstwinie. Po dwóch dobach wyczerpującego marszu dotarli w pobliże znajomej wsi. Zapadał już zmrok, gdy w odległości dwóch kilometrów ujrzeli łunę. Zastępujący Drażana porucznik Milic nakazał czujność. Ruszyli wzdłuż drogi, kryjąc się w rowie melioracyjnym. Zbliżali się do wsi, gdy do ich uszu dochodzić zaczęły ludzkie krzyki. Szli szybko, nie kryjąc się już – rozpoznali ludzi Drażana. Sam porucznik stał na środku wsi

niczym Kmicic w płonących Wołmontowiczach i obojętnie przypatrywał się swoim ludziom, którzy urządzili sobie polowanie na mieszkańców. Pod kościelnym murem leżały dziesiątki trupów poszarpanych kulami. Obok bieleły ciała młodych dziewcząt, odartych z odzieży, zgwałconych, a potem bestialsko załuczonych.

Mróz ruszył w stronę kościółka, który powoli obejmował ogień. Przed bramą ujrzał zmasakrowane zwłoki księdza z poderżniętym gardłem. Otworzył bramę i wszedł na niewielki dziedziniec. Nagle przystanął. Przed nim na drewnianych drzwiach kościoła rysował się jakiś dziwny kształt. Mróz podszedł bliżej. Widok, który ujrzał, nawiedzał go później niemal co noc.

Na drzwiach, koszmarnie wykręcone, wisiało ciało zakonnicy. Z nadgarstków i z łydek wystawały grube półcalowe gwoździe, którymi ukrzyżowano siostrę, przybijając ją do grubych desek. Na obu piersiach ktoś wyciął bagnetem znaki krzyża. Najbardziej przeraziła go jej twarz – blada, spokojna, jakby uśpiona.

Kościół płonął, a on stał, nie mogąc oderwać wzroku. Stał jeszcze długo po tym, jak budynek zawalił się z trzaskiem, kryjąc w zgliszczach okaleczone ciało.

W czasie wojny widział jeszcze wiele okrucieństw, ale tylko ta twarz wryła mu się w pamięć i powracała do niego później, przez następne lata. Starał się o niej nie myśleć, ale we śnie często ją widział, przybitą do drewna, otoczoną czerwonymi jęzorami płomieni.

Ocknął się nagle. Drzwi wejściowe plebanii trzasnęły głośno, a w przedsionku dał się słyszeć mrukliwy i nieprzyjemny bas. Siostrzyczka szybkim krokiem podążyła do przedpokoju. Do uszu Mroza doleciały słowa:

– ...niewdzięcznicy i skąpcy. Dach przecieka, witraże blakną, a ci się do pomocy nie pała. Człowiek sobie gardło zdziera, a na tacy same drobniaki... Co za naród... Kto? Kto taki? Ksiądz?

Do salonu wtoczył się zażywny, zwalisty gospodarz. Spod siwych brwi taksowały przybysza rozbiegane i niespokojne oczy, podkreślone fioletowymi worami. Na ustach, tłustych i pełnych, rysował się niezbyt szczery i kontrastujący z oczami uśmiech.

– Niech będzie pochwalony – zahuczał basem proboszcz. – A kogóż to dobry Pan Bóg zsyła w me skromne progi?

– Ksiądz Ruta, od Świętego Rocha – przedstawił się blondyn, biorąc proboszcza w tradycyjny uścisk „na misia”. – Jestem przejazdem w Warszawie w drodze do Częstochowy i przydarzył mi się niemiły wypadek.

– A już myślałem, że to znów ktoś od księdza ekonoma z archidiecezji – proboszcz wyraźnie się rozpromienił. – Nawiedzają mnie tu często i nic, tylko datki i datki. Jakbym mennicą zarządzał, a nie ubogą parafią. Powiadam księdzu, wykończy nas wszystkich ta Świętynia Opatrzności Bożej... A cóż to się księdzu przytrafiło?

– Uszkodziłem przedni amortyzator na dziurze, niedaleko stąd. Pomoc drogowa zholowała mi samochód, ale na wymianę będę musiał poczekać do jutra. Policjant powiedział,

że w okolicy znajduje się kościół i parafia. Ot i tak zastukałem w gościnne progi, mając nadzieję, że...

– Czym ksiądz jeździ? – w oczach proboszcza błysnęły ogniki ciekawości.

– Ostatnio... renault megane.

– Uuuuu... – proboszcz wyduł wargi – skromniutko u Świętego Rocha, skromniutko. Ja mam nowiutkiego peugeota trzysta siódmkę! Wzmocnione amortyzatory, tuning, komputer, skóra, automatyczna klimatyzacja, sześć poduszek, podgrzewane fotele, przyciemniane szybki... Bez podświetlanego podwozia – zastrzegł szybko – tylko niezbędne wyposażenie! Skromnie i z umiarem.

Zaśmiał się nieprzyjemnie, odsłaniając rząd sztucznych białych zębów.

– Siostra Katarzyna przygotowuje księdzu pokój gościnny. Ja tylko przebiorę się w coś wygodniejszego i już jestem z powrotem. I zapraszam na kolację.

Proboszcz zrzucił w garderobie powłóczystą sutannę i wskoczył w zupełnie świecki szlafrok. Kolacja uświadomiła Mrozowi, że od kilkunastu godzin nie miał nic w ustach. Gospodarz – ksiądz Zaraza – pobłażliwie patrzył, jak jego kolega po fachu łapczywie połyka kurczaka w potrawce i zagryza go kajzerkami; kręcił przy tym głową i powtarzał ciągle:

– Skromniutko u Rocha, skromniutko. Głodowe tam macie parafie na tym Dzikim Wschodzie, marnie ksiądz wygląda. Posiedziałyby ksiądz u mnie dwa miesiące na wikariacie i od razu by się zaokrąglił jak należy. A i wóz jakiś lepszy by się znalazł.

Mróz jadł łapczywie, co i rusz wtrącając pochlebne słówka. Ostatecznie zjednął sobie gospodarza, proponując, by po kolacji zeszli razem do księżej stajenki obejrzyć cacko i zajrzeć mu pod maskę.

Samochód istotnie prezentował się imponująco, błyszcząc srebrnymi alufelgami. Mróz z udanym zachwytem komplementował wóz, dostąpiwszy nawet zaszczytu zajęcia miejsca za kierownicą. Cierpliwie wysłuchiwał danych technicznych, którymi ksiądz jegomość sypał jak z rękawa, dyskretnie obserwując, gdzie znajduje się wyłącznik alarmu i gdzie ksiądz Zaraza chowa kluczyki do samochodu.

Było już grubo po północy, gdy obaj kapłani – autentyczny i fałszywy – zajęli miejsca w przepastnych fotelach i jęli niedwuznacznie zerkać na barek. Mróz nie na darmo władował w siebie pokaźną ilość tłustej potrawy – miała zneutralizować alkohol, którym zamierzał spoić gospodarza. Trudność polegała na tym, że ksiądz Zaraza wyglądał zdecydowanie na obdarzonego łaską mocnej głowy.

– Niech siostra idzie na spoczynek – polecił krzątającej się jeszcze zakonnicy. – I niech siostra powie księdzu Andrzejowi, żeby odprawił za mnie jutrzejszą mszę poranną. Nie czuję się dziś najlepiej.

Zakonnica westchnęła z rezygnacją. Najwyraźniej nie po raz pierwszy ksiądz Andrzej wyręczyć miał gospodarza w porannych obowiązkach. Po chwili wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Z początku, mimo wtłoczonego w obłę cielsko litra czystej wyborowej, ksiądz jegomość nie tracił równowagi ciała i ducha, zachwalając gościowi zalety swej owczarni i szczególną urodę parafianek. Dopiero po napoczęciu trzeciej flaszki jął narzekać na stare dewotki, które w jego przekonaniu nadmiernie śliniły mu prawicę i latały do spowiedzi z byle powodu. Gdy zaś głowa plebana co i rusz zaczęła opadać, a rozmowa zesła na śliski temat uniezależnienia się od papieżstwa, Mróz wiedział, że Morfeusz powoli bierze gospodarza w objęcia.

Delikatnie dźwignął Zarazę pod ramię lewą ręką, dyskretnie sięgając prawicą do przepastnej kieszeni szlafroka. Po chwili kluczyki do peugeot'a oraz telefon komórkowy znalazły się w jego kieszeni, a gospodarz spoczął w łóżku, mamrocząc przez sen słowa w żadnym razie nie przystające do kapłana ślubującego czystość.

Mróz ruszył w kierunku pokoju gościnnego. Wiedział, że przed nim ciężkie zadanie, więc tym bardziej kilka godzin odpoczynku bardzo mu się przyda. Po chwili spał już mocno snem niesprawiedliwego.

* * *

Boeing 737 linii Lufthansa dotknął kołami pasa startowego. Maszyna osiadła łagodnie na płycie lotniska i z hukiem zaczęła wyhamowywać.

– Szanowni państwo, właśnie wylądowaliśmy w Warszawie – informowała przez interkom uśmiechnięta stewardesa. – Jest godzina 22.25 czasu lokalnego. Temperatura na zewnątrz wynosi dwadzieścia trzy stopnie. Do czasu zatrzymania samolotu prosimy pozostać na swoich miejscach. Kapitan Gottshalk wraz z załogą dziękują państwu za wspólnie spędzony lot. Zapraszamy państwa do korzystania z linii Lufthansa. Do widzenia państwu.

Starszy elegancki pan w brązowym garniturze ocknął się z drzemki i wyjrzał przez okno. Samolot krążył po wirażach Okęcia, wolniutko tocząc się ku białemu rękawowi. Niecierpliwi pasażerowie, zdenerwowani ponad trzygodzinnym opóźnieniem, nie czekając na zatrzymanie, podnieśli się gremialnie ze swych miejsc, otwierając półki z bagażem podręcznym.

Charakterystyczny syk otwieranych drzwi. Pasażerowie wolno ruszyli w stronę wyjścia. Starszy pan zaczekał chwilę, póki nie zrobiło się luźniej, po czym wyszedł jako ostatni, żegnany przez piękną stewardesę służbowym uśmiechem. Ruszył wąskim korytarzem pod górę, wpadając w następną kolejkę, tym razem do odprawy paszportowej. Z zaciekawieniem i zdziwieniem dostrzegł wokoło nadzwyczajną liczbę policjantów i ochroniarzy, pilnujących ogrodzonego taśmą fragmentu lotniska.

Gdy nadeszła jego kolej, z namaszczeniem dobył z foliowego woreczka paszport i podał filigranowej pani sierżant. Ta rzuciła jedynie okiem na zdjęcie i zwróciła mu dokument ze słowami:

– Witamy w Polsce, panie Dębicki...

Rozdział 12

Kierowcy wyjeżdżający z Warszawy przeżywali sądny dzień i posyłali pod adresem stróżów prawa najwymyślniejsze przekleństwa.

Choć rzecznik prasowy policji stołecznej nadkomisarz Panas zapewniał, że to szeroko zakrojona akcja przeciw złodziejom samochodów, jego nieudolne łągarstwa nie przekonały nikogo. Plotkarską stolicę natychmiast obiegać zaczęły najbardziej fantastyczne wieści. Ci bardziej odczytani zapowiadali epidemię, wskazując na analogię do sytuacji ze słynnej *Dżumy* Camusa; nieco mniej oświeceni przekazywali sobie z ust do ust, jakoby nastoletnia córka prezydenta Starynkiewicza zwała spod skrzydeł tatusia z jakimś narkomanem. Blokada była jednak szczelna, czego nadinspektor Graczyk nie omieszkał podkreślić na naradzie sztabu kryzysowego, zwołanej przez premiera o godzinie siódmej trzydzieści rano.

– Prócz zapór drogowych i lotnych patroli granice miasta obserwują również załogi czterech śmigłowców. Przeszukiwanie podejrzanych pojazdów i legitymowanie kierowców opuszczających miasto przebiega wzorowo i bez żadnych incydentów.

Ostatnie twierdzenie Graczyka wypowiedziane zostało stanowczo na wyrost. W Jankach na rozwidleniu szos krakowskiej i katowickiej od rana między podróżującymi dochodziło do rękoczynów i bijatyk. Na trasie wylotowej na Gdańsk wściekli kierowcy tirów demonstracyjnie wywalili na szosę pryzmy zepsutego masła, które nie wytrzymało długości policyjnych procedur. Na trasie lubelskiej zaś nadgorliwi funkcjonariusze za pomocą gumowych środków przymusu bezpośredniego sprali konsula generalnego Ukrainy, który na swe nieszczęście jako umięśniony blondyn pasował do wszechobecnych rysopisów poszukiwanego. Bijatyki i kwestię zjełczałego masła dało się załagodzić, ale spuszczenie batów Jego Ekscelencji odbiło się w prasie światowej szerokim echem, a minister spraw zagranicznych musiał przeproszać w wazeliniarskiej nocie urażonego prezydenta Ukrainy.

– Do godziny 6.30 żaden z posterunków nie odnotował obecności podejrzanego. Stąd wniosek, że znajduje się on jeszcze na terenie miasta stołecznego Warszawy. Dyskretnie przetrząśnięto wszystkie hotele, pensjonaty i akademiki, wszystkie pola namiotowe i campingi.

– Nadal nic! – niecierpliwił się wyraźnie niewyspany premier Tkaczyk. – Uprzedzam, że jeżeli ten bandyta sprzątnie nam sprzed nosa miliardy dolarów, to sformuję z panów specjalną

jednostkę do zwalczania elementu przestępczego w Wąchocku.

– Agencja Bezpieczeństwa Państwa potwierdza wczorajsze słowa pana admirała Stankiewicza – wyznanie winy przychodziło generałowi Barlickiemu z wielkim trudem. – Rzeczywiście rzeczony Artur Mróz figuruje w kartotekach jako najemny żołnierz w czasie wojny domowej w Jugosławii. Nie mamy jednak szczegółowych danych co do jego wykształcenia.

– Mamy jego nazwisko i mamy jego fotografię – odezwał się milczący dotąd Langer. – A poziom jego wykształcenia mogliśmy zaobserwować na Okęciu. Musimy się wcielić w jego sposób myślenia i zastanowić się, co by zrobił.

– Wróżenie z fusów – ironicznie rzucił Graczyk. – My będziemy tu siedzieć i debile... dewile... defibry...

– Deliberować – uprzejmie pomógł Langer.

– No właśnie, a on tymczasem zyska cenne godziny. Ścisła blokada i działania operacyjne. To jedyne rozwiązanie.

– Przyciśnięty do muru, bez wyjścia, nie mając nic do stracenia, będzie bezwzględny – odezwał się Tomasz. – Uważam, że musimy uspić jego czujność.

– Dziękujemy za cenne rady, młodzieńcze – prychnął groźnie generał Barlicki. – Póki co obejdziemy się bez uwag młodych ignorantów.

– Różnica między młodym ignorantem a starym – odpalił Tomasz – polega na tym, że młody może się jeszcze czegoś nauczyć.

Barlicki zaniemówił z oburzenia, a na twarzy admirała Stankiewicza przez ułamek sekundy zagościł uśmiech.

– Zastępy pana generała Graczyka mogą sobie przeczesać Warszawę do Bożego Narodzenia – kontynuował Tomasz. – Jeżeli facet ma współników, to oznacza, że testament może wywieźć na przykład długonoga brunetka, a nie umięśniony blondyn, za którym węszy cała stołeczna policja.

– Jak pan śmie! – Graczykowi pod niebieskim mundurem skoczyło ciśnienie. – Co to za...

– Cicho! – warknął premier i dodał w stronę Tomasza uprzejmym tonem: – Niech pan mówi dalej.

– Musimy zastanowić się, co byśmy zrobili na jego miejscu. Wilk, otoczony przez myśliwych, próbuje się wyrwać z okrążenia, znajdując w nim słaby punkt. Jak w *Oblawie* Wysockiego. Skoro mamy do czynienia z weteranem wojny w Jugosławii, założę się, że przebywanie w okrążeniu to dla niego nie pierwszozna. Gdybym ja był na jego miejscu, starałbym się odwrócić naszą uwagę, zająć czymś myśliwych i jednocześnie uciec tam, gdzie będziemy się go najmniej spodziewać.

Barlicki z Graczykiem dąsali się jeszcze, ale nawet oni nie mogli odmówić „młodemu ignorantowi” logiki wyводу. Langer zauważył, że Bolek szepnął coś Lolkowi do ucha, wskazując podbródkiem na Tomasza.

– A może by tak wyznaczyć nagrodę za jego głowę? – błysnął konceptem generał Piętka, komendant Straży Ochrony Pogranicza. – I ogłosić... że żywego... albo umarłego...

Głos pogranicznika łamał się stopniowo pod wpływem zdumionych i rozbawionych spojrzeń, które skierowały się nań po tych słowach. Piętka nie należał do zbyt lotnych oficerów i rzadko zabierał głos, może dlatego, że był absolwentem seminarium duchownego Ojców Karmelitów Bosych, gdzie szczególnie pielęgnowano cnotę milczenia. Mianowanie go na stanowisko komendanta głównego. Straży Ochrony Pogranicza i podniesienie do stopnia generała brygady było jednym z wielu ustępstw rządu Tkaczyka wobec nieufnego episkopatu, który w zamian za to obiecał nie przedstawiać rządzących liberałów jako posłańców szatana.

– Nie jesteśmy na Dzikim Zachodzie – półgębkiem skarcił go premier i, westchnąwszy, zaproponował: – Zróbmy przerwę na papierosa. Ale po jego wypaleniu chcę usłyszeć od panów jakiś dobry pomysł!

Tkaczyk z trzaskiem zamknął skórzaną teczkę wypełnioną papierami. Zgromadzeni gremialnie zaszurali krzesłami, z ulgą rozprostowując kości i kierując się w stronę holu przeznaczonego na palarnię. Tomasz wyraźnie się ociągał, zerkając na Stankiewicza, który wciąż siedział przy stole wpatrzony w swoje dokumenty.

– Panie admirale?

Stankiewicz ocknął się z zamyślenia i spojrzał na młodziana.

– Słucham?

– Czy mogę zapytać, skąd znał pan nazwisko tego bandyty?

Szef wywiadu wojskowego uważniej spojrzał na Tomasza, by chwilę później przenieść wzrok na stojącego w drzwiach Langerę, który porozumiewawczo chrząknął. Stankiewicz wstał i podszedł do młodego. Milczał przez chwilę, najwyraźniej ważąc coś w myślach, po czym cichym, niemal niesłyszalnym szeptem wyznał:

– Bo to ja go stworzyłem.

* * *

Obudził się. Dźwignął się na ramieniu, próbując zwalczyć piekielny ból głowy. Wypity przed paru godzinami alkohol buzował mu wciąż w żyłach. Usiadł na łóżku, zbierając do kupy rozbiegane myśli. Podniósł się, z trudem łapiąc równowagę. Kilka siarczystych policzków przywróciło mu względną trzeźwość. Za wszelką cenę musiał wyrwać się z tego przeklętego miasta i wywieźć papiery za granicę. Ale jak?

Roztrząsaniu tej myśli poświęcił następne dziesięć minut i dwa papierosy. Jak zwykle rozjaśniły mu nieco umysł, przytępiony alkoholową libacją w towarzystwie sługi bożego. Plan działania ułożył się powoli w logiczną całość. Ryzykowną, ale dającą spore szanse na sukces.

Chwycił swoją torbę sportową i dla pewności pomacał jej dno – owinięty folią testament

spoczywał bezpiecznie pod warstwą bielizny. Wydobył pakiet i po chwili namysłu wsadził go za koszulę. Pod koszulą upchnął też zwinięty w kłębek sweter. Wyciągnął telefon zabrany gospodarzowi i wyteżając umysł, przypomniał sobie czterocyfrowy numer. Usłyszał sygnał wybierania, po czym słodki głos automatycznej sekretarki wypowiedział: „Informacja kolejowa, proszę czekać”.

– Informacja PKP, w czym mogę pomóc?

– Poproszę o najbliższe pociągi do Szczecina.

Pospiesznie zapisywał na kartce godziny odjazdów. Pierwszy pociąg do Szczecina odjeżdżał dopiero o 12.25. Za późno.

– Proszę jeszcze do Gdańska – przerwał kobiecie godzinową wylizankę.

Tu sytuacja wyglądała znacznie lepiej. Najbliższy pociąg Intercity do Gdańska odchodził z dworca Warszawa Centralna punktualnie o 8.50.

Uchylił drzwi pokoju, wyszedł na korytarz i ruszył schodami w dół. Po chwili przyspieszył kroku – dobiegające z apartamentów proboszcza głośnie chrapanie upewniło go, że gospodarz mimo jasnego poranka śpi mocnym snem. Zahaczył jeszcze o księżą garderobę i chwycił pod pachę sutannę, w której ksiądz dobrodziej objawił mu się po raz pierwszy. Zabrał też wiszący na wieszaku czarny filcowy kapelusz.

Zszedł na dół i otworzył drzwi prowadzące z korytarza do garażu. Wymacał ręką włącznik światła. Peugeot proboszcza stał majestatycznie rozparty na błyszczących kołach. Mróz rzucił torbę na tylne siedzenie i rozpoczął mozolny proces zakładania sutanny. Zapinanie malutkich guziczków zajęło sporo czasu, ale obszerna workowata szata, co najmniej o trzy rozmiary za duża, skryła jego umięśnioną sylwetkę. Zrolowany sweter pod koszulą nadał jego postaci dostojnej krągłości. Otworzył drzwiczki i z trudem zasiadł za kierownicą. Sztuczne brzuszysko krępowало mu ruchy, a poły duchownej sukienki zaczęły o pedał sprzęgła.

– Nic dziwnego, że prowadzi ich Duch Święty – mruknął.

Przekręcił kluczyk w stacyjce – silnik zapalił od razu, niemal bez hałasu. Podniósł leżącego nad deską rozdzielczą pilota i otworzył elektryczne drzwi garażu, położonego na wprost bramy. Kliknął drugim przyciskiem pilota i brama zaczęła uchylać się powoli.

Wyjechał na ulicę i skręcił w prawo. Spieszący na poranną mszę parafianie rozpoznawali zapewne samochód ich pasterza, bo niektórzy zegnali się pobożnie na widok peugeot. Przyciemniane szyby skutecznie uniemożliwiały im jednak zajrzenie do środka. Zresztą teraz nie miało to już dla Mroza większego znaczenia.

Poranny ruch narastał, samochody toczyły się powoli. Mróz włączył radio. Krzysztof Krawczyk kończył właśnie swój rejs parostatkiem, po czym piskliwy głos prezentera zaczął wliczać długą listę warszawskich korków, remontów i innych utrudnień ruchu.

– *Policja nadal prowadzi szczegółową kontrolę na trasach wylotowych, tak więc, drodzy radiosłuchacze, uzbrojcie się w cierpliwość!* – produkował się prezenter. – *Tym z was,*

kochani, którzy stoją teraz w korku, czas umili Budka Suflera.

Przełamany seksowną chrypką głos Krzysztofa Cugowskiego miał widocznie zbawienny wpływ na korek. Sznur samochodów nabrał rozpędu i grafitowy peugeot 307 też przyspieszył. Po kilkunastu minutach przedzierania się przez nieskoordynowane światła zatrzymał się na parkingu pod Salą Kongresową. Z samochodu wytoczyła się zwałista postać wysokiego księdza ze sportową torbą w ręku. Duchowny pewnym krokiem ruszył przez ulicę w kierunku dworca, mijając rozbebeszoną konstrukcję Złotych Tarasów, obstawioną dookoła kilkoma dźwigami. Nie wszedł do hali głównej, tylko skręcił do podziemi. U wejścia uderzył go charakterystyczny dla Dworca Centralnego zapach stęchlizny i moczu. Ograniczając oddech do niezbędnego minimum, przedarł się przez pierwszą falę smrodu i poczłapał przez klaustrofobiczne korytarze w stronę peronów. U wejścia na ruchome schody zauważył szesnastoletniego na oko chłopaczka, który przyglądał mu się z zainteresowaniem. Mróz spostrzegł, że jego sutanna wywołała u nastolatka zalotny uśmiech; zauważył też, że młodzian jest uszminkowany.

Szedł dalej, choć reakcja młodej cioty na widok sutanny, którą miał na sobie, dała mu trochę do myślenia. Spojrzał na zegarek – była 8.40. Planowy odjazd pociągu miał nastąpić za dziesięć minut, ale znając swobodny stosunek polskich kolei do kwestii punktualności, Mróz nie musiał się spieszyć. Podszedł do kosza na śmieci, zajrzał do środka i dyskretnie wyciągnął z niego zmięty papier po kanapce. W oddali ujrzał podświetlony napis: „Peron 2” i jeszcze bardziej zwolnił kroku. U wejścia na peron stało dwóch policjantów w odblaskowych kamizelkach. Przewieszane przez ich plecy kałasznikowy świadczyły, że nie jest to standardowy patrol dworcowy.

Wiedział, że nie ma wyjścia i że musi zaryzykować. Upewnił się, że w kieszeni sutanny spoczywa pistolet, po czym przygarbił się nieco, nasuwając rondo czarnego kapelusza na oczy. Gliniarze obrzucili go przelotnymi spojrzeniami i nadal beznamiętnie wpatrywali się w przelewający się korytarzem tłum.

Pociąg Intercity przez „Hawę, Malbork, Gdańsk” wtaczał się właśnie na peron. Ludzie zaczęli się przepychać do drzwi, mimo iż spikerka w zapowiedzi przez megafon nadmieniła, że pociąg objęty jest całkowitą rezerwacją miejsc.

Fałszywy ksiądz rozejrzał się po peronie. Wyciągnął telefon zabrany z plebanii i pogrzebał chwilę w swojej sportowej torbie w poszukiwaniu wizytówki, którą otrzymał od pewnego niezwykle uprzejmego młodego urzędnika Sztabu Generalnego. Pod imieniem i nazwiskiem czernił się numer telefonu komórkowego, który świeżo upieczony kapłan starannie wystukał na niewielkiej klawiaturze.

* * *

– Pali pan?

– Nie.

– No to będzie pan tylko wdychał.

Admirał wydobyl z za pazuchy eleganckiego munduru paczkę cameli i złotą, grawerowaną zapalniczkę. Po chwili kłęb dymu wzbił się pod sufit. Przez chwilę admirał zbierał myśli niczym dziadek, zamierzający opowiedzieć wnukowi wojenną historię.

– Pułkownik Langer ma o panu jak najlepsze zdanie – zaczął, Langer zaś potwierdził jego słowa skinieniem głowy – *pro forma* więc tylko powiem, że to, co pan usłyszysz, ma pan zachować dla siebie. Wie pan zapewne, że ja i pański szef pracowaliśmy przez pewien czas razem. W bardzo ciekawych czasach.

Konradmirał rozkoszował się przez chwilę dymem, po czym kontynuował:

– Na początku lat dziewięćdziesiątych, tuż po upadku Związku Radzieckiego, na terenie kilku wschodnich województw wystąpiły niepokoje. Twarde prawa rynku zmiotły z powierzchni ziemi nieliczne zakłady przemysłowe, masowo plajtowały PGR-y. Dość powiedzieć, że wśród zamieszkującej te tereny mniejszości białoruskiej, a pamiętać należy, że jest jej tam niemal pół miliona, gwałtownie pogorszyły się nastroje.

Wie pan pewnie, że nacjonalizm połączony z biedą to niebezpieczna mieszanka. Tamtejsza ludność zawsze była lojalna wobec Polski, ale czasy nadeszły wyjątkowo ciężkie. A wraz z nimi niepokoje. Inspirowały je nieliczne grupki nacjonalistów, rodzimych i importowanych, finansowanych *via* Białoruś przez Rosję i przebąkujących coś o polskiej okupacji. Szczególnie tamtejsza młodzież, bezrobotna i nie mająca żadnych szans na rozwój, chętnie garnęła się pod ich sztandary. Zaczęło się jak zwykle niewinnie: zbieranie podpisów, petycje, żądania zwiększenia uprawnień samorządu lokalnego. Potem już ostrzej: podpalenia, zastraszanie, pobicia lokalnych urzędników. Wreszcie... zamordowanie dwóch naszych WOP-istów koło przejścia granicznego w Kuźnicy. Na pierwszy rzut oka oderwane incydenty, ale my zbyt dobrze znaliśmy metody pracy kolegów z KGB, by nie dostrzec metodycznie realizowanego scenariusza. Może pamięta pan żądania przeprowadzenia korytarza eksterytorialnego z Białorusi do obwodu kaliningradzkiego? I do tego na dokładkę pucz Janajewa w sierpniu dziewięćdziesiątego pierwszego, kiedy twardogłowi razem z KGB próbowali obalić Gorbaczowa i przejąć władzę. Nie mogliśmy czekać. Trzeba było zdusić to w zarodku. I zneutralizować wicherzycieli.

– Zneutralizować? – powtórzył Tomasz.

Stankiewicz chrząknął, patrząc pytająco na Langerę. Ten skinął lekko głową, przymykając oczy

– Pan Tomek to nasz człowiek.

– Zneutralizować – konradmirał wzruszył ramionami. – Było kilka samobójstw, wypadków samochodowych, a nawet, zdaje się, nieszczęśliwe porażenie prądem. Byliśmy młodszy, pomysłów nam nie brakowało.

Tomasz spojrział na współczesnego Machiavellego w marynarskim mundurze. Choć nie

sposób było odmówić mu pewnej logiki, Tomasz poczuł, że z tą właśnie chwilą czarno-białe pojmowanie świata i przekonanie, że wszystkie odpowiedzi znaleźć można w encyklopedii, uleciały w niebyt.

– No dobrze – bąknął w końcu – ale co ma do tego Serbia?

– Panie pułkowniku – powiedział uprzejmie admirał.

– Operacja eliminacji punktów zapalnych to był dopiero początek – kontynuował Langer.

– Po tych ludziach pozostała próżnia, nad którą należało przejąć kontrolę. Trzeba było wyciszyć sprawę, załagodzić narosłe napiętności, uspokoić ludzi. A któż lepiej się do tego nadaje niż księża?

Stankiewicz i Langer uśmiechnęli się do siebie, rozumiejąc się bez słów. Tomasz jednak nadal nie rozumiał.

– Nawiazaliśmy kontakt z pewnym wysokim hierarchą kościoła prawosławnego. Cerkiew w Polsce jest autokefaliczna, ale wszystkie kościoły wschodnie są ze sobą ściśle związane. To był przełom dziewięćdziesiątego pierwszego i drugiego roku, Bośnia ogłosiła wystąpienie z Jugosławii, wybuchła wojna. W zamian za obietnicę wyciszenia niepokojów zawarliśmy porozumienie, że nie będziemy przeszkadzać serbskim werbownikom w rekrutacji prawosławnej młodzieży. My zyskiwaliśmy spokój, oni realizowali swoją krucjatę obrony prawosławia, a kilkudziesięciu bezrobotnych chłopaków, zamiast robić zadymy, zarobiło ciężkie dolary w rozpadającej się Jugosławii. Oczywiście obowiązywała i obowiązuje nadal ścisła tajemnica. Pan sobie zdaje sprawę, co by było, gdyby rzecz się wydała? Wtedy, gdy przystępowaliśmy właśnie do negocjacji członkowskich z NATO?

Tomasz starał się nadać swej twarzy wyraz profesjonalnej obojętności, ale sinoczerwone wypieki zdradzały go aż nadto.

– Czyli ten... ten Trębicki, czy właściwie Mróz, to...

– To właśnie jeden z nich.

Tomasz chciał zapytać o coś jeszcze, ale chorąży z BOR-u z efektownym trzaśnięciem piętami poinformował, że pan premier wzywa z powrotem na naradę.

Ruszyli w stronę sali posiedzeń. Sądząc po minach, pomimo wypalonych papierosów na nikogo nie spłynęło olśnienie. Tkaczyk najwyraźniej sam to zauważył.

– Musimy natychmiast... – zaczął premier, ale w tej samej chwili na sali rozległy się polifoniczne tony *IX Symfonii* Beethovena.

W czasie rutynowych posiedzeń Rady Ministrów telefony zostawiano na zewnątrz, lecz tym razem, z uwagi na okoliczności, wszyscy mieli je przy sobie. Tomasz ze złością wyszarpnął komórkę, która zakleszczyła się w wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyszedł z sali ze skruszoną miną, odprowadzany niezadowolonym spojrzeniem premiera, kręcącego głową i mamroczącego coś o dzisiejszej młodzieży. Tomasz zamknął drzwi i odebrał telefon. Pilnujący sali chorąży z niepokojem zauważył, że młody człowiek kilka sekund później zbladł straszliwie i w jednej chwili się spocił.

* * *

– Mam mało czasu, panie Tomku – mówił Mróz i nie mylił się. Do planowego odjazdu pociągu zostało niespełna pięć minut. – Niech pan im nie wierzy. Jestem niewinny...

– Trębicki... – dyszał Tomasz. – Mróz... czy jak tam się nazywasz... niewinny?! Zabiłeś kilku ludzi, skurwysynu! Dopadniemy cię, rozumiesz?!

– To prowokacja! Niech pan nie da się wciągnąć w ich brudną grę! Uprowadziłem pana!

Tomasz rzucił do słuchawki całą litanie błuzgów, dopiero po chwili uświadomiwszy sobie, że morderca rozłączył się. Odepchnął chorążego i rzucił się pędem do sali posiedzeń. Z hurkotem otworzył drzwi i wpadł do środka jak bomba.

– On dzwonił!

– Młody człowieku, to jest bezczelność! – Tkaczyk uderzył otwartą dłoń w stół. – Ja wszystko rozumiem, ale...

– Dzwonił... – Tomasz usiłował złapać oddech.

– Przepraszam, panie premierze – Langer ujął podwładnego pod rękę – pan Tomasz jest troszeczkę nerwowy i...

– Mróz! – wrzasnął referent. – Mróz dzwonił do mnie przed chwilą!

* * *

Rozłączył się. Echa wrzasków młodego człowieka pobrzmiwały jeszcze w jego uszach, gdy wchodził do pociągu. Telefon, po uprzednim wyłączeniu dźwięku i wibracji, zawinął w wyciągnięty z kosza papier i wcisnął do kieszeni sutanny. Ostatni pasażerowie ładowali się do pociągu Intercity, a konduktorzy hałaśliwie zamykali drzwi. Mróz szedł wzdłuż wąskiego korytarza, torując sobie drogę wśród ludzi. Dopiero w piątym przedziale zauważył wolne miejsce.

– Niech będzie pochwalony! – powitał współpasażerów, uśmiechając się uprzejmie.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedziało starsze małżeństwo i ufarbowana na rudo kobieta. Panienska spod okna i siedzący naprzeciw niej biznesmen z laptopem na kolanach nie raczyli powitać osoby duchownej.

– Strasznie dziś dużo ludzi – mówił ksiądz, starając się zapanować nad sutanną. – Bardzo tłoczno...

Wydobył ze sportowej torby chusteczkę higieniczną i smarknął hałaśliwie. Lewą ręką wyjął z kieszeni owinięty w papier telefon i nakrywszy zawiniątko chusteczką, wrzucił ją do zawieszzonego pod oknem kosza na śmieci.

– To pociąg do Krakowa, prawda? – zapytał pasażerów, sadowiac się na siedzeniu.

– Nie, proszę księdza – zaprzeczył starszy pan. – Do Gdyni.

– Do Gdyni – sucho potwierdził biznesmen.

– Wielki Boże! – Mróz złapał swą sportową torbę i zerwał się z miejsca. – Pomyliłem pociągi! Bardzo państwu dziękuję! Bóg z wami!

Pasażerowie z uśmiechem odprowadzili wzrokiem roztargnionego kapłana. Nie domyślali się, że właśnie zafundował im podróż pełną niezapomnianych wrażeń.

Rozdział 13

Nadkomisarz Tomasz Ekiert podał czteroletniemu synkowi zdalnie sterowany samochód. Malec ujął w ręce panel sterowania i po chwili samochodzik ruszył po kamienistej alejce parkowej, dzielnie pokonując nierówności terenu.

Ekiert objął swą filigranową żonę i ruszyli razem za rozbrykanym malcem. Nieczęsto zdarzały się takie chwile, gdy żona i synek mieli go na wyłączność. Szefujący gdańskiej Samodzielnej Kompanii Antyterrorystycznej Ekiert był niewielkiego wzrostu i generalnie niczym się zewnętrznie nie wyróżniał. Wyróżniał się za to ostrym językiem, co bynajmniej nie pomagało mu w policyjnej karierze.

Rok wcześniej naderwane w trakcie treningu ścięgno nie pozwoliło mu wziąć udziału w słynnej akcji aresztowania ukrywających się mafiosów. Zorganizowana bezładnie operacja i nieudolne rozpoznanie sprawiły, że unieszkodliwienie bandziorów, którzy zabarykadowali się w willi, przerodziło się w otwartą bitwę i kosztowało życie jego dwóch kumpli.

Ekiert nie pozostał bierny. Widok żony jednego z zabitych kolegów, siłą odrywanej od trumny, sprawił, że coś w nim pękło. W natchnieniu spłodził raport, w którym wyliczył wszystkie popełnione w trakcie akcji błędy, wszystkie braki i przede wszystkim podkreślił zawiniony przez dowództwo paraliż kompetencyjny. Policyjnym zwyczajem raport, puszczonej drogą służbową, napotykał na różne niespodziewane przeszkody i wreszcie utknął ostatecznie na poziomie naczelnika wydziału. Im bardziej szefowie nalegali na wyciszenie sprawy, tym bardziej stawał mu przed oczami widok zrozpaczonej dziewczyny klęczącej przy trumnie i jej córeczki, która nie rozumiała, czemu źli ludzie zasypują w dole jej tatusia. Miał dość. W interwencyjnym programie TVM „Wizja lokalna” podzielił się swymi spostrzeżeniami ze społeczeństwem. Choć występował w masce i technicy zniekształcili mu głos, już następnego dnia po projekcji komendant wojewódzki wypluł rozkaz wydalenia go ze służby. Solidarność kolegów uchroniła go przed odwieszeniem munduru do szafy, ale nie obyło się bez przeniesienia. Choć komendant groził mu wakatem stójkowego w Hrubieszowie, ostatecznie nadkomisarz Ekiert trafił nad morze.

Gdański oddział antyterrorystyczny pod jego kierownictwem stał się wkrótce jednostką wzorcową. Ekiert był jednym z wielu anonimowych antyterrorystów, którzy uwielbiali swoją służbę, więc starali się pogodzić ją z ignorancją przełożonych i dostosować do niej kretyńskie

rozkazy i procedury, płodzone przez strategów zza biurka. W ciągu roku jego oddział sprawdził się w kilku akcjach przeciw gangom narkotykowym i grupom trudniącym się porwaniami i wymuszeniami dla okupu. Nawiązał również ścisłą współpracę z komandosami Marynarki Wojennej, dzięki czemu jego ludzie stali się specjalistami w odbijaniu zakładników na morzu. Przełożeni, i ci czarno-złoci, i ci srebrno-niebiescy, kręcili nosami na tę nieregulaminową mieszankę MON z MSW, ale ewidentne sukcesy i gratulacje sojuszników mówiły same za siebie.

Zdalnie sterowany samochodzik zgrabnie ominął wystające z ziemi korzenie rosnącego dębu, ale nie poradził sobie z krawężnikiem. Zaliczywszy dachowanie, daremnie kręcił kółkami, bezradny jak żuczek. Ekiert zamierzał odwrócić samochodzik, gdy zadzwonił telefon.

Zarówno żona, jak i mały brzdąc doskonale wiedzieli, co oznacza wibrujący dzwonek. Zanim ojciec odebrał, mama i synek westchnęli jednocześnie i smutno spojrzeli na siebie. Po chwili smutne spojrzenie dorzucił i Ekiert.

Pocałował dziewczynę i rozczołował czuprynę małego. Filigranowa blondynka o wielkich brązowych oczach bez słowa odprowadziła wzrokiem odchodzącego męża. W przeciwieństwie do wielu policyjnych żon od początku wiedziała, za kogo wychodzi za męża. Stała jeszcze z małym przez chwilę, aż biegnący ojciec zniknął za kępą krzaków.

* * *

Idylliczny obrazek pożegnania policjanta z żoną, godny pędzla Grotgera, w niczym nie przypominał pandemonium, które wybuchło, kiedy młody urzędnik poinformował bezceremonialnie premiera i zgromadzonych, kto do niego dzwonił. Kontynuując malarskie porównania, scena, która nastąpiła później, przypominała słynny obraz Ilji Repina, przedstawiający Kozaków piszących list do sułtana.

- Jest pan pewien!?! – pytał premier.
- Skąd pewność, że to on? – przekrzykiwał zebranych Janusewicz.
- Ciszej, panowie! – potęgował hałas Barlicki.
- Cisza!

Tkaczyk wstał i oparł się pięściami o blat stołu. Zgromadzeni ucichli i spoglądali to na premiera, to na Tomasza, kręcąc głowami jak na meczu tenisa.

- Jest pan pewien, młody człowieku, że to na pewno on?
- Tak, panie premierze.
- A zatem mamy go! – tryumfalnie sapnął Barlicki.
- Jesteście w stanie go zlokalizować? – zapytał Tkaczyk.
- Oczywiście! – skwapliwie przytaknął generał. – Jeśli będzie na tyle głupi i zatrzyma telefon przy sobie, zlokalizujemy go w ciągu paru sekund. Nie docenił nas i to będzie go

drogo kosztować!

– No to na co panowie czekacie? Biegiem! Barlicki poderwał się i doskoczył do Tomasza z zadziwiającą chyżością.

– Kiedy dzwonił do pana, wyświetlił się jego numer czy numer zastrzeżony?

Tomasz wyjął swego nowego siemensa. W menu telefonu wybrał opcję „Records”, a następnie „Calls Received”. Po chwili dziewięciocyfrowy numer przychodzący znalazł się w notatniku szefa ABP. Barlicki wyciągnął swój telefon i gardłowym głosem rzucił kilka słów.

Nagle drzwi sali posiedzeń otworzyły się i do środka, zaanonsowany przez roztrzęsionego chorążego, wkroczył szef Sztabu Generalnego, generał Pękala. Obrzuciwszy po drodze Langerę piorunującym spojrzeniem, parł dalej w kierunku premiera.

– Panie premierze, generał Dariusz Pękala meldu...

Tkaczyk ze złością machnął ręką, żeby go uciszyć. Generał natychmiast cofnął się o dwa kroki i przyjął uniżoną postawę. Widząc, że oczy całego towarzystwa skupione są na szefie ABP, Pękala skinął na Langerę, niezadowolony, że jego efektowne wejście nie zainteresowało nikogo.

– Pan pozwoli ze mną – warknął na pułkownika i ruszył na korytarz. Langer ze znużoną miną powlókł się za nim.

– Panie pułkowniku – zaczął łychol swoim mdłym głosem, odesławszy gestem stojącego u drzwi chorążego – chciałem pana uprzejmie zapytać, dla kogo do cholery pan pracuje?

– Dla pana generała – odrzekł nieco zdziwiony Langer.

– Gówna prawda! – wrzasnął Pękala. – Ja nie będę tolerował prywatnych rozgrywek moich podwładnych! Tylko ja mam prawo meldować się u premiera! Co pan sobie myśli! Dlaczego nie poinformował mnie pan o sprawie tego testamentu? Dlaczego to wyszło dopiero teraz?

– Pana generała nie było w kraju – bronił się pułkownik. – Myślałem, że...

– Myślenie niech pan zostawi mądrzejszym! Należało mnie natychmiast zawiadomić, panie pułkowniku Langer! Natychmiast! I ściągnąć choćby spod ziemi!

Pękala otarł pot, który silnie wystąpił mu na łysinę. Zmrużył oczy i przysunął swoją twarz do twarzy Langerę.

– Pańskie ambicje są mi dobrze znane – syknął cicho. – Wiem, że mierzy pan znacznie wyżej niż szefowanie departamentowi. Uprzedzam pana, że jeśli będzie pan rzucał mi kłody pod nogi, wyląduje pan na cienkiej emeryturce. Jasne?

– Pan generał się myli – oświadczył Langer, patrząc zimno w lisie oczka szefa. – Ta sprawa niedawno ujrzała światło dzienne...

– I akurat wtedy, gdy nie było mnie w kraju? – Generalską gębę ozdobił zjadliwy uśmiezek. – Ja nie wierzę w przypadki, panie dyrektorze Langer.

Pękala odsunął się od pułkownika. Obciągnął na sobie mundur i założył ręce do tyłu.

– Na razie jest pan wolny – burknął w końcu. – Proszę wracać do sztabu i oczekiwać na

dalsze rozkazy. I proszę zabrać ze sobą tego gówniarza. To nie przedszkole.

* * *

Siedzieli obok siebie, nic nie mówiąc. Langer coś mruzczał, wściekle tłukąc beretem o udo. Tomasz, z braku nakrycia głowy, nerwowo miętosił pas bezpieczeństwa. Wściekłość bulgocąca w ich ciałach tak zagęściła atmosferę, że prowadzący lancię kapral siedział struchlały, nie śmiejąc się odezwać.

Samochód przystanął przed szlabanem. Uzbrojony wartownik zajrzał do środka i zasalutował. Szofer podjechał możliwie blisko wejścia i delikatnie zatrzymał wóz. Langer z Tomaszem wysiedli i ruszyli w stronę bramek blokujących wejście do budynku. Tomasz przytknął swą przepustkę do czytnika i przeszedł gładko, bramka pułkownika zaś odmówiła współpracy i dyrektor Departamentu ds. Sytuacji Nadzwyczajnych z hukiem przywalił udem w stalowy pręt.

Tomasz otworzył bramkę swoim czytnikiem. Mimo iż było to jawne naruszenie regulaminu, pilnujący wejścia ochroniarz, widząc siłą z wściekłości twarz oficera, nie śmiał zareagować. Wsiadli razem do ślamazarnej windy i zjechali na dół. Wyciszony korytarz departamentu zdawał się działać kojąco na sterane dyrektorskie nerwy, ale efekt zepsuła panna Agnieszka, biegnąca im na spotkanie:

– Panie dyrektorze! Panie dyrektorze! – wołało dziewczę. – Panie dyrektorze, jakiś pan czeka na pana w sekre...

– Nie ma mnie dla nikogo! – warknął Langer i bezceremonialnie odsunął dziewczynę z drogi.

– Ale... on czeka... – bąknęła żałośnie i zwróciła się do Tomasza. – Może pan, panie Tomku, zechce...

– Mnie też nie ma dla nikogo!

Panna Agnieszka popatrzyła przerażona na obu panów. Łzy, które momentalnie błysnęły pod szklami jej dużych okularów, udowodniły, że brakowało jej predyspozycji psychicznych na etat sekretarki. Otarła szybko łezki rękawem bluzki i ruszyła do sekretariatu za pułkownikiem i referentem.

Langer wpadł do środka i wyciągnął z kieszeni klucze. Od czasu feralnej wpadki z testamentem zamykał drzwi, nawet wychodząc za potrzebą. Nie zaszczyciwszy jednym spojrzeniem oczekującego nań w kącie gościa, przekręcił klucz w zamku. Tomasz bezceremonialnie zgarnął na bok papiery Agnieszki, szukając swojego klucza, który zostawił w sekretariacie.

Czarnowłose dziewczętko starało się nie zbliżać do dwóch furiatów. Łagodnym głosem, przywołując z trudem uśmiech na twarz, odezwało się do przybysza:

– Może zechce pan przyjść jutro, panie Dębicki?

W następnej chwili uśmiech zniknął, a w oczach znów pojawiły się łzy. Obaj miotający się z kluczami panowie wytrzeszczyli na nią oczy.

* * *

Kilkanaście siwiejących i łysiejących głów wpatrywało się w ekran laptopa jak stado ropuch w bijące pioruny. Na ich twarzach malował się zachwyt i niedowierzanie. Jedyne podparta solidnym podbródkiem facjata generała Barlickiego promieniowała dumą.

Konradmirał Stankiewicz jako jedyny zachowywał kamienną twarz, choć i on z ciekawością obserwował migający na ekranie laptopa punkcik. Siedzący za klawiaturą młody, trzydziestoletni mężczyzna z wyżełowaną czupryną pytająco spoglądał na generała Barlickiego. Ten rozkoszował się jeszcze przez chwilę zachwytem zebranych, po czym skinął młodemu głową.

– Jak już wspomniałem – odezwał się młodzian drżącym z przejęcia głosem – system pozwala śledzić dowolny telefon komórkowy znajdujący się w zasięgu GSM. Jesteśmy w stanie namierzyć obiekt z dokładnością do kilkunastu metrów. Zlokalizowany obecnie aparat znajduje się najprawdopodobniej w pociągu jadącym od strony Warszawy w kierunku północnym.

– Coś podobnego – mruknął Tkaczyk, a zgromadzeni wokół pochlebcy jęknęli z zachwytem. – I potraficie tak każdy telefon?

– Oczywiście, panie premierze – potwierdził Barlicki, dając znak młodemu, żeby się zamknął. – Każdy. Każdziuteńki.

– No, no... – rzekł Tkaczyk – każdy, mówi pan. Przydałby mi się taki system do monitorowania żony.

Wazeliniarze gruchnęli gromkim śmiechem z doskonałego żartu premiera. Młodzian uśmiechnął się również. Barlicki wzrokiem polecił mu kontynuować wykład.

– Pociąg znajduje się obecnie kilka kilometrów przed Nasielskiem.

– Trzeba koniecznie ustalić, co to za pociąg – odezwał się komendant Graczyk. – Trzeba zadzwonić... no właśnie, dokąd?

– Może do ministerstwa transportu – po raz kolejny błysnął generał Piętka.

– Raczej do dyrekcji kolei – zaproponował Janusewicz.

– Nie, tam niczego się pan nie dowie – zanegował rudzielec Połtawa. – Normalnie, trzeba zadzwonić na informację kolejową...

– Co pan, z choinki się urwał? – Graczyk popukał się w czoło. – Nie dodzwoni się pan tam o tej porze. Przedwczoraj odbierałem córkę z zięciem z Dworca Zachodniego. Pół godziny nie mogłem się dodzwonić...

– Przecież mamy, do cholery, jakieś służby informacyjne – zirytował się Tkaczyk i przesunąwszy wzrokiem po zmieszanych twarzach, zapytał: – Ma ktoś jakiś pomysł?

Ostatecznie sprawę zlecił telefonicznie swym podkomendnym generał Janusewicz. Zaskoczony oficer dyżurny Agencji Bezpieczeństwa Państwa rozpoczął żmudny proces przedzierania się przez kolejową administrację, podzieloną na ponad czterdzieści spółek. Dodzwoniwszy się do spółki zarządzającej wagonami, skierowany został kolejno do spółki towarowej, remontowej, łącznościowej i elektrycznej. Dopiero w tej ostatniej rozgarnięta sekretarka wpadła na pomysł przełączenia wykończonego nerwowo oficera do biura bezpieczeństwa ruchu kolejowego. Stamtąd było już z górki – rozdzielnia, biuro zawiadowcy stacji Warszawa Centralna i wreszcie wydział kryzysowy Polskich Kolei Państwowych.

– Melduje się dyżurny kontroli ruchu, naczelnik Rudzki – usłyszał w słuchawce generał Janusewicz. Bez słowa przekazał ją młodzianowi siedzącemu za laptopem.

– Interesuje nas pociąg jadący w kierunku północnym, znajdujący się obecnie za Nasielskiem – oznajmił młodzian. – Proszę pilnie ustalić, co to za pociąg i dokąd jedzie.

Przez chwilę w słuchawce słychać było tylko głośnie nawoływania i nerwowy stukot klawiatury.

– To skład Intercity „Lajkonik” z Krakowa Głównego do Gdyni Główniej. Numer 3501, dziewięć wagonów, w tym restauracyjny. Jest opóźniony.

– Co robimy? – zapytał premier. – Trzeba go aresztować.

– Proszę pamiętać, panie premierze, że to niebezpieczny człowiek – odezwał się kontradmirał Stankiewicz. – Nie można go zatrzymać, ot tak.

– Jednostka antyterrorystyczna! – wrzasnął nagle olśniony Graczyk. – Panie premierze, proszę o zezwolenie na użycie antyterrorystów!

– Panie premierze – naciskał Stankiewicz – nie możemy narażać wszystkich pasażerów pociągu. Nawet nie wiemy, w którym wagonie znajduje się Mróz. Taka akcja może się skończyć masakrą. Przypominam panu, co działo się na lotnisku!

– Tak – mruknął wyraźnie skonsternowany Tkaczyk – nie jestem przekonany co do użycia siły. Mam w tej materii złe wspomnienia.

– Z całym szacunkiem dla pana Stankiewicza – zripostował wyniośle Graczyk – na lotnisku nie popisali się jego agenci. Moi chłopcy wielokrotnie ćwiczyli wariant opanowywania pociągu.

– Panie premierze – warczał coraz bardziej wkurzony kontradmirał – trzeba obstawić wszystkie dworce, przez które przejeżdża pociąg, i wziąć faceta pod dyskretną obserwację!

– Może to i jakieś wyjście – mamrotał Tkaczyk, szukając bezskutecznie wzrokiem pomocy wśród zebranych. – Chociaż z drugiej strony...

– Nie ma czasu na cackanie się z tym bandytą! – krzyknął Graczyk, po czym szepnął premierowi na ucho: – Moi chłopcy znają się na tym, panie premierze. Obiecuję, że po szczęśliwie zakończonej akcji ogłoszę, że to pan premier był autorem planu. Proszę pomyśleć o sondażach...

Tkaczyk spojrział na komendanta głównego. Zakończona sukcesem i odpowiednio

nagłośniona akcja niewątpliwie poprawiłaby medialny wizerunek najgorszego premiera w historii III RP.

- Dobrze – ustąpił – niech pan działa. Tylko na miłość boską: uważajcie!
- Niech pan będzie spokojny. Wyłuskamy go jak orzeszek.
- Mam nadzieję – burknął premier i dodał cicho: – I proszę ułatwić pracę dziennikarzom.
- Tak jest!

* * *

Nadkomisarz Ekiert odłożył telefon. Furgonetka podskoczyła na jakimś wyboju i siedzący wewnątrz policjanci jak na komendę brzęknęli oporządzeniem. Ekiert zlustrował swoich ludzi – od ogłoszenia alarmu do załadowania sekcji do furgonetek minęło siedem minut. Wynik na czwórkę z plusem.

– Obiekt znajduje się w pociągu, ale wciąż nie wiemy, w którym wagonie. Warszawa stara się to ustalić. Nie mamy żadnych bliższych informacji poza tym, że obiekt jest bardzo niebezpieczny. Najprawdopodobniej weteran wojny jugosłowiańskiej. I najprawdopodobniej uzbrojony.

– Sporo tego „najprawdopodobniej” – odezwał się komisarz Zaczyk, zastępca Ekierta. – Nie mamy dosyć sił, żeby opanować cały skład.

– Nie dam sygnału do rozpoczęcia akcji, jeśli nie będę miał stuprocentowej pewności. Znasz regulamin. Będziemy mieć około godziny na rozpoznanie miejsca akcji. Dworzec w Malborku nie jest zbyt duży, ale...

Telefon nadkomisarza zadzwonił znowu.

– Komenda główna, młodszy inspektor Witkowski – usłyszał w słuchawce. – Udało nam się nawiązać kontakt z kierownikiem tego pociągu. Pod pozorem kontroli biletów przyjrzy się wszystkim pasażerom. Przekazaliśmy mu rysopis.

– Niech zwróci uwagę na każdy szczegół – mówił Ekiert. – Na ludzi, z którymi siedzi obiekt, na jego bagaż, na wszystko! I niech nie da po sobie niczego poznać. Niech w żadnym razie się na niego nie gapi!

- Wszystko mu przekazaliśmy. Mamy z nim bezpośrednią łączność radiową.
- Niech maszynista opóźni trochę przyjazd! Nie za dużo, jakieś pięć, dziesięć minut.
- Zrozumiałem, przekażę!
- Czołem!
- Czołem!

* * *

Langer z Tomaszem wpatrywali się w eleganckiego starszego pana, który uniósł się z

fotela, wspierając się na stylowej lasce z rzeźbioną główką. Mimo na oko siedemdziesięciu lat trzymał się prosto i zachował krzepką sylwetkę. Rogowe okulary w grubych oprawkach i brązowy garnitur z szerokimi klapami sprawiały, że przypominał gimnazjalnego profesora starej daty.

– Kurt Dembitzky – przedstawił się, wymawiając dokładnie końcówki i oddając głową sztywny ukłon.

Pułkownik i referent nadal patrzyli na staruszkę z niezbyt mądrymi minami. Gość, sądząc zapewne, że nie dosłyszeli, powtórzył głośniejszym, z twardym niemieckim akcentem:

– Moje nazwisko jest Kurt Dembitzky.

– Langer – pułkownik pierwszy ocknął się z otępienia. – A to jest pan Tomasz S...

– Bardzo mi miło – przerwał mu staruszek.

– Czy pan jest... – wyjąkał Tomasz, patrząc na dziadka jak na zjawę – czy pan jest potomkiem...

– Tak. Jestem w prostej linii praprawnukiem majora Dębickiego.

– Jak to możliwe? Przecież Taras... Taras twierdził...

– Taras twierdził wiele rzeczy. I wielu rzeczy nie przyjmował do wiadomości.

Dyrektor uprzejmym gestem poprosił gościa, by ten z powrotem zechciał zająć swoje miejsce. Przez chwilę obie strony przyglądały się sobie w milczeniu.

– Napije się pan herbaty, panie Dembitzky?

Rozdział 14

Pociąg wolno wytracał prędkość i wtaczał się ze zgrzytem na peron. Ekiert, zajmujący wraz ze swoją sekcją pozycję w ceglanej budce zawiadowcy stacji, uniósł do góry rękę. Klęczący za nim gęsiego policjanci ścieśnili się jeszcze bardziej. Od ponad kwadransa tkwili w tej niewygodnej pozycji, ale tygodnie treningów pod czujnym okiem Ekierta zrobiły swoje.

Oszczędna w słowach komenda pofrunęła do pozostałych czterech grup szturmowych, z których jedna zajmowała pozycję w budynku dworca, trzy zaś w pustych wagonach pociągu towarowego, stojącego na równoległym torze do wjeżdżającego właśnie Intercity. Czujność wzmogli też trzej snajperzy, rozmieszczeni na planie trójkąta po obu stronach dworca.

Niejasny z początku obraz sytuacji stał się po kilkudziesięciu minutach bardziej przejrzysty – kierownik pociągu Intercity, z którym Komenda Główna w Warszawie po kilku próbach nawiązała kontakt, okazał się w miarę rozgarnięty. Ku zaskoczeniu i niezadowoleniu zespołu konduktorskiego zarządził między Działdowem a Iławą dodatkową kontrolę biletów, w trakcie której dyskretnie zlustrował wszystkich pasażerów.

Jak na złość, wypełnionym pociągiem jechało dwóch osobników odpowiadających z grubsza rysopisowi – jeden w czwartym przedziale wagonu numer 6 i drugi w siódmym przedziale wagonu nr 9. W trakcie przekazywania tej informacji nadkomisarzowi Ekiertowi doszło do pewnego przekłamania – konduktor, przekazując dane, używał numerów bocznych wagonów, komandos zaś liczyli jako pierwszy wagon najbliższy lokomotywie. Tymczasem zgodnie ze specyficzną logiką kolejową wagon ów nosił numer jedenasty. Uznany przez komandosów za drugi – był według kolejarzy dziesiątym, trzeci – dziewiątym, czwarty ósmym, piąty siódmym, a szósty – i tu niespodzianka – był szóstym. Dalej podczepiono wagon restauracyjny, a za nim dwa wagony pierwszej klasy z numerami bocznymi cztery i trzy.

Nakreślony naprędce plan akcji przewidywał atak pięciu grup szturmowych. Znajdująca się w peronowej budce grupa Ekierta zaatakować miała oba podejrzane przedziały od strony peronu. Z trzech grup znajdujących się w trzech wagonach składu towarowego dwie zaatakować miały te same przedziały z prawej strony pociągu, jedna zaś szturmować miała wagon restauracyjny na wypadek, gdyby któryś z dwóch blondynów w ostatniej chwili zapragnął coś przekąsić. Ostatnią piątą grupę, tak zwaną „sprzątającą”, Ekiert rozmieścił w

rozległym budynku malborskiego dworca, wzniesionym z czerwono-brunatnej pruskiej cegły. Jej zadaniem była ewakuacja pasażerów i zabezpieczenie terenu akcji.

Lokomotywa wtaczała się majestatycznie na peron. Przeróżliwy pisk hamulców podniósł poziom adrenaliny w żyłach policjantów. Skład, pchany siłą rozpędu, powoli się zatrzymywał. Ekiert poczuł to jedyne w swoim rodzaju uczucie, które tak uwielbiał.

– Teraz!

* * *

Spojrzał na zegar umieszczony na desce rozdzielczej – wskazywał 10.35. Od przeszło godziny stał na parkingu hipermarketu budowlanego przy lotnisku – na tym samym, z którego wczorajszego dnia uciekał do centrum.

Z narastającym niepokojem obserwował ślamazarnie poruszający się sznur samochodów na trasie wylotowej na Raszyn. Blokada wciąż zamykała drogę do wolności, mimo że podrzucony przez niego w pociągu telefon od półtorej godziny ściągał na siebie uwagę policji.

Czas płynął nieubłaganie. Mróz wiedział, że skacowany księżulo lada chwila stwierdzi jego nieobecność, a co gorsza – nieobecność ukochanego samochodu. Skojarzenie sobie tych dwóch faktów nie powinno zabrać dobrodziejowi więcej niż kilkanaście sekund. Mróz mógł tylko mieć nadzieję, że to odnalezienie jego osoby jest priorytetem dla stołecznej policji i zapłakany księżulo lamentujący za swym peugeotem nie wzbudzi szczególnego zainteresowania i zostanie potraktowany rutynowo.

Mróz nie zawiódł się na swej intuicji. Po kilku minutach zauważył wreszcie, że blokujące Aleję Krakowską radiowozy zjeżdżają z pasów ruchu na pobocze. Niemrawa dotąd fala samochodów skierowała się na Raszyn i Janki. Uruchomił silnik i ruszył powoli naprzód. Zdecydowanie wpełznął się na lewy pas, zawrócił na południe i powoli nabierał prędkości. Wiedział, że prędkość to jego jedyna szansa. Miał trzy, najwyżej cztery godziny.

* * *

Mówił krótko i rzeczowo, lekko chropowatym, ale wyraźnym głosem. Czasem tylko przerywał, szukając w myślach brakującego słowa w języku, którego nie używał od lat.

Kurt Dembitzky urodził się w 1932 roku w Poznaniu. Na początku wojny jego ojciec podpisał volkslistę, przez co pięć lat później rodzina została w trybie nagłym eksmitowana przez kilka milionów komorników w kufajkach i czapkach z czerwonymi gwiazdkami. Uchodząca przed frontem rodzina kilkakrotnie zmieniała miejsce pobytu, by ostatecznie osiąść w Bonn – stolicy nowej Republiki Federalnej.

– O pradziadku Dębickim i o jego spadku po raz pierwszy usłyszałem w połowie lat

pięćdziesiątych, od ojca. Przeżył wojnę, ale jego dwóch braci przepadło po bitwie stalingradzkiej. Prosił, żeby zachować to w sekrecie. Panowie rozumieją, byliśmy z volkslisty, a to jakby Niemcy drugiej kategorii. Mówienie o polskich przodkach na pewno by nam nie pomogło. Ojciec pokazał mi dokumenty. To były jakieś wypisy notarialne w języku angielskim i kilka szkiców działek, jakieś plany... Później, gdy ojciec zmarł, ja zacząłem drążyć tę sprawę, ustalać fakty, zbierać dokumenty. Ale musiałem przerwać. Tropy prowadziły do Polski, a o jakiegokolwiek współpracy z komunistami jako volksdeutsch nie miałem nawet co marzyć. Dałem sobie spokój i na dwanaście lat zapomniałem o tej sprawie. Aż do 23 września 1972 roku.

Dembitzky łyknął stojącej przed nim herbaty. Langer z Tomaszem nadstawili uszu.

– Tego dnia odwiedziło mnie dwóch panów. Pamiętam tę datę, bo dzień wcześniej był chrzest mojej siostrzenicy. Jeden z nich był Amerykaninem z kancelarii adwokackiej z Houston w Teksasie, drugi tłumaczem. Adwokat powiedział, że reprezentuje anonimowego klienta, który gotów jest zapłacić dużą sumę w zamian za wszelkie dokumenty związane z osobą Ludwika Dębickiego, szczególnie zaś za jego testament. Nie wiem, skąd wiedzieli, kim jestem i gdzie mieszkam, nie chcieli powiedzieć. Mówiłem prawdę: nie mam i nigdy nie miałem testamentu, ale właśnie ich odwiedziny przekonały mnie, że warto go odnaleźć. A szczególnie przekonała mnie suma, którą mi zaoferowali.

– Ile? – zapytał szybko Langer.

– Milion ówczesnych marek.

Langer pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Była jeszcze inna zachęta prócz pieniędzy.

– Jaka?

– Niebieski volkswagen.

Langer spojrzał na staruszkę z rozbawieniem.

– Do tych milionów dorzucili panu samochód?

– Nie dorzucili, a ustawili. Przed moim domem. A w środku kilku typów, którzy obserwowali mnie na zmianę. Dopiero gdy mój syn, sprzątając, znalazł pod fotelem pluskwę od podsłuchu, zacząłem kojarzyć pewne fakty. Samochód pod domem, głuche telefony, ekipę z gazowni, która opukiwała mi ściany... Niemal przez pół roku siedziałem cicho, jakby nic się nie stało. Jestem pewien, że moje mieszkanie zostało przeszukane.

Niemiec umilkł na chwilę, zbierając myśli. Tomasz podszedł do grającego radia, w którym skończyła się właśnie nastrojowa muzyka i rozpoczął serwis informacyjny. Przyciszył odbiornik i dołączył gościowi herbaty.

– *Danke* – mruknął dziadzio i wzięwszy filiżankę w rękę, mówił dalej: – Kiedy Willy Brandt klęknął przed pomnikiem w warszawskim getcie, sytuacja się zmieniła. Zacząłem odwiedzać Polskę i na podstawie skąpych informacji odtwarzać drzewo genealogiczne majora. Okazało się, że jego potomkowie rozsiani są po całej Polsce. Oceniam, że w grę

wchodzi ponad sto osób.

– Sto!?! – krzyknął Tomasz. – Ale przecież Taras...

– Spryciarz chciał załatwić sprawę na własną rękę. Miał w końcu koneksje i koronny dowód. Jest nas ponad setka do podziału, proszę panów. I co najmniej drugie tyle oszustów, którzy wietrzą w tym interes. Z każdym artykułem prasowym, który ukazuje się na temat tej sprawy, kolejne fale Dębskich, Dobrzyckich, Dąbrowskich czy Dębków zgłaszają się po wypłatę. A po tym – rzucił na stół egzemplarz „Republiki” z poprzedniego dnia – będziemy mieli następny wysyp milionerów.

– Ponad setka – Langer kręcił głową.

– Owszem, panie pułkowniku. Kraków, Kielce, Legnica, Toruń, no i Bielsk Podlaski. Na początku lat osiemdziesiątych, jeszcze przed tą waszą wojną Jaruzelskiego...

– Stanem wojennym – sprostował cicho Langer.

– Właśnie. Przed stanem wojennym odwiedziłem Bielsk. Mój drogi kuzyn Jacenty nie chciał mnie widzieć. Ledwie zdążyłem się przedstawić, zatrzasnął przede mną drzwi. Próbowałem telefonować, wysłałem do niego kilka listów z wyjaśnieniami... wszystko na marne. Gdyby nie pewność, że testament istnieje, machnąłbym na to ręką.

– A skąd ta pewność? – zapytał Tomasz.

– Mój ojciec jeszcze przed wojną prowadził poszukiwania. Równie trudne. Wicie, panowie, moja rodzina zawsze w Polsce uważana była za Niemców, a w Niemczech za Polaków. Ojciec przyjaźnił się z oficerami 15. Pułku Ułanów, między innymi z jednym kapitanem, który był z Oddziału II, czyli waszej Abwehry, przy Wielkopolskiej Brygadzie Kawalerii. Ojciec prowadził w Poznaniu restaurację, a przedwojenni oficerowie mieli skłonności do zadłużania się.

– Nie tylko przedwojenni – mruknął Langer.

– *Was?*

– Nic, nic, proszę mówić.

– Ten kapitan, rzecz jasna, nie mógł wynieść papierów z archiwum, ale potwierdził istnienie dokumentu wśród innych, zachowanych z czasów powstania listopadowego.

– I po wojnie jakimś sposobem Taras wszedł w jego posiadanie – dokończył opowieść Langer.

– Czy ja mogę – gość w ciągu ostatnich minut coraz bardziej nerwowo kręcił się w fotelu.

– Czy ja mogę go zobaczyć? Testament?

Dyrektor i referent spojrzeli na siebie.

– Widzi pan, to będzie trochę trudne.

– Wiem, wiem, macie swoje procedury. Obiecuję, że zachowam daleko posuniętą dyskrecję.

– Nie mamy testamentu. Został skradziony.

Mimo że dyrektor ostatnie zdanie wypowiedział możliwie najłagodniejszym tonem, twarz

Dembitzky'ego stała się biała jak żagiel, a on sam wczepił się pazurami w poręczę fotela. Po chwili opadł na oparcie, oddychając z trudem. Tomasz podał Niemcowi szklankę z przygotowaną wodą, ale ten odmówił słabym gestem.

– A więc jednak byli pierwsi – szepnął.

– Kto?

– Texas Oil Endeavour.

– To by się zgadzało. – Tomasz przywołał w pamięci listy Tarasa.

– Chce pan powiedzieć, że ta firma – odezwał się Langer – wysłała tu zawodowego mordercę, żeby wykradł ten papier?

– *Herr Oberst* – Dembitzky popatrzył na pułkownika z ironią. – Kiedy w grę wchodzi takie pieniądze, nie ma rzeczy niemożliwych. Ludzie zabijali dla znacznie mniejszych sum.

Langer pokiwał głową. Stary volksdeutsch miał zupełną słuszość.

– Widzi pan, warunkiem rozpoczęcia sprawy przed sądem amerykańskim jest zebranie wszystkich spadkobierców. To niemożliwe. Dlatego jedynym wyjściem jest ugoda między firmą a poszczególnymi spadkobiercami, którzy zdołają udowodnić swoje pokrewieństwo z majorem Dębickim. Ale do tego potrzebny jest testament Dębickiego.

– Dlatego Taras zwracał się do rządu o pomoc. I dlatego proponował przekazanie dziewięćdziesięciu pięciu procent sumy na rzecz skarbu państwa – myślał głośno Tomasz.

– Stary dureń! – uniósł się nagle Dembitzky. – Chciał nas wszystkich oszukać! Co za podłość!

Po chwili uspokoił oddech i przywołał się do porządku. Na jego twarzy pojawił się chytry kupiecki uśmieszek. Zniżył ton i pochylił się konfidencjonalnie do przodu.

– Panowie, pogadajmy jak Polak z Polakiem – zaproponował volksdeutsch. – Pomóżcie mi znaleźć ten papier. Załatwimy sprawę bez waszych i naszych rządów i innych oszustów. A w zamian za to otrzymacie udział w zysku.

Pułkownik i referent patrzyli na gościa ze zdumieniem.

– Nawet gdybyście dostali dziesiątą część procenta, byłyby to miliony dolarów, panowie! Miliony!

Niemiec patrzył ze skupieniem na cywila i mundurowego. Przez chwilę cała trójka lustrowała się wzajemnie, starając się wyczytać coś ze swych twarzy.

– Miliony – mruknął Langer.

– I to dolarów – dorzucił Tomasz.

– *Ja, ja, Millionen!* – przytaknął entuzjastycznie szwab. – *Millionen!*

– Co pan zrobi ze swoją częścią, panie dyrektorze? – zapytał młody, siląc się na powagę.

– Cóż – Langer zaczął masować skronie kolistymi ruchami. – Kupię sobie ponemiecki dwór na Mazurach i będę patrzył, jak mi rośnie. A pan, panie Tomku?

– Opłacę leczenie psychiatryczne pułkownika Ziemka – odpowiedział młody. – Choć obawiam się, że mogłoby nie starczyć.

Jeszcze zanim obaj wybuchnęli śmiechem, Dembitzky domyślił się, że Polacy robią sobie z niego jaja.

– Nie, to nie – burknął zirytowany i wstał z fotela. – Drugi raz nie powtórzę tej propozycji.

– Narzeka pan na Tarasa – Langer spoważniał nagle – a w rzeczywistości chce pan zrobić to samo co on.

– Jeżeli nie znajdziecie testamentu, nikt niczego nie zrobi – odparł stary.

Langer osobiście odprowadził go do wyjścia. Dembitzky oddał mu sztywny pruski ukłon i wyszedł. Wracając do gabinetu, dyrektor mrugnął do wciąż zestresowanej panny Agnieszki.

– I co pan sądzi? – zagadnął Langer, zamykając drzwi.

– Z tego, co mówił, wynika, że za tym całym Mrozem stoi potężna organizacja i duże pieniądze. Jeśli ma wsparcie, to możemy go nigdy nie złapać. Ale... ale coś mi tu nie gra.

– Co takiego?

– Facet jest zawodowym mordercą, tak?

– Tak.

– Weteranem wojennym i najpewniej członkiem mafii.

– Tak.

– Można więc powiedzieć, że jest dobry.

– No... można.

– Więc...

– Więc co? – zniecierpliwiony pułkownik przechylił się do przodu, aż zatrzeszczało biurko.

– Więc po cholere do mnie zadzwonił? Przecież wiedział, że go namierzymy. Chyba że... on chciał...

Langer nie słuchał dłużej. Chwycił za telefon. Panna Agnieszka sprawnie połączyła go z sekretariatem szefa sztabu. Sekretarka Pękali z początku stroiła fochy, ale na wyraźne żądanie Langer'a połączyła go z telefonem komórkowym szefa Sztabu Generalnego.

– Tak? – szorstki i nieprzyjemny głos generała wyleciał ze słuchawki.

– Panie generale, melduje się pułkownik Langer!

– Czego pan chce? Przecież powiedziałem wyraźnie, że ma pan czekać na rozkazy!

– Panie generale, myślę, że znam zamiary poszukiwanego bandyty.

– Ach tak – kpiąco warknął generał. – Niech pan sobie wyobrazi, że ja też je znam. W tej chwili wybiera się pociągiem nad morze. I zapewniam pana, że tam nie dojedzie.

– Panie generale, logicznie rzecz biorąc...

– Panie pułkowniku! Logikę proszę pozostawić mnie. Ja wiem, jaką logiką się pan kieruje. Logiką ambicji! Już zdaje się rozmawialiśmy na ten temat!

– Ale...

– Dosyć! Dosyć, do jasnej cholery! Co to jest! – darł się szef sztabu. – Nie będę dwa razy

powtarzał moich rozkazów!

Przez chwilę w słuchawce słychać było tylko przyspieszony, chrapliwy oddech.

– Wysyłam do pana swojego kierowcę – podjął generał spokojniejszym, choć nadal gniewnym głosem. – Przywiezie panu mój odręczny rozkaz na piśmie. Bo widzę, że innego pan nie rozumie! A jutro rano zamelduje się pan u mnie punkt ósma. Żegnam!

Tomasz nie słyszał słów Pękali, ale zniekształcone wrzaski generała i purpurowe oblicze dyrektora były niezwykle wymowne. Langer z trzaskiem odłożył słuchawkę.

– Rozkaz na piśmie – warczał ni to do siebie, ni to do Tomasza. – Mój Boże... Czekać... Na co, do cholery? Na zbawienie?

– Co się stało, panie dyrektorze?

– Szef nie życzy sobie, żebym podejmował jakiegokolwiek kroki – wyjaśnił oględnie dyrektor. – Uważa, że Mróz ucieka jakimś pociągiem jadącym na północ. Oni tam tracą czas, a my tu siedzimy jak durnie!

– Nie możemy nic zrobić?

– Nie. Rozkaz na piśmie – podkreślił Langer z sarkazmem.

– Panie dyrektorze! – Tomasz nachylił się poufale do zwierzchnika. – Nie wierzę, że ten facet jest w tym pociągu. Podrzucił telefon, a sam ulotnił się w inną stronę! Czy oni tego nie rozumieją? Przecież to logiczne!

– Panie Tomku – westchnął Langer. – Wojsko zaczyna się tam, gdzie kończy się logika.

– Skoro nie możemy nic zrobić oficjalnie... zróbmy coś nieoficjalnie.

– Co pan proponuje?

– Myślę, panie dyrektorze, że już najwyższy czas zapędzić panów z pokoju numer 240 do roboty.

* * *

Tomasz skończył mówić. Cztery tłuste puchacze słuchały uważnie, nie przerywając ani razu.

– Więc mówisz pan, panie Tomku – zagadnął Czernicki, wcinając kanapkę z pasztetową – że go nie ma w tym pociągu?

– No pewnie, że go nie ma – stwierdził Halbert, wzruszając ramionami. – Wie to każdy, kto ma trochę rozumu we łbie.

– Ale generał Pękala jest innego zdania – powiedział Langer.

– Dlatego właśnie wspominałem o tych, co mają choć odrobinę rozumu.

– Panowie, co robić? – zapytał Tomasz.

Puchacze nastroszyły się, łypiąc na siebie. Chociaż odwykli już od aktywnej pracy, zachowali jeszcze całkiem sprawne mózgownice.

– Jak można uciec z zablokowanego miasta... – pomrukiwał Czernicki.

Jako były prokurator wojskowy niejednokrotnie wydawał polecenia zorganizowania obławy, blokady czy rewizji. Wiedział dobrze, że w poszukiwanym zbiegu, otoczonym ze wszystkich stron, wyzwalają się naturalne instynkty przeżycia. Te instynkty sprawiały, że delikwent wymykał się schematom i potrafił niejednokrotnie zaskoczyć tropiących.

Czernicki podszedł do poklejonej taśmą mapy Polski. Tomasz dopiero teraz zauważył, że na wiszącej w pokoju 240 mapie Polska wciąż graniczyła ze Związkiem Radzieckim, Niemiecką Republiką Demokratyczną i Czechosłowacją.

– Samolotem nie może – mamrotał Czernicki. – Już próbował.

– I nie wyszło – uzupełnił Halbert.

– Dworce obstawione. Ale skoro, jak pan mówi, panie Tomku, podrzucił ten telefon, to musiał jakoś dostać się na dworzec. Więc może pociągiem? Wrzucił telefon do jednego, a wsiadł do drugiego?

– Nie – zaprzeczył stanowczo Gałązka – W razie wpadki nie miałby żadnej możliwości manewru. Mógłby co najwyżej uciekać z wagonu w szczerze pole. Jeśli to zawodowiec, na pewno wziął to pod uwagę. Wymknął się inaczej.

Pułkownik Gałązka o wymykaniu się wiedział aż za wiele. Długoletnie doświadczenie śledcze, nabyte podczas służby w aparacie bezpieczeństwa, nauczyło go w porę wyczuwać zagrożenie. Za PRL-u wymykał się od jawnego zadzierania z opozycją, później już w III Rzeczypospolitej wymknął się z łap komisji weryfikującej byłych oficerów SB. Prawdziwą zaś wirtuozerię wykazał, porzucając szeregi policji i wkłęcając się do dużo bezpieczniejszych struktur wojska poprzez powstałą w połowie lat dziewięćdziesiątych wojskowo-policyjną hybrydę, znaną jako Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe.

* * *

– A co na to admirał? – zapytał Kujawa, niegdyś bliski współpracownik Stankiewicza. – Uwierzył w ten numer z telefonem?

– Tego nie wiem – odparł Langer.

– Trzeba go poprosić o pomoc.

– Generał Pękala zabronił. Oficjalnie nic nie możemy zrobić.

– Samolot odpada, samochód odpada – wyliczał Halbert – pociąg odpada. Co zostaje?

– Rowerem przecież nie uciekł – mruknął Kujawa.

– Myślę, że pan pułkownik Gałązka ma rację – rzucił nagle Tomasz, podchodząc do mapy. – Mróz zwiął samochodem. Nie pociągiem ani samolotem.

– Przecież jest blokada...

– Przewidział to! – mówił podniecony Tomasz. – Założył, że po namierzeniu telefonu zdejmą blokadę. I miał rację. Słyszałem fragment wiadomości w radiu. Mówili, że przywrócono ruch na trasach wylotowych... A któredy najszybciej wyjechać z Warszawy?

Tędy, panowie.

Palec Tomasza spoczął na zaznaczonej brązowym kolorem trasie katowickiej. Pod tym względem zmurszała mapa pozostawała aktualna – od czasu jej wydrukowania nie przybyło w Polsce ani jednego kilometra autostrad i dróg ekspresowych.

– To możliwe, ale pewności nie mamy – zauważył Gałązka. – Mógł też wybrać trasę poznańską...

– I tłuć się slalomem między tirami? – prychnął Kujawa. – Czyś ty, Kaziu, jechał kiedy poznańską dwójką? On spieprza „gierkówką”, to jasne!

– Na jego miejscu tak właśnie bym zrobił. Spójrzcie, panowie – palec młodziana wędrował po mapie – pociąg jedzie na północ. I na nim skupia się uwaga połowy policji w Polsce. Nasz przyjaciel jedzie więc na południe. Wiem, panie dyrektorze, że gdzie się zaczyna wojsko, logika się kończy, ale to chyba trzyma się kupy?

Halbert trzasnął otwartą dłońią w udo, z uznaniem patrząc na Tomasza.

– I co, moi panowie – rzekł do pozostałej trójki. – Mówiłem, że z młodego będą jeszcze ludzie.

Halbert pociągnął z piersiówki. Był nieformalnym przywódcą czterogłowej hydry, która oficjalnie zwała się Wydziałem Monitoringu Zagrożeń. Jedynym zagrożeniem, jakie monitorowali panowie z pokoju 240, było zagrożenie ich własnych stanowisk pracy. Za pomocą rozlicznych znajomości w służbach cywilnych i mundurowych bezwzględnie eliminowali wszelkie próby naruszenia ich *status quo*. Z początku Langer starał się ich usunąć, później ignorować, a ostatnio nawiązał nawet nić współpracy.

– Ja i Kazio zostaniemy z dyrektorem i spróbujemy zebrać trochę nieoficjalnych wiadomości. A wy – wskazał na podpułkowników Czernickiego i Kujawę – weźcie pana Tomka i jedźcie za tym bandziorem. Jeśli oczywiście dyrekcja zezwoli.

Langer spojrzął na Halberta. Ostatnie zdanie w żadnym razie nie brzmiało jak prośba, ale pułkownik tym razem wołał tego nie zauważyć.

– Dobrze. Jedźcie. Tylko bądźcie ostrożni. Szanse niewielkie, ale przynajmniej kierunek właściwy.

* * *

Wskazówka szybkościomierza błyskawicznie opadła ze stu dziewięćdziesięciu na osiemdziesiąt. Podwójny błysk świateł nadjeżdżającego z przeciwka TIR-a przestrzegł Mroza, że w pobliżu czyha policyjny patrol. W ciągu najbliższej minuty światłami mrugnął do niego jeszcze zielony fiat tico i rozklekotany polonez. Mróz skoncentrował się maksymalnie, dziękując w duchu solidarnym braciom kierowcom. Konsekwentnie jechał nieznośną na dwupasmówce osiemdziesiątką, co i rusz wyprzedzany przez nieświadomych niebezpieczeństwa kierowców. Zamiłowanie panów w białych czapkach do zatrzymywania

luksusowych samochodów było powszechnie znane – kierowcy takich aut zwykle przekraczali prędkość i zwykle odpalali funkcjonariuszom dole, nie targując się o nędzne sto złotych jak roztrzęsione baby w micrach i fordach K czy skąpi studenci w maluchach.

Jako żywo za zakrętem, przy zjeździe na Radomsko, ukazał się ukryty w połowie za krzakiem policyjny polonez. Jeden z policjantów wycelował w Mroza „suszarkę”, po czym długo i z niedowierzaniem patrzył na wyświetlony rezultat. Drugi gliniarz przyjrzał się uważnie peugeotowi i powrócił do poprzedniej pozycji, opierając się o maskę samochodu, ze znudzoną miną.

Znalazłszy się w bezpiecznej odległości, Mróz w ciągu kilku sekund przywrócił wskazówce należne jej miejsce przed dwustoma kilometrami na godzinę. Nie minęło jednak nawet pięć minut, a nadjeżdżający z przeciwka volkswagen mrugnął doń długimi światłami.

– Co jest, do cholery? – mruknął blondyn, zaskoczony nadzwyczajną częstotliwością patroli. – Znowu?

I tym razem mruganie zwiastowało gliniarza – teraz pojedynczego motocyklistę. Mróz zwolnił przepisowo i zauważył, że policjant spisuje dwóch wyrostków, stojących koło golfa na światłach awaryjnych. Policjant rzucił przelotnie okiem na peugeota i wrócił do pisania.

Mróz delikatnie przyspieszył, gdy nagle poziom adrenaliny podskoczył mu gwałtownie. We wstecznym lusterku zobaczył, jak policjant zostawił dwóch gówniarzy i pędem rzucił się w stronę motocykla. Po minucie zrównał się z Mrozem i kazał mu zjechać na bok. Peugeot skręcił w prawo i nie zatrzymując się, zjechał w pełną drogę. Gliniarz wyprzedził go na motocyklu, zatrzymał się i ruszył w stronę samochodu. Mróz zauważył, że policjant trzyma prawą rękę nieruchomo na wysokości kabury.

– Proszę wysiąść z samochodu! – zakomenderował.

Mróz delikatnie otworzył drzwi i trzymając ręce na widoku, wystawił nogę na ziemię. Policjant zrobił krok do przodu. W tym momencie Mróz naparł na drzwi i z całą siłą pchnął je do przodu, uderzając gliniarza. Ten, zaskoczony, zatoczył się i upadł. Leżąc na plecach, szarpnął za kaburę, ale duże, niezgrabne motocyklowe rękawice utrudniły mu ruchy. Mróz wyrwał zza pazuchy zabrany Mirskiemu pistolet i strzelił. Dwa suche trzaski. Dwie łuski. Policjant naprężył się i opadł. Przez chwilę kopał nogami ziemię, charcząc i krztusząc się, po czym znieruchomiał.

Mróz rozejrzał się dookoła. Krzaki, w które umyślnie zjechał, zasłaniały widok na szosę. Wyjął z kabury policjanta pistolet wraz z zapasowym magazynkiem. Chwycił trupa za nogi i zaciągnął go w gęstwinię. Następnie wepchnął w krzaki motocykl. Chwilę później grafitowy peugeot majestatycznie wytoczył się z lasu i ruszył w stronę Częstochowy.

* * *

Lancia Langer, prowadzona pewną ręką Kujawy, mknęła trasą katowicką. Wyjazd z

Warszawy nie nastreczył im żadnych trudności – po porannej blokadzie nie zostało ani śladu. Mogli tylko przypuszczać, że jadący przed nimi Mróz również nie napotkał większych problemów. Nie dość, że miał nad nimi co najmniej godzinę przewagi, to na dodatek przed wyjazdem z Warszawy Kujawa uparł się, żeby wstąpić najpierw do jego domu na Mokotowie. W mieszkaniu zabawił tylko chwilę, zabierając ze sobą niewielką torbę.

Minęli właśnie duży zajazd, gdy rozdzwoniła się komórka Czernickiego. Eks-prokurator zatkał ucho i słuchał przez chwilę ze zmarszczonym czołem. Siedzący obok niego na tylnym siedzeniu Tomasz niedyskretnie nadstawił ucha. Dobięły go urywane słowa Gałązki:

– ...to jasne, że ukraść. Sprawdziliśmy wszystkie dzisiejsze doniesienia o kradzieży samochodów. Ma się rozumieć, nieoficjalnie. Mój ziomek z Komendy Stołecznej przesłał mi faksem listę. Ale jest problem.

– Co za problem? – wrzasnął Czernicki swoim piskliwym głosem.

– Od północy do dziesiątej rano w Warszawie skradziono dwadzieścia dwa samochody. Pomyślałbyś?

– Mogę? – zapytał Tomasz i dość brutalnie wyrwał Czernickiemu telefon.

– Panie Kazimierzu, mówi Tomasz! Słyszałem rozmowę! W pierwszej kolejności proszę odrzucić te, które zostały skradzione w prawobrzeżnej Warszawie! Nie sądzę, żeby planując ucieczkę na południe, kradł samochód na Pradze. Proszę też odrzucić wszystkie samochody stare, powolne, rodzinne i tak dalej. To zawodowiec: na pewno ukraść jakąś solidną, szybką furę!

– Panie Tomku – profesorskim tonem rzekł Gałązka – nie ucz pan ojca dzieci robić! Pan myśli, że co ja robiłem w SB? Wiewiórki dokarmiałem? Odrzuciliśmy z dyrektorem wszystkie mało prawdopodobne.

– I ile zostało?

– Siedem.

– Cholera.

– Dwa skradzione z parkingów strzeżonych: volkswagen golf i opel vectra. Te chyba możemy odrzucić; nie kradłby wozu na strzeżonych, nie?

– Tak. Co dalej?

– Volkswagen bora, skradziony „na stłuczkę”. Pewnie zawodowi złodzieje.

– Skoro pan tak twierdzi.

– I jeszcze BMW Z4. Jak wy to mówicie, młodzieży: wypasiony na maksa. Kabriolet. Za bardzo rzucałby się w oczy. Buchnięty na zamówienie.

– Więc zostają trzy?

– Dokładnie. Seat Ibiza skradziony z Alei Solidarności, skoda superb ukradziona spod ambasady włoskiej i peugeot 307 rąbnięty z jakiejś plebanii.

– Z plebanii?

– No. Patrz pan, czym się czarni wożą. Ubóstwo, cholera jasna. Sprawdzimy te wozy. I

jeszcze jedno. Na trasie katowickiej jest dziś pięć patroli z radarami: za Mszczonowem, za Rawą Mazowiecką, przy zjeździe na Radomsko, przed Częstochową i przed Kozimiłowami, kurwa, co za nazwa. Przekażę łódzkiemu i śląskiemu wydziałowi ruchu drogowego dane tych samochodów. A, byłbym zapomniał: postaram się załatwić, żeby w lokalnych stacjach radiowych na trasie podali rysopis poszukiwanego. A dyrekcja obdzwania właśnie przejścia graniczne z Czechami i Słowacją. Oczywiście nieoficjalnie.

– Dzięki.

* * *

Zjechał na pobocze i zapalił papierosa. Uśmiechnął się ironicznie, spojrzawszy na nazwę leżącej nieopodal wioski – Zabijak.

Myśl, która kołatała mu się w głowie podczas jazdy, pod wpływem ożywczego dymu zaczęła się krystalizować. Nikotyna jednocześnie rujnowała mu płuca i ożywiła półkule mózgowie. Coś za coś, pomyślał.

Spojrzał jeszcze raz uważniej na mapę. W tej chwili interesowało go najbardziej to, co zwykle najmniej obchodzi kierowców – granice województw. Gdy jechał trasą na odcinku od Rawy do Radomska, czyli na terenie województwa łódzkiego, nikt go nie niepokoił, a mijane patrole policji nie wykazywały żadnego zainteresowania. Z chwilą zaś przekroczenia granicy województwa śląskiego policjant na motorze, mimo przepisowej jazdy, próbował go zatrzymać. Oznaczać to mogło tylko jedno – ksiądz jegomość zameldował o kradzieży i niemrawa biurokratyczna machina pościgu powoli ruszała z miejsca. Istniała również możliwość, że jakiś błyskotliwszy umysł, które czasem trafiają się w policji, wpadł na to, że z Warszawy najszybciej wydostać się można trasą katowicką.

Zanim więc popiół sięgnął filtra, Mróz był pewien dwóch rzeczy: trzeba zjechać czym prędzej z trasy i opuścić województwo śląskie.

Wdeptał peta w ziemię i ruszył dalej w kierunku Dąbrowy Górniczej. Na skrzyżowaniu skręcił w lewo, wiedząc, że następne miasteczko – Olkusz – leży już w województwie małopolskim.

W kilkanaście minut, w rekordowym tempie, pokonał bez przeszkód pięćdziesiąt dzielących go od Olkusza kilometrów, z ulgą mijając po drodze granatową tablicę witającą podróżnych w województwie małopolskim. Dobry humor jednakże zepsuł mu widok kontrolki baku z paliwem – wskazówka nieubłaganie odchyliła się w stronę czerwonego pola rezerwy.

Przyspieszył za Olkuszem, mimo że wygodna dwupasmówka zmieniła się w drogę jednopasmową. Wyminął kilka firmowych stacji, żeby zatrzymać się w końcu na małej i niepozornej. Otworzył bak i zaczął tankować, jednocześnie dyskretnie się rozglądając. Zgodnie z jego przypuszczeniem na stacji nie było kamer, które zwykle rejestrowały widok

na stacjach firmowych. Zatankował do pełna i ruszył w stronę białego odrapanego baraku, w którym siedział znudzony pracownik.

– Dwieście sześćdziesiąt cztery – podał sumę odziany w brudny kombinezon benzyniarz, nie wysilając się nawet na „Dzień dobry”.

Mróz rzucił na ladę trzysta złotych, wsłuchując się jednocześnie w trzeszczące radio tranzystorowe. Między trzaskami dało się słyszeć głos spikerki:

– *...trzydzieści pięć lat, krępej budowy ciała. Wzrost około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów, włosy blond. Najprawdopodobniej kieruje się w stronę granicy czeskiej lub słowackiej. Jest niebezpieczny i uzbrojony. Wszelkie osoby mogące pomóc w odnalezieniu poszukiwanego proszone są...*

– Nie ma pan drobniej? – mamrotał niezadowolony kierownik, mnąc w brudnym ręku banknoty. Najwyraźniej grubsza gotówka była na jego stacji rzadkim zjawiskiem.

Mróz pokręcił głową, wpatrując się uważnie benzyniarzowi w oczy i głaszcząc w kieszeni kolbę pistoletu. Słyszał komunikat w radiu? Gdyby jego twarz zdradziła choćby cień podejrzenia, byłaby to ostatnia audycja w jego życiu. Przybrudzona i nieogolona facjata wyrażała jednak wyłącznie znudzenie i zniechęcenie.

– Dziękujemy, zapraszamy ponownie – warknął ponuro, wygrzebał z szuflady resztę, po czym opadł z powrotem na krzesło z miną człowieka mającego wielki żal do świata, że pieniądze nie lecą z nieba.

Mróz zapalił silnik i odjechał. Kierownik podszedł do szyby i odprowadził wzrokiem szary samochód. Dopiero gdy peugeot znikł za zakrętem, benzyniarz poczuł, że drżą mu kąciki ust. Oczy zachowywały jeszcze względny spokój, ale twarz w mgnieniu oka zmieniła kolor ze zdrowej szarości na trupią biel. Stał jeszcze przez chwilę, po czym nagle zgiął się wpół i zwymiotował.

* * *

Mróz spojrział przelotnie na mapę samochodową. Na kolejnego papierosa nie było już czasu. Komunikat radiowy nie pozostawiał żadnych złudzeń – nie miał najmniejszych szans na legalne przekroczenie granicy. Fałszywy paszport na nazwisko Hermann Tobias i tym razem okazał się bezużyteczny.

Gnał w kierunku Krakowa, zerkając wciąż na mapę południowej Polski. Rozbiegany wzrok dostrzegł charakterystyczny szpic dawnego województwa krośnieńskiego. Wzdłuż wrzynającego się w Ukrainę cypla biegła nazwa Bieszczady.

Wiele słyszał o tych górach, choć ani razu tam nie był. Wieloletnie walki z ukraińską UPA, zasadzki, podchody, leśne kryjówki. Dla niego, weterana walk w Bośni, góry były naturalnym schronieniem. W górzystych terenach Krajiny nauczył się trudnej sztuki przetrwania. Nauczył się rozumieć góry. Instynkt podpowiadał mu, że w legendarnych

Bieszczadach łatwiej będzie się zaszyć i przekroczyć granicę niż w poprzecinanym turystycznymi szlakami Beskidzie Niskim.

Zwolnił przed ostrym zakretem. Pokonał go gładko i zmniejszywszy prędkość, uważnie przyjrzał się miejscu na mapie, gdzie stykały się granice: polska, ukraińska i słowacka. Gdyby udało mu się tam dotrzeć, łatwo mógł zmylić pogoń i utrudnić poszukiwania policji, przekonując ją jakimś sposobem, że uciekł na Ukrainę. On tymczasem planował przejść na stronę słowacką i w ciągu kilku godzin, przecinając ten niewielki kraj, znaleźć się w Wiedniu.

Rozdział 15

– Niech pan mówi dalej.

W sali imienia Frycza Modrzewskiego zapadła grobowa cisza. Na parkingu pod kancelarią premiera kłębił się tłum dziennikarzy. Zdezorientowani oficerowie BOR-u blokowali im dostęp do wejścia. Na chodnikach wzdłuż ogrodzenia parku Łazienkowskiego ustawiały się właśnie niezgrabne wozy transmisyjne ważniejszych stacji radiowych i telewizyjnych.

Komendant Graczyk siedział ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Bolek i Lolek wiercili się nerwowo, a generał Pękala łypał wokół rozbieranymi oczyma. Reszta towarzystwa prezentowała równie niewyraźne oblicza. Jedyne kontradmirał Stankiewicz wydawał się niewzruszony jak zwykle.

– Niech pan mówi dalej – powtórzył głośniejszym głosem Tkaczyk, stojąc przy oknie z założonymi do tyłu rękami.

Roztrzęsiony czterdziestolatek w mundurze młodszego inspektora zaczął czytać:

– Straty łączne obejmują: punkt pierwszy: cztery uszkodzone wagony kolejowe, z czego jeden nadpalony. Punkt drugi: uszkodzona lokomotywa typu EU07. Punkt trzeci: zniszczenie wagonu restauracyjnego „WARS”. Punkt czwarty: uszkodzenie peronu kolejowego dworca Malbork. Punkt piąty: dewastacja fasady dworca kolejowego Malbork, wpisanego do rejestru zabytków. Punkt szósty: zerwanie sieci trakcyjnej na odcinku osiemdziesięciu metrów. Punkt siódmy: zniszczenie sygnalizacji...

– Ile pan ma tych punktów? – przerwał wyliczankę premier.

– Dwadzieścia dziewięć.

Tkaczyk wrócił do stołu spod okna i ciężko usiadł na krześle. Poblądły sprawozdawca odchrząknął i kontynuował:

– Do strat materialnych doliczyć należy również koszty paraliżu komunikacyjnego na magistrali kolejowej E-65 Warszawa-Gdynia. Spodziewać się również należy grupowych i indywidualnych pozwów sądowych, z powództwa cywilnego, składanych przez poszkodowanych pasażerów. Powyższe koszty trudne są do oszacowania nawet w przybliżeniu.

Tkaczyk westchnął przejmująco i spojrział na komendanta Graczyka.

– Wyłuskamy jak orzeszek, tak?

Generał odpowiedział premierowi żalonym spojrzeniem. Siedzący obok Graczyka policjant z dystynkcjami nadkomisarza wyciągnął kartkę papieru i zaczął referować:

– W toku czynności operacyjnych nie stwierdzono wśród pasażerów składu osobowego numer 3501 obecności Mroza Artura, syna Stanisława. Osobnicy wskazani przez kierownika pociągu Rosińskiego Wacława, syna Henryka, w toku ustaleń przed akcją jako odpowiadający rysopisowi to: Słomka Walerian, syn Norberta, z zawodu stolarz, oraz Bełza Michał, syn Rafała, z zawodu bezrobotny. Obaj obywatele po spisaniu danych osobowych zostali zwolnieni, przy czym Słomka Walerian, syn Norberta, został zhospitalizowany w szpitalu powiatowym w związku z podejrzeniem złamania kończyny prawej. W akcji zabezpieczającej udział wzięli funkcjonariusze Komendy Powiatowej Policji w Malborku, Komendy Powiatowej Straży Pożarnej oraz Komendy Ochotniczej Straży Pożarnej. Siedemnaścioro pasażerów składu numer 3501 w wyniku czynności operacyjnych odniosło obrażenia; z tego dwanaścioro po opatrzeniu zwolniono, a pięcioro pozostawiono w szpitalu powiatowym w Malborku na obserwacji.

Premier podniósł się z krzesła i znów podszedł do okna, skinąwszy na Graczyka. Komendant policji stanął tuż za premierem.

– Kto dowodził akcją? – zapytał szeptem Tkaczyk.

– Nadkomisarz... nadkomisarz Ekiert!

– Zapewne dobry policjant?

– Bardzo dobry, panie premierze. Jeden z najlepszych!

– Jest pan pewien?

Tkaczyk zmierzył Graczyka zimnym spojrzeniem. Zbliżył swoją twarz do fizjonomii generała i syknął:

– Jest pan pewien? Akcja się nie udała. Więc albo on zawinił, albo pan. Rozumiemy się?

Graczyk ze strachem spojrział w oczy premiera. Drżącą ręką poluzował koszulę munduru. Na jego czole perliły się krople potu.

– Powtarzam więc pytanie – twardym szeptem kontynuował premier. – Ten Ekiert to dobry policjant?

– No – sapnął komendant – w sumie to nienajlepszy.

– A zatem mógł się pomylić?

– Mógł, panie premierze.

– I mógł wydać rozkaz za wcześnie.

– Tak jest. Za wcześnie.

– A stąd już krok do samowolnego działania, nieprawdaż?

– Zdecydowanie samowolnego.

– No – Tkaczyk znacząco spojrział na komendanta – zatem wie pan już, co powiedzieć dziennikarzom?

Zgromadzeni za stołem, dotąd bezskutecznie próbujący wyłapać choć strzępy rozmowy, usłyszeli wyraźny głos komendanta Graczyka, który odbił się od ścian sali posiedzeń:

– Wiem, panie premierze.

* * *

– Peugeot 307, grafitowoszary, rocznik 2003, nr rejestracyjny...

Tomasz, zaskoczony telefonem Langerera, w pośpiechu zapisał sobie dane długopisem na dłoni.

– Jest pan pewien?

– Tak, nie ma wątpliwości! – mówił pułkownik. – To nasz człowiek! Ukradł ten samochód z plebanii! Zabrał też księdzu sutannę i telefon komórkowy. Miał pan rację, panie Tomku: podrzucił ten telefon do pociągu, a sam zwiął.

– A jednak.

– Facet odpowiadający rysopisowi i jadący takim samochodem czterdzieści minut temu tankował na stacji za Olkuszem – produkował się Langer. – Właściciel tej stacji zadzwonił na policję.

– Za Olkuszem? – zdziwił się Tomasz, patrząc na mapę.

– Tak, za Olkuszem.

– Dziwne... to na pewno on?

– Benzyniarz twierdzi, że odpowiadał rysopisowi podanemu w radiu.

– Skoro rozpoznał Mroza, to powinien już nie żyć.

– Mówił, że już dwa razy go napadli na tej stacji. Nauczył się panować nad nerwami.

– Nauka nie poszła w las. Ale to znaczy, że Mróz zjechał z trasy i jedzie na Kraków.

Dzięki.

* * *

– Ale o co się szanownej władzy, że tak powiem, rozchodzi?

Posterunkowy Walasek, barczysty blondyn o kwadratowej szczęce, z niesmakiem odsunął się od żuła, wachlując się ręką i próbując bezskutecznie odpędzić zapach sfermentowanej siarki. Jego partner, posterunkowy Minc, ze złością spojrział na gramolącego się z ławki niezadowolonego kloszarda, patrzącego z wyrzutem na intruzów, którzy przerwali mu sen na sanockim deptaku.

– O to się rozchodzi, że pójdziesz z nami – oznajmił Minc i dość bezceremonialnie szarpnął obdartusa za brudny sweter. – Wstawaj!

Obaj policjanci dobyli z kieszeni spodni notatniki i pieczołowicie zaczęli wypełniać czyste kartki notesów. Minc pisał wkurzony – przez takiego śmierdzącego oberwańca musieli

sporządzać notatkę z zatrzymania. Dopisywał właśnie dane personalne zatrzymanego, które zresztą znał na pamięć, gdy nagle usłyszał hałaśliwy chichot. Całą szerokością chodnika szły roześmiane nastolatki w obcisłych biodrówkach i z wystającymi ze spodni, zgodnie z najnowszą modą, stringami.

– Co piszecie? – zagadnęła jedna z dziewczuszek. – Wierszyki?

– Jak to, nie wiesz? – błyskawicznie odpowiedziała druga. – Jeden umie czytać, a drugi umie pisać. Dlatego zawsze chodzą we dwóch.

Panienki wybuchnęły piskliwym śmiechem. Dwie z nich specjalnie otarły się o gliniarzy, rzucając im prowokacyjne i zalotne spojrzenia. Walasek i Minc udali, że nie słyszą obraźliwych tekstów, udali również, że nie widzą puszek piwa w rękach nieletnich pańienek.

Chichot ustał nagle jak ucięty nożem, a w jego miejsce pojawiło się pełne uznania i zazdrości: „Łaaaaaaa”. Walasek podniósł wzrok i dostrzegł od razu powód zachwytu licealistek – po drugiej stronie ulicy gwałtownie zatrzymał się grafitowy peugeot. Wysiadł z niego barczysty blondyn w koszuli dobranej najwyraźniej pod kolor samochodu. Podszedł do kiosku i nachylił się do okienka, nie zwracając uwagi na piski zachwytu swych nieoczekiwanych fanek. Sprzedawczyni podała mu składaną mapę turystyczną Bieszczad.

Walasek pokręcił zniesmaczony głową i wrócił do opisywania przewinienia obdartusa. Pisał jeszcze przez chwilę. Nagle zmarszczył brwi, a tętno podskoczyło mu gwałtownie. Szary samochód? Blondyn? Ogarnęło go uczucie *deja vu*.

– Zabieraj klamoty i spieprzaj – rzucił do żuła i nie zwracając uwagi na pełną wyrzutu minę Minca, ruszył przez jezdnię w kierunku wsiadającego do wozu blondyna.

– Halo! Proszę zaczekać! – krzyknął.

Blondyn spojrział na policjanta. Ciało posterunkowego przeszedł dziwny dreszcz. Mimowolnie spowolnił ruchy.

Trzask drzwi. Pisk opon. Wrzask pańienek. Głuchy huk.

Ciało policjanta pofrunęło do góry i opadło na jezdnię bezwładnie jak kukła. Peugeot z rozbitą przednią szybą błyskawicznie ruszył opadającą w dół ulicą, kierując się na szosę na Lesko.

Mróz skręcił w lewo i minął stację benzynową. Przycisnął pedał gazu. Samochód zdawał się połykać szosę w szaleńczym pędzie prawie dwustu kilometrów na godzinę. Mróz prowadził w niewygodnej pozycji, odchylony w prawo, bo szyba po lewej stronie przypominała pajęczynę. Błyskawicznie minął Zagórz i jechał dalej w kierunku Leska. Tu musiał zwolnić – droga zaczęła pięć się spiralnie w górę, wymuszając bardzo ostrożną jazdę. Zaczynały się słynne bieszczadzkie serpentyny.

* * *

Jęk syreny spędził ich z ulicy na pobocze. Migocząca światłami karetka wyprzedziła

lancie, zawodząc żałośnie. Tomasz spojrzał na Czernickiego i Kujawę. Porozumiewawcze spojrzenia zaowocowały krótkim:

– Za karetką!

Kujawa przycisnął gaz do dechy, siadając ambulansowi na ogonie. Wjechali w ulicę Kościuszki i skręcili w prawo. Karetka stanęła na prawym pasie, a z jej wnętrza wyskoczył lekarz i dwóch sanitariuszy. Kujawa zahamował, Tomasz wyskoczył z samochodu i zaczął się przedzierać przez zbiegowisko. Rozepchnął kilka chlipiących pańienek i mimo grozy sytuacji jego wzrok prześlizgnął się po tasienkach majtek, prowokacyjnie oplatających ich biodra.

W poprzek jezdni leżał policjant. Wokół jego głowy rozlewała się niewielka kałuża krwi. Sanitariusze podłączali go właśnie do kroplówki i zakładali ortopedyczny kołnierz. Obok drugi policjant gapił się tępo na tę scenę, nie panując nad drżącymi rękami.

– Kto to zrobił? – wrzasnął Tomasz, szarpiąc go za rękaw. – Co się stało?

Policjant nadal patrzył niewidzącym wzrokiem na swojego ранego kumpla. Tomasz bezradnie rozejrzał się dookoła. Nagle zauważył stojącego na uboczu obdartusa. Jak każdy wielkomięski młodzian wiedział, że podobni osobnicy stanowią nierzadko cenne źródło informacji.

– Kto to zrobił? Widział pan?

– Ja tam nic nie widziałem – wrzucił ramionami żul.

W tym momencie w amerykańskich filmach policjant wyjmował zwykle z kieszeni dziesięciodolarowy banknot, który natychmiast rozjaśniał informatorowi w głowie. Ponieważ jednak rzecz nie działa się w Nowym Jorku, a w Sanoku, zaś pensja referenta z dwutygodniowym stażem nie skłaniała do zbytniej filantropii, młody urzędnik musiał użyć innej zachęty. Złapał za wypełnioną pustymi butelkami siatkę żula i groźnie uniósł ją do góry.

– Mów – wrzasnął. – Mów albo z flaszki nici!

– Zostaw! Powiem! – jęknął kloszard, przerażony możliwością utraty dziennych zbiorów, które w punkcie skupu zamierzał wymienić na jedną pełną. – Piękniś taki! Duży, białowłosa! Potrafił psa i prysł!

– Psa? – zapytał Tomasz, dopiero po chwili załapawszy, o co chodzi.

– No tego tu psa – żul wskazał na leżącego policjanta. – I pojechał! O tam, na Lesko pojechał.

– A samochód?

– Duży, panie, szary, duży. Ze srebrną felgą. I widać niedawno w Sanoku, że mu ich jeszcze nie zajebali. No, postawże pan te butelki. Bądź pan człowiek!

Tomasz ostrożnie postawił na chodniku siatkę ze skarbami. Spojrzał żałośnie na drogę – karetka i tłum gapiów zablokowali ją całkowicie, uniemożliwiając pościg. Tomasz zatrzymał jeszcze żula.

– Jest jakiś objazd? Którędy najbliższej na Lesko?

– Z powrotem, panie, potem w prawo jak na skansen i jeszcze raz w prawo za zamkiem.

Wzdłuż skarpy.

Tomasz spojrział w górę. Przy chodniku, kilka metrów od nich, stała niebieska tablica z planem Sanoka. Jakiś miejscowy geniusz zielonym sprayem dopisał na niej drukowanymi literami międzynarodowe słowo: „FUCK”.

Tomasz przeanalizował plan, biorąc za punkt odniesienia wijącą się na mapie niebieską nitkę rzeki San. Ruszył biegiem do lancii i władował się do środka. Kujawa, poinstruowany przez Tomasza, zawrócił i skręcił w prowadzącą w dół ulicę Mickiewicza. Dojechawszy do szosy, znów skręcili w prawo, jadąc wzdłuż skarpy, na której rozłożył się niewielki, acz uroczy sanocki zamek.

– Do szosy na Lesko! – zakomenderował Tomasz i Kujawa posłusznie skręcił z piskiem opon w ulicę Podgórze.

Tomasz drżącymi palcami wybierał numer. Po chwili usłyszał głos Gałązki.

– Mróz jedzie na Zagórz i Lesko – powiedział szybko. – Niech pan spróbuje pogadać jeszcze z tym swoim kumplem. Trzeba postawić blokadę!

– Nie mogę! Mój ziomek jest w komendzie śląskiej, a wy jesteście już w województwie podkarpackim!

– Musicie coś zrobić, bo nam zwieje! Niech pan coś wymyśli!

– Daj mi pan Witka Kujawę do telefonu.

– Nie mogę! Prowadzi!

– No to przytknij mu pan telefon do ucha!

Kujawa słuchał przez chwilę, dzieląc swą uwagę między telefon a pędzącą lancię. Po zakończeniu rozmowy rzucił w stronę Tomasza dziewięć cyfr.

– Niech pan wybierze ten numer i trzyma mi telefon przy uchu.

Tomasz wybrał numer i przyłożył Kujawie z powrotem do ucha. Ten odczekał chwilę i zwalniając nieco, odezwał się do aparatu:

– Pan admirał? Witek Kujawa się kłania. Jest taka sprawa...

* * *

Stankiewicz odłożył telefon. W sztabie kryzysowym nadal panowała grobowa atmosfera. Admirał podniósł się zza stołu i podszedł do stojącego samotnie generała Piętki, komendanta Straży Ochrony Pogranicza. Ten nieśmiało zamrugał oczętami i zaczerwienił się.

– No, panie generale – odezwał się szef wojskowego wywiadu – czas, aby i pan wziął udział w tej niezwyklej przygodzie.

* * *

Kapitan Leszek Prokopiuk odłożył gazetę i przeciągnął się leniwie. Podszedł do okna i

wyjrzał na parking. Dwóch żołnierzy pieczęłowicie polerowało dwa terenowe motocykle TRX na czterech masywnych kołach. Bieszczadzki oddział Straży Ochrony Pogranicza doprosił się wreszcie tych cacek, mimo że na liście zaopatrzenia stacja w Ustrzykach Górnych pętała się zawsze na szarym końcu.

Prokopiuk, w przeciwieństwie do większości oficerów Straży, chwalił sobie służbę na odludziu. Ustrzyki Górne, składające się z kilku budynków, sklepu i przystanku PKS-u, mimo obecności turystów łązących po bieszczadzkich szlakach były spokojnym garnizonem. Z wyjątkiem dwóch Ukraińców, przyłapanych dzień wcześniej na nieudolnym forsowaniu Sanu w okolicy Tarnawy, od wielu dni areszt stacji nie miał niespodziewanych gości.

Telefon, który dyskretnym dzwonkiem odezwał się na biurku kapitana, miał brutalnie przerwać tę idyllę. Prokopiuk w trakcie rozmowy powoli zmieniał pozycję. Podniósł słuchawkę niedbale rozwalony w fotelu, odłożył ją natomiast, stojąc niemal na baczność i odpinając drżącą ręką guzik koszuli pod szyją.

Nie zadawał żadnych zbędnych pytań. W przeciwieństwie do oficerów wojska, których żywiołem były papierowe regulaminy, konspekty, zakresy kompetencji i odgórne wytyczne, oficerowie Straży Ochrony Pogranicza nie przywiązywali większej wagi do teorii. Charakter ich służby wymagał nierzadko improwizacji i błyskawicznych decyzji na poziomie posterunków.

Prokopiuk był pogranicznikiem z krwi i kości. Służbie poświęcał się szczerze i z oddaniem, z bólem patrząc na błyskawiczne kariery tak zwanych „spadochroniarzy” – czyli ustosunkowanych oficerów wojska, załatwiających sobie drogą znajomości intratne etaty w straży. Nie mając pojęcia o charakterze pracy pogranicznika, spędzali czas na produkowaniu papierów, pisaniu okólników i wyciągów, nijak nie przystających do realnych sytuacji. Tego lata czasy były szczególnie trudne. Wejście do Unii Europejskiej spowodowało wielkie zawirowanie w SOP – większość posterunków na zachodniej granicy likwidowano, dając tamtejszej kadrze wybór: przenosiny na granicę wschodnią albo bilet do cywila. Wielu zawiedzionych i rozczarowanych rzucało kwitami – przeprowadzka kilkaset kilometrów na wschód nie wchodziła w grę. Wielu wartościowych funkcjonariuszy odeszło na bezrobocie, sytuację wykorzystano też do załatwienia osobistych porachunków. Kto nie posiadał mocnych „pleców”, mimo zasług i wiedzy leciał na bruk. Jedynie „spadochroniarze” mieli się doskonale – dla nich zawsze znajdowały się etaty w rozbudowywanej systematycznie machinie biurokracji. Ojczyzny bronili zza biurka, ustawionych nierzadko kilkaset kilometrów od najbliższej granicy, z zapalem oddając się robocie papierkowej i zasypując posterunki i stacje swoją radosną twórczością.

Prokopiuk odłożył słuchawkę. Stał przez chwilę oszołomiony, trawiąc rozkaz wydany mu przez samego generała Piętkę. Wziąwszy się w garść, podbiegł do wiszącej na ścianie olbrzymiej mapy, której centralnym punktem była niebieska plama Zalewu Solińskiego. Analizował przez chwilę teren, jeżdżąc palcem po fragmencie wielkiej obwodnicy

bieszczadzkiej. Palec wędrował od Hoczewa poprzez Baligród, zatrzymując się na Cisnej. Jednocześnie kapitan przeliczał w głowie kilometry i godziny, mrucząc coś bezgłośnie.

– Szajnach!

Zza drzwi dały się słyszeć szybkie kroki i do pokoju wpadł funkcjonariusz z pagonami sierżanta.

– Tak jest, panie kapitanie!

– Zarządzić alarm! Pierwszy pluton! Stawiamy blokadę na drugim kilometrze! Pełne wyposażenie!

Podoficer obrócił się na pięcie i zbiegł na dół. Po chwili ostry dźwięk dzwonka postawił na nogi całą stanicę.

Strażnicy sprawnie zakładali na siebie ekwipunek i ładowali się do samochodów. Między biegającymi pogranicznikami wesoło hasały dwa szkolone specjalnie owczarki niemieckie. Cztery landrovery odpaliły silniki i gęsiego wyjechały ze stancy. Prokopiuk z Szajnachem wskoczyli do pierwszego i wyprzedzili kawalkadę, uruchamiając syreny. Dwa kilometry za wsią Prokopiuk założył blokadę – dwa wozy stanęły w poprzek drogi; przeciągnięto przez nią również nabitą kolcami taśmę. Dowódca mógł być dumny ze swych podkomendnych. Funkcjonariusze sprawnie ustawili zapórę, a dwie drużyny rozsypały się w dwie luźne tyraliery po obu stronach szosy.

Czas dłużył im się niemiłosiernie, a każdy wyłaniający się zza zakrętu pojazd wzmagał podniecenie. Najpierw powoli wytoczył się PKS. Strażnicy gruntownie przetrząsnęli zdezelowany autobus, ale prócz grubego kierowcy, dwóch miejscowych starowinek i pary turystów w środku nie było nikogo. Następnie zrewidowano poloneza na miejscowych numerach oraz niebieski mikrobus, prowadzony przez lokalnego przewoźnika w szerokoskrzydłym kowbojskim kapeluszu.

Prokopiuk nerwowo popukał palcami w maskę samochodu. Analizował właśnie rozłożoną mapę, gdy nagle stojący obok Szajnach trącił go w ramię.

– Niech pan spojrzy.

Kapitan przytknął lornetkę do oczu. Zza zakrętu wyłonił się szary samochód. Na widok blokady wyraźnie zwolnił i przez chwilę toczył się niemrawo. Nagle wykonał błyskawiczny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył z powrotem, wzbijając tuman kurzu.

Prokopiuk upuścił lornetkę i skinął na kilku stojących obok żołnierzy.

– Do pojazdów! Pierwsza drużyna zostaje, reszta za mną!

Strażnicy rozbiegli się do samochodów. Zwinęli błyskawicznie stalową kolczatkę i wymalowane w barwy ochronne landrovery ruszyły w pogoń za uciekinierem.

* * *

– Jest!

Kujawa błyskawicznie przycisnął gaz do dechy. Lancią zarzuciło i Tomasz mimowolnie wpadł w objęcia pułkownika Czernickiego. Ten wyswobodził się z uścisków Tomasza i sięgnął po torbę leżącą pod fotelem kierowcy – tę samą, którą kilka godzin wcześniej Kujawa zabrał ze swojego mieszkania. Bez słowa otworzył zamek błyskawiczny i wysypał zawartość. Trzy pistolety.

– Umie się pan tym posługiwać? – zapytał Czernicki, podając broń młodemu.

Tomasz z przestachem popatrzył najpierw na pułkownika, a potem na jego arsenał. W czasie służby wojskowej miał w ręku stary dobry P-64, a nawet dzięki uprzejmości pewnego kapitana kilkakrotnie sprawdzał swe umiejętności na strzelnicy. Było to jednak wieki temu.

– Tu się odbezpiecza, a tu wyjmuje magazynek – Czernicki udzielał błyskawicznego instruktażu. – I niech pan się nie postrzeli.

Tomasz bez przekonania przyjął pistolet i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Nie był pewien, czy umie się nim posługiwać, natomiast pewien był stuprocentowo, że nie zamierza do nikogo strzelać.

Szary charakterystyczny kufer peugeot to pojawiał się na horyzoncie, to znikał. W dzikim pędzie minęli Baligród, cudem nie potrąciwszy nikogo z płaczących się po poboczach miejscowych. Ostre zakręty i pagórki uniemożliwiały Mrozowi wykorzystanie w pełni prędkości wozu – inaczej już dawno odsadziłby majestatyczną, ale niezbyt zwrotną lancję. Minęli Jabłonki, gdzie niegdyś chwalebną śmiercią zginął „ten, który się kulom nie kłaniał”. Błyskawicznie zbliżali się do Cisnej – ostatniej miejscowości, w której bandyta zjechać mógł z bieszczadzkiej obwodnicy. Resory lancii trzeszczały na wirażach i pnących się pod koszmarne ostre kąty serpentynach. Na jednej z nich Kujawa ściał zakręt i ledwo się wyrobił, skosiwszy słupkę milowy. Tomasz wyobrażał już sobie minę Langerę, gdy zobaczy wgniecenie na swoim służbowym samochodzie.

W oddali pojawiły się zabudowania wsi. Mróz konsekwentnie trzymał się jednak trasy, mijając skręt na Komańczę i kierując się w lewo na Wetlinę. Gnali dalej. Mimo napięcia Tomasz dostrzegł urzekające piękno okolicy. W oddali widniał szczyt Smreka, rozpoczynający pasmo słynnych bieszczadzskich połonin. Można by było godzinami podziwiać krajobraz, gdyby nastroju nie psuł zawodowy morderca, uciekający z dokumentem wartym miliardy dolarów.

Minęli długą, wijącą się Wetlinę. Szary samochód to pojawiał się, to znikał za wzniesieniami. Na wirażach zbliżyli się do zbiega, lecz za Brzegami Górnymi – wioską widmo bez jednego zabudowania – znowu ich wyprzedził i zniknął. Kujawa wyciskał z lancii, ile się dało – silnik wył, pokonując wzniesienia. Tomasz nerwowo rozglądał się wokół, czy bandyta nie zjechał aby w którąś z bocznych drózek.

Dojeżdżali właśnie do Przełęczy Wyżniańskiej, gdy nagle Kujawa ostro zahamował. Tomasz boleśnie przywalił czołem w zagłówek. Samochód wykonał efektowny obrót, omal nie wypadając z trasy. Tomasz spojrział przed siebie i błyskawicznie zrozumiał reakcję

Kujawy – szary peugeot jechał teraz prosto na nich. Na horyzoncie wyłoniły się migoczące kogutami, ścigające go samochody.

Czernicki wyskoczył z wozu i złożył się do strzału. Zbliżający się grafitowy samochód nagle skręcił w lewo i zjechał na pobliski parking. Pilnujący go dziadek omal nie wpadł Mrozowi pod koła, ale w ostatniej chwili zdążył odskoczyć na bok.

Dwa strzały jeden po drugim rozdarły powietrze. Peugeotem zarzuciło, a tylna prawa opona momentalnie zmieniła się w strzęp. Tomasz z uznaniem spojrzał na grubasa, który mimo okularów nie spudłował. Mróz dojechał z trudem do końca parkingu, po czym wyskoczył z wozu. Tomasz rzucił się za nim. Kilkunastu pograniczników wygramoliło się z samochodów i dołączyło do pościgu. Tomasz zobaczył, że uciekinier biegnie w kierunku schroniska położonego u stóp góry. Mróz odwrócił się nagle i podniósł rękę. Od drewnianej ściany budki parkingowej, niespełna metr od głowy Tomasza, odprysnął spory kawałek drewna. Dopiero wówczas referent usłyszał stłumiony huk wystrzału.

Rozdział 16

Obejrzał się. Tyraliera ruszyła. Zmrużył oczy i wyteżył wzrok. Coś jasnego, jakby dwa małe płomyki, oderwało się od linii pograniczników i pędziło w jego stronę. Zorientował się po sekundzie. Psy!

Spojrzał w stronę schroniska i linii lasu. W mgnieniu oka ocenił odległość. Przed ludźmi zdąży. Przed psami nie.

Błyskawicznie skulił się, przysiadł na prawej pięcie i zgiął lewe kolano. Na kolanie oparł łokieć i starannie wycelował.

Cztery, pięć sekund. Pędzące owczarki błyskawicznie pokonywały teren. Do uszu Mroza dobiegło wściekle ujadanie. Jeszcze trzydzieści metrów, jeszcze dwadzieścia...

Strzał. Przerażliwy skowyt. Jeden z psów przekoziółkował i padł. Drugi nieustraszenie pędził dalej.

Strzał. Pudło.

Czworonożny szatan, specjalnie szkolony na takie okazje, rzucił się na rękę trzymającą broń. Mróz instynktownie zasłonił twarz lewą ręką, upadając na plecy. Pies szarpał wściekle za rękaw. Strażnicy zbliżali się.

Skup się! Odczekał sekundę. Wsunął lewe ramię pod gardło psa, odpychając od siebie jego wściekłą paszczę. Chwycił pistolet za lufę i przelożył go z prawej ręki do lewej.

Strzał. Pies zwiotczał momentalnie i zaskowyczał. Mróz zrzucił go z siebie i wstał. Od strażników dzieliło go nie więcej niż sto metrów. Ze zdumieniem zauważył, że na czele obławy pędzi trzech facetów w garniturach. Dwóch grubasów nie skojarzył, ale biegnący na czele chudzielec był mu dobrze znany.

Rzucił się do ucieczki, gnając pod górę. Ze schroniska wyjrzało kilka ciekawych głów, zwabionych strzałami. Mróz wyminął brązowy dom i pędził dalej w stronę zarośli. Po chwili

wpadł między zeschnięte krzaki.

* * *

– Pierwsza drużyna w lewo, za budynek! Druga w prawo. Kapralu Widzyk, pańscy ludzie na czoło!

Pękaty Widzyk wybiegł naprzód wraz z kilkoma ludźmi. Reszta rozciągnęła się tak, że poszczególnych funkcjonariuszy dzielił dziesięciometrowy dystans. Zziębnięci i spoceni Kujawa i Czernicki dołączyli do Prokopiuka i Tomasza.

– Idzie na Rawki – kapitan wskazał palcem zalesiony szczyt, nie tracąc czasu na przedstawianie się – a tu już granica ukraińska... pewnie chce przejść.

– Zaalarmuje pan Ukraińców? – zapytał Tomasz, ale po minie oficera poznał, że zadał głupie pytanie.

– Zaalarmujemy, a jakże – odparł Prokopiuk z ironią. – Nie wiem tylko, czy zechcą odpowiedzieć. Wie pan, ich żołnierze żyją z przemykania ludzi na naszą stronę. A my im w tym przeszkadzamy. I oni nas nie lubią, nie dajemy im zarobić. Powiadomiliśmy też Słowaków.

– Kogo? – zdziwił się Kujawa.

– Słowaków – uprzejmie wyjaśnił kapitan. – Tu zaraz też Słowacja. Na przełęczy Krzemieniec stykają się trzy granice. Tak czy owak dorwiemy go. Sukinsyn zastrzelił nam psy, ale nie ucieknie.

– Nie byłbym taki pewny – ostrzegł Tomasz.

– Bez obaw – oficer spojrzał na młodego pobłażliwie – moi ludzie znają góry jak własną kieszeń.

– Problem w tym, że on prawdopodobnie też. Facet walczył w Jugosławii, w górach.

– Dorwiemy go! – powtórzył Prokopiuk z naciskiem. – Nie mógł odejść daleko. A co do panów, to nie mogę wydawać wam rozkazów, ale radzę zostać tutaj, w schronisku.

– Pomożemy! – wyrecytowali chóralnie grubi pułkownicy slogan z czasów swej młodości.

– Na waszą odpowiedzialność – wzruszył ramionami kapitan. – Możecie wesprzeć prawe skrzydło. Potem na szczyt wzdłuż strumienia.

Tomasz ruszył za Kujawą i Czernickim w płataninę krzaków. Ubrani w polowe mundury funkcjonariusze drwiąco spoglądali na ich garnitury i uwalane błotem lakierki.

Przeszli przez pierwszą linię zeschniętych zarośli. Przed nimi rozciągało się dość strome podejście, porośnięte bukami i obsypane zeschniętymi liśćmi. Drugi szereg strażników rozglądał się, ubezpieczając idących na szczyt ludzi kaprala Widzyka. Grubasy z pistoletami w dłoniach starały się dotrzymać im tempa, ale wyślizgane na sztabowych wykładzinach pantofle odmawiały współpracy. Trzech elegantów co rusz traciło równowagę i zaczęło

marynarkami o krzaki, solidarnie klnąc pod nosem. Wkrótce tyraliera wyprzedziła ich znacznie.

– Szybciej, panowie – poganiał Tomasz trzódkę ubeków.

– Łatwo panu mówić, panie Tomku – burknął Kujawa, rozdierając marynarkę o wystający konar – jakbym miał tyle wiosen co pan...

– Chwileczkę – sapał Czernicki, łapiąc się za serce – odpocznijmy... trochę...

Tomasz ze złością machnął ręką na dwóch brzuchaczy. Pamiętał, że w budynku sztabu woleli czekać kwadrans na ociężałą winę, niż wejść jedno piętro po schodach.

Ruszył w górę strumienia, starając się znaleźć dogodny podejście, któremu sprostałyby jego buty. Mozolnie piął się do góry, dla większego bezpieczeństwa włączając głównie na czworakach i chwytając się wystających z ziemi korzeni. Zdradliwe liście, pozornie suche, przykrywały warstwę zbutwiałego runa, bezlitosnego dla stołecznego urzędasz naruszającego delikatny ekosystem.

Podniósł głowę i rozejrzał się wokół. Po grubasach na dole nie było śladu, zniknęli też pogranicznicy. Wspinając się, zostawił strumień po lewej i teraz słyszał jedynie w oddali szum spływającej wody.

Nagle jakaś siła podcięła go, a świat zawirował. Machnął rękoma, bezskutecznie próbując złapać powietrze, po czym runął ze skarpy kilka metrów w dół.

* * *

Ocknął się z zamroczenia. Przez kilkanaście sekund dochodził do siebie, taplając się w kupie przegniłych i wilgotnych liści. Odwrócił się i próbował się dźwignąć, gdy nagle znieruchomiał, widząc wycelowaną w siebie lufę.

Mróz stał dwa metry od niego w rozkroku. Znajdowali się niewielkiej, wymoszczonej liśćmi niecce.

– Nie doceniłem pana – powiedział głośno bandyta. – Myślałem, że jest pan tylko leniwym urzędasem.

– To bardzo miło z pańskiej strony – mruknął urzędasz, opierając się plecami o wystający korzeń.

– Człowiek uczy się przez całe życie.

– Zabijać?

– Zabijać też.

– Dlaczego pan to robi?

– Taka praca. Nic innego nie umiem.

– Zabił pan Tarasa... i tego listonosza... i Woźniaka – mówił Tomasz, dyskretnie rozglądając się wokół, co nie uszło uwadze bandziora.

– Próżne nadzieje, panie Tomku. Pańscy potencjalni wybawcy lecą teraz w odwrotnym

kierunku. To taki mały trik, pamiątka z Jugosławii. A co do Tarasa i tego nieszczęsnego pocztowca... cóż... próbowałem dogadać się z tym starcem, ale nie chciał mnie słuchać. Nie miałem wyjścia.

– A listonosz? Co on miał z tym wspólnego?

– Kopiował dla mnie każdy list przychodzący do Tarasa. I każde pismo, które on przesyłał wam.

– I pewnie słono sobie za to liczył? – odgadł Tomasz. Wyjaśniło się, skąd w ubogim domu wziął się drogi zestaw DVD.

– Skąd pan wie? – spytał Mróz i nie otrzymawszy odpowiedzi, mówił dalej: – Rzeczywiście słono. Ale dzięki temu miałem waszą korespondencję jak na dłoni. W tym list z kancelarii adwokackiej. Gdy dowiedziałem się, że Taras wszystkie dokumenty przekazał waszemu departamentowi, wiedziałem, że ktoś od was prędzej czy później się zjawi. Listonosz przestał już być potrzebny. Tacy ludzie na dłuższą metę nie umieją trzymać języka za zębami. Nie wiem tylko, jak udało się panu odkryć, że zostali zamordowani. Pan jest chyba jasnovidzem. Zadałem sobie wiele trudu, żeby...

– Trucizna. Nie wiem, jaka, ale ekspertyza, o którą poprosiłem, na pewno to wykaże. Prawda?

– Prawda. Pochodna brucyny w sprayu. Praktycznie niewykrywalna. Jak pan do tego doszedł?

– Ofiary miały nienaturalnie sine twarze. Widząc jednego, nie zwróciłbym na to uwagi. Przy dwóch zacząłem się zastanawiać. Ale trzech nieboszczyków z niebieskimi gębami to co najmniej o dwóch za dużo.

– Tak... – Mróz pokiwał głową – człowiek uczy się przez całe życie. Wychodzi na to, że niepotrzebnie dzwigałem ciało listonosza i układałem je na torach.

– Zabił pan bezbronnego starca i...

– Próbowałem się z nim dogadać. Nie dał mi wyboru. Przeszukałem jego willę, ale papierów nie znalazłem. Później, jak pan wie, wysłałem faks, podając się za pracownika MSZ. Papiery wyciągnąłem od pana, ale testamentu w nich nie było.

– No to już wiem, kto obrobił mi mieszkanie. Naprawdę pan myślał, że ukryłem testament u siebie w domu?

– Sądziłem, że mógł pan zabrać papiery ze sobą. Proszę darować, zmylił mnie pański wiek. Cóż, nie doceniłem pana. Testament jednak pan znalazł. I znów nie wiem, jakim sposobem.

– Dzięki Bolesławowi Chrobremu.

Na nisko zawieszoną gałąź sąsiedniego drzewa sfrunął dzięcioł. Po chwili rozległo się szybkie stukanie. Mniej więcej w tym samym tempie biło serce młodego referenta.

– Kim pan jest... dla kogo pan pracuje?

– To nieistotne. Zresztą szczerze mówiąc, sam do końca nie wiem. W tej robocie trzeba

dużo wiedzieć, ale są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć. To właśnie jedna z nich. Kiedy wspomniał pan o planowanej ekshumacji, nie mogłem już czekać. Pański kolega krótkowidz i zwolennik teorii spiskowych był idealnym pomocnikiem. Przekonanie go do tego, że macie w ręku ważny klucz i chcecie zatuszować całą tę historię, było dziecinadą. Biedak, wynosząc testament, chciał ratować sprawę... Resztę historii już pan zna.

– Pracuje pan dla Texas Oil Endeavour, prawda?

– Zleceniodawca nie jest istotny. Istotny jest terminowy przelew zaliczki. Miałem zdobyć testament i usunąć niewygodnych świadków. I zadanie wykonałem. Choć niezupełnie do końca...

Tomasz popatrzył na Mroza. Nagle zrozumiał. W sensacyjnych filmach klasy „B”, jeśli facet szczerze wyjaśniał coś trzymanemu na muszce, to jego szczerść wynikała z prostej zasady, że mówi do żywego nieboszczyka. Szczęk zamka potwierdził to przypuszczenie.

– Naprawdę mi przykro, ale to pan jest tym „końcem”. – Podniósł powoli broń. – Osobiście nic do pana nie mam, ale nie mogę ryzykować, że...

Przerwał, bo nagle na tle szumu strumienia dał się słyszeć polifoniczny dzwonek z dwuznacznym w tych okolicznościach motywem: „*Show must go on*”. Tomasz pokręcił głową zrezygnowany, ale Mróz przychylnie skinął głową, traktując to jak spełnienie ostatniego życzenia.

– Niech pan odbierze.

Tomasz wstał powoli i sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Dopiero teraz przypomniał sobie, że prócz telefonu ma w niej pistolet. Od razu jednak zrezygnował – zanim wyszarpnąłby broń, odbezpieczył i przeładował, zawodowy morderca zastrzeliłby go dziesięć razy. Wyjął komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Wskaźnik pokazywał zaledwie jedną kreskę zasięgu. Odebrał i usłyszał w słuchawce miękki głos Julity.

– Hej! Zanedbujesz mnie, podrywaczu z „Organzy”. Nie odzywasz się, nie piszesz SMS-ów. A może chcesz mi powiedzieć, że się już nie zobaczymy?

– To bardzo prawdopodobne – wymamrotał Tomasz, wciąż patrząc w wymierzoną w siebie lufę.

– Tak myślałam – odparła urażona. – Wszyscy faceci jesteście tacy sami. Zanim pozna się księcia, trzeba obcałować najpierw kupę żab. Na razie.

Upuścił zbędny telefon na ziemię. Mróz wyprostował ramię i wycelował w pierś chłopaka.

– Naprawdę bardzo mi...

Trzask gałęzi. Furkot skrzydeł. Spłoszony dzięcioł poderwał się z drzewa. Mróz z Tomaszem mimowolnie spojrzeli w przeciwną do strumienia stronę. Dwóch stękających grubasów wyłoniło się właśnie z oddalonych o jakieś dwadzieścia metrów krzaków. Idący z tyłu Czernicki mamrotał jeszcze, ale Kujawa umilkł, patrząc na Mroza. Dzięcioł zniknął właśnie w koronach drzew, gdy obaj przeciwnicy wymierzili jednocześnie. Oba wystrzały

zlały się w jeden huk. Kujawa zatoczył się i padł.

Tomasz zmrużył oczy. Niemal czuł, jak krew zastygła mu w żyłach. Coś w tym jest, że człowiek u progu śmierci widzi przesuwane mu się przed oczami obrazy z przeszłości. Szczególnie wyraźnie widział twarz izraelskiego oficera i oblicze pantoflarza z ekierką w ręku.

Ugięta noga. Rozszerzone palce ręki. Uderzenie. Młody wyrzucił prawą dłoń przed siebie, chwycił za lufę i napał całym ciałem, wykręcając pistolet. Strzał.

Mróz upadł miękko na zeschnięte liście. Uniósł głowę i zamrugał oczami, które w jednej chwili nabiegły krwią.

– Nie doceniłem pana... – wykrztusił, oddychając ciężko. – Człowiek się uczy przez całe życie...

Jego oddech stał się krótszy i świszczący. Z każdym wydechem wyrzucał z siebie kropelki krwi. Poruszył ustami. Tomasz nachylił się nad nim.

– Jest pan? Jest pan tam?

– Tak.

– Czy... ma pan... papierosa?

Tomasz pokręcił głową.

– Nie palę.

– Szkoda... Nawet pan nie... nie wie, jak to rozjaśnia umysł.

Rozdział 17

– Z przykrością muszę stwierdzić, że wciąż są w policji ludzie, którzy własne ambicje przedkładają nad dobro służby. Niestety dowodzący malborską akcją oficerowie nie stanęli na wysokości zadania. Ich nieskoordynowane działania naraziły pasażerów na wielkie niebezpieczeństwo. Zapewniam państwa, że dołożymy wszelkich starań, by wyjaśnić wszelkie okoliczności tej pomyłki. Zarządziłem powołanie niezależnej komisji, która obiektywnie zbada wszelkie aspekty...

Obiektywy kamer i aparatów rejestrowały każdy szczegół – rozbiegane oczy, trzęsące się spocone ręce i nerwowe tiki komendanta głównego policji. Graczyk chciał kontynuować swe wyjaśnienia, ale znecierpliwieni kilkugodzinnym oczekiwaniem dziennikarze momentalnie zarzucili go falą pytań:

– Czy czuje się pan osobiście odpowiedzialny?

– Dlaczego akcja przebiegła tak chaotycznie?

– Czy szuka pan kozła ofiarnego?

– Zapewniam... – Graczyk przekrzykiwał napierających na niego pismaków. – Zapewniam, że wobec winnych wyciągnę surowe konsekwencje...

Tłum zakrzyczał komendanta, wobec czego ten wycofał się za kordon oficerów BOR-u i z trudem przecisnął się do sali posiedzeń. Zamknął drzwi i rękawem munduru otarł czoło. Na mankiecie pozostała mokra plama.

– Hieny. – Tkaczyk podszedł do roztrzęsionego komendanta i troskliwie usadził go na krześle. Skinął na stojącego w drzwiach chorążego, który podał nadinspektorowi szklanę niegazowanej wody.

– O czym to mówiliśmy? – podjął, wracając do stołu. – Wspominał pan, panie generale Barlicki, coś o pociągach?

– Tak jest – potwierdził szef ABP. – Moim zdaniem poszukiwany wykorzystał okazję na dworcu i zbiegł pociągiem. To zupełnie naturalne! Podrzucił telefon do jednego, a sam wsiadł do drugiego.

– Trwa analiza zapisu wideo z kamer dworcowych – włączył się do rozmowy jeden z oficerów z orszaku Graczyka. – Jest tylko jeden problem...

– Tylko jeden? – ironicznie zapytał premier.

– No więc – motał się zbity z tropu gliniarz – chodzi o to, że z uwagi na śledztwo w sprawie siatki pedofilów większość kamer na Dworcu Centralnym przeniesiono z peronów do monitorowania korytarzy. Robimy, co możemy, ale to musi potrwać...

– Nie ma czasu na czekanie! – huknął Barlicki, za co premier obdarzył go łaskawym spojrzeniem. – To już krańcowa ignorancja! Winni muszą ponieść karę!

– Niech pan się tak nie denerwuje – uspokoił go Tkaczyk. – Co policja zamierza zrobić?

– Proponuję uderzenie z grubej rury – w ustach obdarzonego tuszą Graczyka dziwnie zabrzmiała ta fraza. – List gończy i komunikaty w środkach masowego przekazu. I dodatkowo...

Przerwał, bo w tym momencie drzwi sali posiedzeń uchyliły się i do środka wszedł podoficer BOR-u. Szepnął coś do ucha chorążemu, ten zaś pospiesznie podszedł do Tkaczyka.

– Panie premierze, pułkownik Langer prosi o przyjęcie.

Zanim premier zdążył odpowiedzieć, generał Pękala trzasnął pięścią w stół i zerwał się z krzesła.

– Pan premier pozwoli, że się tym zajmę.

Uzyskał wzrokową aprobatę i opanowując wściekłość, wyszedł z sali posiedzeń. Od razu wpadł w tłum pismaków i gestem ręki utorował sobie drogę. Dziennikarzy generał uznawał za najpodlejszy gatunek cywilów i nienawidził z całego serca.

Swoją kadencję na stanowisku szefa sztabu zaczynał generał Pękala buńczuczными zapewnieniami, że w ciągu trzech lat uczyni z polskiej armii sprawną maszynę bojową, dostosowaną w pełni do standardów natowskich. Pierwszym standardem, którym się zajął, był jego stopień wojskowy. Większość generałów dowodzących sojuszniczymi armiami nosiła na pagonach cztery gwiazdki, tymczasem w Polsce kojarzący się z osobą generała Jaruzelskiego stopień został zniesiony. Po namolnych nagabywaniach i płaczliwych skargach Pękali, który ze swymi trzema nędznymi gwiazdkami czuł się na europejskich salonach jak lokaj, prezydent na odczepnego przyznał mu w końcu stopień czterogwiazdkowego generała.

Z realizacją pozostałych standardów poszło już dużo gorzej. Działalność Pękali na stanowisku szefa sztabu przypominała mit o królu Midasie, z tą drobną różnicą, że wszystko, czego się tknął pan generał, zamieniało się w gówno. Prasa przezwała go „złomiarzem”, gdyż bez wahania zatwierdzał zakupy zdezelowanych okrętów, zużytych czołgów i przestarzałych dział, których pozbywali się zachodni sojusznicy, modernizując swoje wojska. Za jego kadencji nowego znaczenia nabrało również słowo „przetarg” – oznaczające odtąd wybór najgorszej oferty za najwyższą cenę.

Najlepszą ilustracją handlowych zdolności generała stanowił zorganizowany na rembertowskim poligonie pokaz bojowych zdolności nowo zakupionej amfibii. Po przepłynięciu dwudziestu metrów pojazd majestatycznie poszedł na dno, wywołując przerażenie polskich sztabowców i zachwyty zgromadzonych obserwatorów zagranicznych,

przekonanych, że jest to część pokazu. Sojusznicy z NATO ze zdumieniem i zachwytem komentowali, że pierwszy raz widzą pojazd pancerny zdolny do zanurzenia. Klaskać przestali dopiero wtedy, gdy pospiesznie sprowadzona ekipa nurków zaczęła wylawiać ciała załogi.

Pobłyskując swymi czterema gwiazdkami, Pękala zbiegł cztery piętra po schodach i jak bomba wpadł do biura przepustek, gdzie czekał Langer w towarzystwie naczelnika Halberta.

– Panie generale, melduję...

Generał wściekle przerwał pułkownikowi i gestem łysej głowy nakazał iść za sobą. Po chwili dwaj funkcjonariusze BOR-u, pilnujący biura, usłyszeli stłumione echo wrzasków.

Langer stał na baczność i spokojnie patrzył na miotającego się przed nim furiata. Halbert, jako cywil będący w luksusowej sytuacji, oparł się o parapet i bezczelnie pociągał z piersiówki. Nie zwracając szczególnej uwagi na treść wrzasków, pomyślał, że Pękala byłby świetnym kapralem.

– Dosyć mam pańskiej niesubordynacji i jawnego nieposłuszeństwa! – wrzeszczał Pękala.

– Dosyć samowoli i głupoty! Ja pana, ja ciebie...

Langer wykorzystał chwilowe zapowietrzenie się przełożonego i zgasił jego tyradę krótkim i chłodnym:

– Mamy go.

Generał dyszał jeszcze przez chwilę, wywracając przekrwione białka oczu. Nabrzmiała na jego szyi aorta powoli nikła, a paznokcie przestały wbijać się boleśnie w dłoń.

– Co?

– Mróz nie żyje. Odzyskaliśmy testament.

– Co... jak... co... co...? – bełkotała pierwsza szabla Rzeczypospolitej.

– Z pomocą moich współpracowników zlokalizowaliśmy poszukiwanego i przez ostatnie godziny prowadziliśmy pościg.

– Jak to? – wymamrotał zdumiony generał. Langer zauważył, że jego pięści znów zaczynają się nerwowo zaciskać, a oczy zwęzać. – Wiedział pan o tym i mnie nie poinformował? Jak to? To niesubor...

– Nie, panie generale, to pańskie rozkazy.

– Co takiego?

– Jak pan generał sam zapewne pamięta, polecił mi pan oczekiwać na dalsze rozkazy i w żadnym wypadku nie dzwonić do siebie.

Pękala założył ręce do tyłu i ze zmarszczonym czołem analizował coś pod łysą czaszką.

– A jednak złamał pan rozkazy. Kazałem panu czekać, a pan działał na własną rękę. To niedopuszczalne!

Stojący z tyłu Halbert zakręcił piersiówkę i podszedł do oficerów. Pękala z niezadowoleniem wciągnął w nozdrza bijący od naczelnika zapach gorzały.

– Szef zabronił działać oficjalnie, więc działaliśmy nieoficjalnie – wyjaśnił. – Najważniejsze, że papier się znalazł, a bandzior gryzie ziemię. O to przecież chodziło,

prawda?

– Moi ludzie, a zatem ludzie pana generała – dodał Langer – zdobyli ten dokument z narażeniem życia. W tej chwili, korzystając z uprzejmości pograniczników, lecą helikopterem do Warszawy. Ma pan generał szansę jako pierwszy przekazać premierowi dobrą wiadomość.

– Ale...

– Wszystko toczyło się przecież według pańskiego planu.

– Naprawdę? – Pękala spojrzał na Langerę nie rozumiejącym wzrokiem.

– Oczywiście. Pozorowana akcja w Malborku dla odwrócenia uwagi od działań właściwych w południowej Polsce. Klasyczna strategia, panie generale. I to pańskiego autorstwa.

– Szczerze gratuluję – dosłodził Halbert, przepijając do szefa sztabu z piersiówki.

Zbyt wielki natłok informacji wytrącił Pękalę z równowagi. Kojarzenie faktów i analityczne myślenie nigdy nie były jego mocną stroną, ale jego mina świadczyła, że pod łysym czerepem zwoje pracują pełną parą. W efekcie po kilku chwilach zwątpienie ustąpiło euforii, a wściekle zaczerwieniona do tej pory twarz przybrała łaskawy wyraz.

– Cóż – Pękala kordialnie ujął Langerę pod ramię – w rzeczy samej pańska niesubor... pańska inicjatywa zasługuje na szczerą pochwałę. Być może czasem bywam obcesowy, ale w gruncie rzeczy zawsze premiowałem u moich podwładnych zdolność do samodzielnego myślenia. Doskonale, mój drogi Langerze, doskonale...

Pękala zatrzymał się nagle i popatrzył na dyrektora DSSN z zafrasowaną miną.

– Tylko jak wytłumaczę premierowi, że tak długo go nie informowałem?

– Zwycięzcy nie muszą się z niczego tłumaczyć – Halbert znów poraził szefa sztabu swym alkoholowym chuchem.

– Powie pan generał, że zlecił nam ciche i nieoficjalne śledztwo. To zupełnie zrozumiałe w takiej sytuacji – zapewnił Langer.

– Hm... – rozmyślał generał – premier to łyknie, ale minister będzie mi suszył głowę, że nic mu nie powiedziałem.

– Wtajemniczymy i ministra, panie generale.

Ruszyli na czwarte piętro w stronę sali posiedzeń. Dziennikarze siedzieli pod ścianami znudzeni i gwarzyli ze sobą cicho. Pękala wyprzedził Langerę i dość pokraczonym krokiem, imitującym defiladowy, ruszył w stronę Tkaczyka.

– Panie premierze – oznajmił uroczyście – mam przyjemność zakomunikować, że podległe mi służby unieszkodliwiły poszukiwanego bandytę. Testament odzyskany!

Zgromadzeni momentalnie ucichli. Twarz generała Barlickiego oblała się purpurą. Graczyk z niedowierzaniem rozdziawił gębę, a Połtawa zbladł straszliwie, co było szczególnie widoczne na tle jego ryżej grzywki. Kontradmiral Stankiewicz jako jedyny zachował kamienną twarz i najsprawniejsze nawet oko nie dostrzegłoby porozumiewawczego mrugnienia, które posłał Langerowi.

Tkaczyk podniósł się powoli i zbliżywszy się do szefa sztabu, ujął go dłońmi za ramiona i musnął jego łysą głowę dwukrotnym buziakiem.

– Panie generale... w imieniu narodu... jesteśmy panu do zgonnie wdzięczni.

* * *

Tłum dziennikarzy ze zniecierpliwieniem spoglądał na zegarki. Od godziny dziewiątej rano minęło już prawie dwadzieścia minut, a premier wciąż się nie pojawiał, zmuszając relacjonujących konferencję na żywo reporterów do mniej lub bardziej nieudolnego improwizowania.

W znajdującej się na pierwszym piętrze długiej Sali Kominkowej gromada odpalantowanych na galowo oficjeli z niepokojem obserwowała miotającego się premiera.

– Gdzie to cholerne przemówienie! – zapytywał szef rządu podniesionym głosem. – Ile będę czekał?

Spanikowani sekretarze i asystenci biegali tam i z powrotem, ustalając, co stało się z trzema kartkami mowy. Pułkownik Langer, stojący wraz z Tomaszem na szarym końcu, przysłuchiwał się szefowi protokołu, który objaśniał im scenariusz uroczystości.

– Po przemówieniu pana premiera głos zabierze komendant główny policji – mówił szpakowaty urzędnik. – Po nim przemówi minister obrony, szef sztabu generalnego, a następnie komendant Straży Ochrony Pogranicza...

– A dlaczego policja ma przemawiać pierwsza? – warknął obwieszony orderami generał Pękala. – Przecież to my znaleźliśmy bandytę i odzyskaliśmy testament.

– Bo to policja monitorowała jego ruchy i z narażeniem życia... – zaczął Graczyk.

– Może i monitorowała, ale pan dowiedział się o tym ostatni – odgryzł się szef sztabu.

– To oburzające! – wrzasnął Graczyk. – Pan się zapomina!

– Najbardziej oburzające jest pominięcie Agencji Bezpieczeństwa Państwa – odezwał się Barlicki. – Panie premierze, stanowczo protestuję! To nasze analizy walnie przyczyniły się do schwytania poszukiwanego!

– Bzdura! To my pierwsi...

– Cisza! – huknął Tkaczyk. – To wojsko zlokalizowało i złapało bandytę! A zatem głos po mnie zabierze pan minister obrony Romuald Połtawa. Ma ktoś jakieś wątpliwości?

Paradoksalnie największe wątpliwości zdawał się mieć sam wymieniony. Rudzielec panicznie rozejrzał się wokół, po czym bąknął nieśmiało:

– Ja nie... ja nie jestem godzien. Może ktoś inny, może pan generał Pękala? A może...

Tkaczyk popatrzył groźnie na rudego. Ten ucichł momentalnie, wycofał się do drugiego szeregu i przysunął do Langerera.

– Panie dyrektorze – wyszeptał sinymi ustami – co ja mam mówić?

Langer wzniosł oczy ku górze i spojrzął na trzęsące się ministra.

– Pan minister zechce podziękować wszystkim służbom za pomoc w działaniach operacyjnych. Myślę, że warto również wspomnieć...

– Zaraz, zaraz – Połtawa wy dobył z kieszeni pogniecioną kartkę i zaczął zapisywać, mamrocząc pod nosem:

– Podziękować... służby... działania...

– Myślę, że warto by również wspomnieć pana Tomasza, który z uporem...

– Myślę, że warto wspomnieć rzeczywistych autorów sukcesu.

Tomasz dopiero teraz zauważył autora ostatniego zdania. Generał Śliwiński – szef Departamentu Kadr i Zasobów Ludzkich, również pobrzękujący medalami – usłużnie skłonił się Połtawie.

– Mam wrażenie, panie ministrze, że pan dyrektor Langer nie docenia zasług jednego ze swych najlepszych ludzi i rzeczywistego autora sukcesu.

– Kogóż to?

Tomasz wychylił głowę i zbladł. Zza generała Śliwińskiego wytoczył się człekokształtny małopod z wąsem, odziany w galowy mundur podpułkownika Wojska Polskiego.

– Pan pułkownik Ziemek – kontynuował główny kadrowiec – jest wybitnym analitykiem i strategiem. Jego autorska koncepcja w dużym stopniu przyczyniła się do sukcesu operacji. Moim zdaniem jego wybitne uzdolnienia były kluczowe dla rozwikłania tej trudnej sprawy. Pan minister pozwoli, że go przedstawię.

Wąsaty orangutan zbliżył się nieśmiało do ministra i niezgrabnie uściskał podaną mu dłoń. Zdumiony Langer usiłował coś powiedzieć, ale Śliwiński popatrzył na niego niezwykle wymownie.

– Ziemek... zasługi... uzdolnienia – notował Połtawa.

– Myślę, że dla nikogo nie będzie niespodzianką, jeśli dodam, że w uznaniu zasług pana podpułkownika Ziemka w dniu dzisiejszym przedłożę panu ministrowi wniosek o awansowanie go do stopnia pułkownika.

– ...do stopnia pułkownika. – Rudy zakończył notować. – Cóż... musi pan być dumny, panie pułkowniku Langer, z tak wybitnego oficera?

– Muszę, panie ministrze. Muszę.

– A więc sprawa załatwiona – zakończył przysłuchujący się scenie Pękala. – Myślę, że nie będziemy dłużej zatrzymywać pana pułkownika Langera i jego młodego asystenta. Dziękuję panom – uściskał rękę dyrektora DSSN, dyskretnie wskazując mu drzwi.

Langer popatrzył na szefa dziwnym wzrokiem i skierował się ku wyjściu. „Młody asystent” jednakże nie ruszył się z miejsca.

– Może pan odejść, młody człowieku.

– Oczywiście, panie generale – powiedział Tomasz z dziwnym uśmiechem na twarzy. – Mam tylko jedno pytanie.

– Co za pytanie? – zniecierpliwił się Pękala.

– Zanim tutaj przyjechaliśmy, znalazłem na moim biurku pisemny rozkaz pana generała dla pułkownika Langer. Chciałbym dołączyć go do akt sprawy.

Pękala zbladł momentalnie, widząc napisany przez siebie poprzedniego dnia rozkaz, którym referent wachlował się od niechcienia. Wprawne oko bez trudu mogło dostrzec wykaligrafowane wielkimi literami zdanie: „ZABRANIAM PODEJMOWAĆ JAKICHKOLWIEK KROKÓW”. Szef sztabu stał przez chwilę, dusząc w sobie bulgocącą żółć, po czym strasznym szeptem, z zaciśniętymi ustami warknął:

– Czego chcesz?

– Chciałbym razem ze swoim szefem wziąć udział w konferencji prasowej u boku pana ministra – oznajmił głośno Tomasz.

Pękala dyszał jeszcze przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Jeśli tak bardzo pan chce... Zgoda. Chodźmy, bo zaraz...

– Z tym, że... – Tomasz przerwał łysemu – jest niewielki problem. Powiedziałbym, protokolarny.

– Jaki znów problem?

– Nie wypada, żeby zwykły referent pokazywał się w towarzystwie ministra i generała. Za to starszy specjalista to co innego.

Pękala spojrział na młodego strasznym wzrokiem. Langer zaś odwrócił się dyskretnie, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu.

– Dobrze – rzucił półgębkiem szef sztabu – zostanie pan tym specjalistą. Jutro o tym poroz...

– Starszym specjalistą – podkreślił z naciskiem Tomasz. – I za pozwoleniem pana generała, załatwmy sprawę teraz.

– To nie czas ani miejsce – głos Pękali słabł w miarę, jak referent coraz wymowniej wachlował się nieszczęsnym rozkazem. – Ale trzeba napisać nominację...

– Napisałem ją sam. – Tomasz wyciągnął zza pazuchy złożony na czworo kwit. – Wystarczy podpisać. O, tu.

Łychol zazgrzytał zębami, ale podpisał posłusznie w miejscu wskazanym przez nowo mianowanego właśnie starszego specjalistę.

– I jeszcze tutaj, panie generale. – Tomasz szybko podsunął łysemu drugi papier.

– Co znowu? – jęknął żałośnie szef sztabu.

– Awans zwykle wiąże się z podniesieniem uposażenia. Nieprawdaż?

* * *

Długi rząd dygnitarzy w mundurach i garniturach szczyrzył zęby w błyskach fleszy. W eter płynęły nadęte słowa o poświęceniu, kooperacji i honorze ojczyzny, który dzięki flankującej premiera rzeszy profesjonalistów został ocalony.

Mało który obiektyw sięgnął stojącego w końcu drugiego rzędu szykownego pułkownika i młodziana z przedziałkiem na głowie. Gdyby ktoś przyjrzał im się uważnie, zobaczyłby, że w przeciwieństwie do nadętych min i pompatycznych gestów, twarze osobliwej pary zdobi szczery, niemal łobuzerski uśmiech.

Epilog

– A więc to tak, *meine Herren!* Tak się postępuje w Polsce! Mój ojciec dobrze wiedział, co robi, zmieniając obywatelstwo!

Kurt Dembitzky dyszał ciężko, nienawistnie patrząc na pułkownika Langerę, który zachowując stoicki spokój, masował sobie skronie. Tomasz podniósł z ziemi ozdobną laskę, którą upuścił staruszek.

– Na szczęście jest jeszcze sprawiedliwość! Nie tu oczywiście! Jest jeszcze trybunał w Strasburgu!

– Myślałem, że Niemcy nie przepadają za międzynarodowymi trybunałami – wyrwało się Tomaszowi. Starzec zmierzył go wściekłym wzrokiem i ze zdumiewającą siłą wyrwał mu z ręki swoją laskę.

– Co wy możecie o tym wiedzieć! – prychnął i wyszedł, rzucając jeszcze zza progu pogardliwe: – *Polnische Wirtschaft!*

Lipcowe słońce wdarło się przez otwarte szeroko drzwi. Przeciąg wydał firany i zdmuchnął z dyrektorskiego biurka kilka papierów. Tomasz usiadł cicho na krześle. Długo milczeli obaj, nie patrząc na siebie.

Sprawa testamentu Dębickiego nie zagościła zbyt długo na łamach polskiej prasy. Po początkowej euforii i dzieleniu skóry na nie upolowanym jeszcze niedźwiedziu przerodziła się w nudne prawnicze dysputy. Przewijała się jeszcze gdzieś na łamach gazet, ale było kwestią dni, zanim zasili galerię narodowych mitów, zajmując miejsce gdzieś między aferą FOZZ a stoma milionami obiecywanymi niegdyś przez Lecha Wałęsę.

Wydawało się, że jedyną osobą zainteresowaną jeszcze rozwikłaniem tej sprawy jest pewien młody urzędnik departamentu o długiej i trudnej do zapamiętania nazwie. Dziennikarze, do których wydzwaniał, z początku wysłuchiwali go uprzejmie, później zbywali byle czym. Nietrudno było się domyślić, kto stoi za powolnym wyciszaniem całej afery. Najdroższe wielkoformatowe reklamy, zamieszczane przez inspirowane przez ambasadę patriotyczne amerykańskie firmy, skutecznie zamykały usta niezależnej polskiej prasy. Błyskawiczne kariery, które kilku polskich dziennikarzy telewizyjnych zaczęło nagle robić w CNN, również dawały wiele do myślenia. Attache kulturalny ambasady USA doskonale wywiązywał się ze swej roli.

– Stary Dembitzky ma rację – oświadczył Tomasz ponuro. – Spieprzyliśmy sprawę. Durnie zwyciężyli.

– Nie, panie Tomku – zaczął dyrektor, ale młody przerwał mu, zrywając się gwałtownie z fotela.

– Durnie i idioci! – Tomasz potargał swój przedziałek w bezsilnym oburzeniu. – Dziwię się panu, panie dyrektorze, jak pan mógł wytrzymać w tej robocie tak długo!

– Ta robota to trochę jak lot samolotem, panie Tomku. Rzygać się chce, ale wsiąść nie można.

– Dziś ostatni raz podpisałem listę. Jutro złożę rezygnację!

Langer odczekał chwilę, aż młody uspokoi się nieco, po czym podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Pozwól, mój młody przyjacielu, że coś ci wyjaśnię. Masz dwadzieścia pięć lat, a zatem, średnio licząc, przed tobą jeszcze czterdzieści lat pracy zawodowej. Nawet jeśli będziesz miał niesamowite szczęście i spotkasz tylko jednego idiotę rocznie, daje to w sumie prawie pół setki idiotów w ciągu całej twojej kariery. Ich obecność jest nieunikniona i trzeba się po prostu do nich przyzwyczaić. Jak do śniegu w zimie czy do psich gówien na chodniku. Im wcześniej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie.

Tego popołudnia Tomasz opuścił gmach Sztabu Generalnego powoli i w zadumie. Dyrektorskie słowa wciąż brzmiały mu w uszach, rysując przed nim niewesołą perspektywę. Ale trudno odmówić im było słuszności.

Nagły pisk opon wyrwał go z zadumy. Tuż przy krawężniku zatrzymała się gwałtownie granatowa nexia, z której wyskoczyło dwóch krzepkich panów.

– Porucznik Kubica z Agencji Bezpieczeństwa Państwa. – Wysoki dryblas z rzadkim wąsem machnął legitymacją z charakterystycznym logo ABP. – Pan pozwoli z nami.

Tomasz podejrzliwie zlustrował obu groźnie wyglądających osiłków.

– Poproszę o legitymację drugiego pana.

Drugi, uzyskawszy wprawdzie wzrokową akceptację pierwszego, z lekceważącym grymasem twarzy podsunął swój dokument dziesięć centymetrów od oczu starszego specjalisty.

– Wystarczy?

– Wystarczy – przytaknął Tomasz, zanotowawszy w pamięci nazwisko podporucznika Leśniaka, i posłusznie włączył się na środek tylnego siedzenia.

Nexia ruszyła dość ślamazarnie i mimo że ruch był niewielki, wlokła się z przepisową, nieznośną prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Tomasz domyślił się, że powolna jazda, a także milczenie i nieprzeniknione miny eskortujących go funkcjonariuszy, miały „zmiękczyć” go przed przesłuchaniem, którego się spodziewał.

Porucznik Kubica zerkał dyskretnie na siedzącego w środku młodziana. Jego zachowanie odbiegało od podręcznikowych norm, wedle których zatrzymany powinien w tej chwili płaczliwie zapewniać o swej niewinności, straszyć funkcjonariuszy swymi koneksjami albo

żądać kategorycznie widzenia ze swoim adwokatem. Instrukcja nakazywała funkcjonariuszom eskorty bezwzględne milczenie i zachowanie kamiennych twarzy, co miało wywołać u aresztanta niepokój i niepewność, która przekładała się później na większą podatność na groźby i skłonność do zeznań. Tymczasem siedzący obok młodzieniec, jak na złość, przypatrywał się mijanym ulicom i skwerom z beztroską miną i, co gorsza, w błogim milczeniu.

Porucznik wbrew instrukcji i szkoleniom coraz częściej zerkał na Tomasza, co skończyło się katastrofą – ich spojrzenia skrzyżowały się nagle, a na domiar złego zatrzymany filuternie puścił do niego oko.

Kubica otrząsnął się z zaskoczenia, wysilając umysł i przypominając sobie drobiazgowy regulamin. Najważniejsze było teraz utrzymanie nadwątłej mrugnięciem psychologicznej przewagi nad zatrzymanym. Zamierzał właśnie przybrać groźną minę, marszcząc brwi, gdy młody człowiek zrujnował całą psychologiczną przewagę krótkim:

– Do hotelu Apis bliżej przez Trasę Łazienkowską.

Wyraz twarzy obu funkcjonariuszy w tym momencie daleko odbiegał od regulaminowego. Z rozdziawionymi gębami wpatrywali się w Tomasza, który nadal beznamytnie podziwiał architekturę Dolnego Mokotowa.

Agencja Bezpieczeństwa Państwa, jak każdy szanujący się kontrwywiad, dysponowała na terenie miasta różnorodnymi lokalami operacyjnymi. Teoretycznie służyć miały one do celów wywiadowczych. Po kontroli przeprowadzonej przez NIK okazało się jednak, że część lokali zajmują rodziny prominentnych funkcjonariuszy, część wynajmowana jest komercyjnie, a w jednym dociekliwi inspektorzy znaleźli gromadę niekompletnie odzianych dziewcząt, mówiących ze słodkim wschodnim akcentem. Opublikowanie raportu przyczyniło się do zacieśnienia kontroli nad lokalami i do wcześniejszych emerytur ich prominentnych lokatorów.

Jednym z takich właśnie lokali operacyjnych był pokój w położonym na warszawskiej Pradze hotelu Apis. Zwykle oficerowie ABP pouczali w nim polityków ze zbyt długim językiem lub biznesmenów uwikłanych w niezbyt przejrzyste kontakty z rządzącymi. Po pewnym czasie sława pokoju dotarła do stołecznych elit, zwanych „warszawką”, a przesłuchania stały się nawet modne. W czasie bankietów, rautów i koncertów towarzystwo dzieliło się wrażeniami z przesłuchań, a fakt bycia obiektem zainteresowania ze strony służb znacznie podnosił prestiż delikwenta. Sława pokoju w hotelu Apis i krążące wokół niego legendy dotarły do wszystkich oprócz samych podwładnych generała Barlickiego, którzy nadal uważali go za doskonale zakonspirowaną kryjówkę.

Kierowca nexii, widząc zbaraniałe miny swych kolegów, zrozumiał, że misterna gra psychologiczna spaliła na panewce, więc przyspieszył, demonstracyjnie omijając jednak Trasę Łazienkowską. Zatoczywszy tym samym spore koło i nadłożywszy kawał drogi, czterdzieści minut później granatowa nexia zatrzymała się przed wejściem do hotelu.

Kierowca z ponurą miną został w środku, a Tomasz wkroczył do holu w obstawie dwóch mięśniaków. Na ich widok portier zainteresował się nagle wiszącymi za nim kluczami i odwrócił się, pokazując gościom plecy. Kubica zaprosił Tomasza do windy i przez chwilę wszyscy trzej stali w naruszającej intymną granicę bliskości. W lustrach pokrywających ściany windy Tomasz zauważył, że jego prześladowcy wymieniają między sobą pełne wyrzutu spojrzenia.

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze. Osławiony pokój znajdował się na końcu korytarza po lewej stronie. Leśniak wydobył z portfela kartę magnetyczną i otworzył nią drzwi.

Pokój urządony był nowymi meblami w brązowo-zielonkawej tonacji. Żółtawe zasłony gryzły się nieco z szarą wykładziną. Na środku stał owalny stolik konferencyjny z czterema krzesłami, na ścianie zaś znajdowało się okazałe lustro. Kubica milcząco wskazał Tomaszowi krzesło stojące w pewnym oddaleniu. Sam zasiadł za stołem, Leśniak zaś usadowił się z boku, dobywając z szuflady brulionowy notatnik. Wyjął też dyktafon, należący zapewne do stałego wyposażenia pokoju.

Obaj panowie, których Tomasz obserwował z niekłamym zainteresowaniem, znów porozumiewawczo spojrzeli na siebie. Leśniak zaszeleścił brulionem i uruchomił dyktafon. Jego mina pozostała groźna i nieprzenikniona, natomiast z twarzy porucznika Kubicy zniknął ponury grymas, zastąpiony przez sympatyczny uśmiech. Najwyraźniej faza zastraszenia zakończyła się i odtąd rozmowa miała być prowadzona w konwencji dobrego i złego policjanta.

– To spotkanie ma charakter nieoficjalny, nie ma więc powodu do niepokoju – słodko zaczął porucznik. – Na wstępie chciałbym pana poinformować, że nasza rozmowa powinna zostać między nami.

Tomasz, nie odezawszy się słowem, niedyskretnie spojrzął na lustro. Kubica chrząknął.

– Chciałbym panu powiedzieć – zaczął, ale po krótkim udawanym wahaniu rzucił szybko: – Przejdźmy może na „ty”, co? W końcu jesteśmy w podobnym wieku. Jestem Piotrek, a to jest Radek.

Serdeczna propozycja zza stołu spotkała się z głuchym i chłodnym milczeniem. Piotrek znów nerwowo zerknął w lustro, po czym niezrażony kontynuował:

– Więc chciałem ci na początku powiedzieć, że odwaliłeś kawał dobrej roboty. Naprawdę. Szczerze ci gratuluję. Świetna sprawa. Super. Bomba. Od razu widać, że zrobisz szybką karierę

– Myślisz, że jesteś górą, tak? – odezwał się groźnie Leśniak, przerywając kumpłowi. – Myślisz, że jesteś lepszy? Że jak będziesz siedział i bezczelnie się na nas gapił, to...

– Radek, daj spokój! – Piotrek pojednawczo położył koledze rękę na ramieniu. – Nie ma się co unosić. Przecież to nasz człowiek, równy chłop.

– Bo mnie facet wkurwia, marnuje nasz czas! – kontynuował popisy Radek. – Mówiłem

ci od początku, zamknąć go w areszcie, przesłuchać jak należy! Ale ty, Piotrek, zawsze chcesz skutecznie te swoje nieoficjalne rozmówki, to przechodzenie na ty...

– Proszę cię, Radek, nie ma potrzeby podnosić głosu. To rozsądny koleś, w porządku, super, bomba, a ty od razu chcesz go zamknąć i straszysz. Wyluzuj!

Tomasz z rosnącą ciekawością oglądał ten teatrzyk jednego widza. Przez głowę przeniknęła mu myśl, że ci dwaj zostali oficerami wywiadu zapewne dlatego, że oblali egzamin praktyczny do szkoły aktorskiej.

– Widzisz, jak mówiłem, to, co zrobiłeś, to był majstersztyk – kontynuował dobry policjant. – Tylko, widzisz, ta robota, jak sam wiesz, wciąga. Czasem się człowiek tak zapędzi, że nie wie, kiedy ma skończyć. O, na przykład taki Radek – wskazał na kumpla – jak się emocjonalnie zaangażuje, to zaczyna się unosić. Nie jest taki jak my, ty i ja. Opanowany i zrównoważony.

Zaczynała się faza pozyskania zaufania.

– Więc jak mówiłem, najważniejsze to wiedzieć, kiedy odpuścić, wrzucić na luz, dać sobie siana, poluzować zawory, wziąć na wstrzymanie. Jesteś inteligentny, więc świetnie rozumiesz, o czym mówię, co?

Mimo oralnych popisów i misternej gry operacyjnej rozmowa w dalszym ciągu przypominała ludowe przysłowie o dziadzie i obrazie. Szelest brulionu i coraz częstsze nerwowe zęzy w stronę lustra zagęściły nieco atmosferę.

– Wiesz, stary, sprawa tego testamentu już się zakończyła i nie ma potrzeby do niej wracać – Kubica z trudem ukrywał zniecierpliwienie. – Przełożeni docenili twoje zaangażowanie, dostałeś zasłużony awans i podwyżkę. Po co ci, stary, to wydzwanianie po dziennikarzach, po redakcjach? Wiesz, dziennikarze to jest jedna wielka hołota. Oni szukają tylko niezdrowej sensacji...

– Ale co będziesz z gnojem gadał! – Radek przypomniał sobie nagle, za co bierze pensję. – Za kark gówniarza i na czterdzieści osiem godzin!

– Radek! Spokój! – krzyknął Kubica. Otworzył usta, by kontynuować, ale najwyraźniej stracił wątek. W pokoju zapadła cisza.

– Niezdrowej sensacji – uprzejmie podpowiedział Tomasz.

– No właśnie, niezdrowej sensacji. Oni tego właśnie chcą i...

Umilkł nagle zaskoczony i ze szczerą złością spojrzał na Tomasza. Radek wściekle cisnął długopisem w brulion.

– To cię bawi, tak? – warknął Piotrek. Dobry policjant zniknął błyskawicznie. – Dobrze, inaczej pogadamy.

Wyrwał Radkowi brulion i długopis. Ten popatrzył na niego z wyrzutem.

– Widzę, że musimy zacząć bardziej oficjalnie. – Kubica otworzył z trzaskiem notes. – Jak sobie chcesz. Pańskie imię, nazwisko, stanowisko i ranga służbowa!

– SS-Brigadeführer Franz Kutschera – uprzejmie odpowiedział Tomasz.

Piotrek i Radek spojrzeli na niego wściekle, filując jednocześnie na lustro. Tomasz zauważył, że Kubica zdążył zanotować w swym brulionie wyrażenie: „Eses...”

– Czy coś nie w porządku? – zapytał Tomasz z zatroskaną miną i nie czekając na odpowiedź, klepnął się w głowę. – Ach tak, jeszcze stanowisko. Gapa ze mnie. Bardzo przepraszam. Dowódca SS i Policji na Dystrykt Warschau.

* * *

Powiew ciepłego letniego wiatru zaszumił w koronach drzew porastających ulicę Rakowiecką. Od strony Puławskiej lekkim krokiem zbliżał się do sztabu młodzieniec w szarym jednorzędowym garniturze. Poranne słońce połyskiwało w podkreślonej żelem fryzurze i odbijało się od lśniącej czarnej skóry nesesera, którym krawaciarz z fantazją wywijał. Zmęczony wartownik i znudzony ochroniarz przystanęli na chwilę, patrząc na to niezwykle zjawisko.

Zjawisko przekroczyło bramę i okazawszy przepustkę, zbiegło po schodach. Pozdrowiło serdecznie kilku brzuchatych palaczy na półpiętrze i wpadło do sekretariatu.

– Witam rannego ptaszka. Co tak wcześniej?

Tomasz uśmiechnął się do Lidki, choć widok zarysowującej się już pod bluzeczką ciąży wywołał lekkie ukłucie w sercu starszego specjalisty. Podeszedł powoli do szuflady i odetchnął głęboko. W końcu wyciągnął listę i po krótkim wahaniu maznął swoją parafkę.

– A więc jednak.

Odwrocił się gwałtownie. W drzwiach stał pułkownik Langer i patrzył na młodego, szczerząc zęby. Lidka z zaskoczeniem obserwowała tę poranną wymianę uśmiechów.

– Jednak, panie dyrektorze.

– Cieszę się.

– Jak to pan mówił, panie dyrektorze? Czterdziestu idiotów?

– Mniej więcej – potwierdził Langer rozbawiony. – Dlaczego pan pyta?

– Bo po wczorajszym dniu zostało już tylko trzydziestu ośmiu.

Wyszedł, odprowadzany zdziwionym wzrokiem dyrekcji i sekretariatu. Pokój 240 przywitał go codzienną zatechłą atmosferą. Ucisnął na powitanie ręce grubych kolegów, nawet zawieszoną na temblaku rękę postrzelonego Kujawy.

Usiadł i wziął do ręki teczkę z aktami. Długo wpatrywał się w nią w milczeniu. W końcu sięgnął po ołówek i westchnąwszy, napisał na jej wierzchu dużymi literami: „A/A”.

Gruba smuga promieni słonecznych wpadała do gabinetu, podkreślając wdzięki obu wiszących na ścianie pańienek. Drobinny kurz wirował, w dzikim tańcu wznosząc się ku górze i opadając niczym urzędnicy na kapryśnej huśtawce kariery.

Tomasz podeszedł do okna. Założył ręce do tyłu i zmrużył oczy. Po raz pierwszy chyba pomyślał o tym, którego sylwetkę przesłoniły mityczne miliardy. O swoim rówieśniku sprzed

półtora wieku. O zapomnianym polskim żołnierzu tułaczem, który zginął gdzieś za oceanem, walcząc o cudzą sprawę. Który nie zawahał się poświęcić wszystkiego w imię wolności i którego prochy spoczęły w niegościnnej, jałowej i pustynnej...

Nagły, nieznośny i wiercący w uszach dźwięk wytrącił go brutalnie z zadumy. Wzmocniony pustym naczyniem, brzęczący między brudnymi ścianami, wysoki głos pytał piskliwie:

– Nie ma wody! Nie ma wody! I cóż my zrobimy, panie Tomku?

Epilog 2

Attache kulturalny John Williams po wyciszeniu sprawy testamentu zakończył swoją misję dyplomatyczną na terenie Rzeczypospolitej Polskiej. Pół roku później został aresztowany przez Rosjan na pograniczu gruzińsko-czeczeńskim. W niewoli nie zabawił długo – rychło wymieniono go na dwóch rosyjskich attaches kulturalnych, aresztowanych w Nowym Jorku.

Zginął w marcu 2006 roku, gdy konwój wojsk amerykańskich, w którym jechał, wpadł w pułapkę zastawioną przez separatystów pod Faludżą w Iraku. Iraccy terroryści nie domyślali się najwyraźniej, że mają przed sobą człowieka kultury – może dlatego, że zanim zginął, celnym ogniem broni maszynowej powalił trzech z nich, a jednemu wprawnie poderznął gardło nożem.

Jak każdy amerykański attache kulturalny, pochowany został na cmentarzu Arlington, z pełnym wojskowym ceremoniałem.

* * *

Przeprowadzone niezależnie przez profesora Leszczyńskiego i doktora Wilczka sekcje ekshumowanych zwłok wykazały obecność brucyny – silnie toksycznego alkaloidu, paraliżującego ośrodkowy układ nerwowy.

Wiadomość nie zainteresowała prasy, ale zgodny wynik prac obu antagonistów stał się sensacją naukową w środowisku akademickim Warszawy.

* * *

Powołana przez komendanta głównego policji niezależna komisja stwierdziła bezsprzecznie rażące uchybienia w trakcie akcji na dworcu kolejowym w Malborku. Dowódca Samodzielnej Kompanii Antyterrorystycznej, nadkomisarz Tomasz Ekiert, został odwołany ze stanowiska i przeniesiony do służby w wydziale ruchu drogowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Lublinie. W uzasadnieniu decyzji nadinspektor Graczyk zarzucił mu zbyt pospieszne przygotowanie akcji, błędy w rozpoznaniu, niepotrzebną brawurę i narażenie

na szwank życia pasażerów.

Po dwóch miesiącach wypisywania mandatów za parkowanie w miejscu niedozwolonym Ekiert zrezygnował ze służby w policji. Pracę zaproponował mu boss gdańskiej mafii oraz jeden z supermarketów. Po głębokim namyśle eks-nadkomisarz wybrał supermarket.

* * *

Kurt Dembitzky został znaleziony martwy w swoim domu w Bonn. Nieboszczyk kurczowo ścisnął w rękę egzemplarz „Gazety Wybranej”, na pierwszej stronie której bił w oczy tytuł: „Niemiecki agent czyha na polskie miliony!” Lekarz stwierdził ostry i nagły zawał serca, więc prawdopodobnie denat zdążył tylko dostrzec zdjęcia swoich dwóch stryjów w mundurach Wehrmachtu i nie doczytał zamieszczonej drobniejszym drukiem informacji, że „zastrzegający sobie anonimowość wysoki urzędnik polskiego MSZ ujawnił, iż niejaki Kurt Dembitzky bez wątpienia powiązany jest z Ziomkostwem Niemieckim, a miliardy dolarów posłużyć miały odzyskaniu zagrabionych przez Polskę Ziem Odzyskanych”.

Na paczce, w której przesłano mu gazetę, nie było adresu zwrotnego nadawcy.

* * *

Pułkownik dyplomowany Bogumił Ziemek w uznaniu zasług prócz awansu uhonorowany został Złotym Krzyżem Zasługi. Znacznie rozszerzono też grono podległych mu pracowników.

W ciągu trzech miesięcy wszyscy odeszli na własną prośbę, zaś przydzielona mu sekretarka wyskoczyła przez okno.